

Czego uczy nas historia gospodarcza?

12 rozmów
na trudne czasy

Paweł Grata
Jarosław Kinal

Czego uczy nas historia gospodarcza?

12 rozmów
na trudne czasy



WYDAWNICTWO
UNIwersytetu Rzeszowskiego
Rzeszów 2025

Recenzowali
prof. dr hab. MIROSLAW KLUSEK
dr hab. TADEUSZ JANICKI, prof. UAM

Opracowanie redakcyjne i korekta
ELŻBIETA KOT

Opracowanie techniczne
EWA KUC

Łamanie
KATARZYNA KOT

Projekt okładki
GRZEGORZ WOLAŃSKI

Publikacja finansowana w ramach programu Ministerstwa Nauki i Edukacji
Społeczna Odpowiedzialność Nauki pod nazwą
„Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy”
Kierownik – dr Jarosław Kinal
Okres realizacji: 1.10.2023–30.09.2025
Dofinansowano ze środków budżetu państwa
Instytucja finansująca – Ministerstwo Edukacji i Nauki RP
Nazwa programu – Społeczna Odpowiedzialność Nauki
Wartość projektu – 232 500,00 PLN; wartość dofinansowania – 209 000,00 PLN

© Copyright by
Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego
Rzeszów 2025

Publikacja w otwartym dostępie na stronie 12rozmow.pl
w Repozytorium UR oraz w bazie POLONA



ISBN 978-83-8277-260-9 (wersja drukowana)
ISBN 978-83-8277-261-6 (publikacja elektroniczna on-line)

DOI: 10.15584/978-83-8277-261-6

2188

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU RZESZOWSKIEGO
35-310 Rzeszów, ul. prof. S. Pigonia 6, tel.: 17 872 13 69, tel./faks: 17 872 14 26
e-mail: wydawnictwo@ur.edu.pl; <https://wydawnictwo.ur.edu.pl>
wydanie I, format 14,5 x 21,5 cm, ark. wyd. 8, ark. druk. 9,5, zlec. red. 24/2025

Druk i oprawa: Drukarnia Uniwersytetu Rzeszowskiego

SPIS TREŚCI

Wstęp. Czym jest i czego uczy nas historia gospodarcza?	7
Rozmowa 1 Pieniądz, systemy pieniężne i ich funkcjonowanie dawniej i dziś	13
Rozmowa 2 Czym jest system bankowy i jak ewoluował?	23
Rozmowa 3 Budżet państwa i jego rola w życiu gospodarczym	37
Rozmowa 4 Czym jest inflacja?	47
Rozmowa 5 Czy bogata Północ zawsze była bogata?	59
Rozmowa 6 Czy i jak wojna wpływa na gospodarki narodowe i gospodarkę globalną?	71
Rozmowa 7 Co kiedyś napędzało i co napędza dziś polską gospodarkę?	83
Rozmowa 8 Monopole w gospodarce	93
Rozmowa 9 Czym jest marka w gospodarce i jaką w niej pełni rolę?	103
Rozmowa 10 Czy Państwo może być marką i czy istnieją marki narodowe?	115
Rozmowa 11 Czy edukacja jest bezpłatna i czy zawsze tak było?	129
Rozmowa 12 Skąd się wzięły media i jaką rolę odgrywają w życiu społecznym i gospodarczym?	141

Paweł Grata
Jarosław Kinal

WSTĘP

CZYM JEST I CZEGO UCZY NAS

HISTORIA GOSPODARCZA?

Historia gospodarcza to interdyscyplinarna dziedzina wiedzy, która bada rozwój gospodarki, systemów ekonomicznych oraz instytucji gospodarczych w kontekście zmieniających się warunków społecznych, politycznych i kulturowych. Jako subdyscyplina historii (dyscyplina nauk humanistycznych) oraz ekonomii (dyscyplina nauk społecznych) historia gospodarcza nie ogranicza się do analizy liczb czy statystyk, ale także stara się odkryć i opisać mechanizmy, które kierowały ludźmi, organizacjami oraz całymi społeczeństwami w przeszłości. Jej głównym celem jest nie tylko dokumentowanie zmian ekonomicznych, ale również wyciąganie wniosków, które mogą być przydatne w zrozumieniu współczesnych procesów gospodarczych.

Historia gospodarcza pozwala nam spojrzeć na przeszłość w sposób systematyczny i analityczny. Przykładem dobrze obrazującym ten rodzaj wysiłku naukowego może być badanie rewolucji przemysłowej, która zrewolucjonizowała produkcję, handel oraz stosunki pracy w XVIII i XIX wieku. Wynalezienie maszyny parowej przez Jamesa Watta w 1769 roku radykalnie zwiększyło efektywność produkcji, umożliwiając rozwój przemysłu tekstylnego w Wielkiej Brytanii (Mokyr 2009). W efekcie gospodarka tego kraju stała się dominująca na arenie międzynarodowej. Rozwój kolei, zapoczątkowany w latach 30. XIX wieku, miał również istotne znaczenie. Kolej skróciła bowiem czas transportu towarów i osób, rewolucjonizując handel wewnętrzny i międzynarodowy (Puffert

2009). Te innowacje nie tylko napędzały rozwój gospodarczy, ale także prowadziły do zmian społecznych, takich jak migracja ludności do miast oraz rozwój nowych zawodów związanych z przemysłem.

Na podstawie badań prowadzonych w ramach historii gospodarczej możemy odkryć, jak innowacje technologiczne wpłynęły na dynamikę migracji, urbanizację czy procesy globalizacji. To właśnie z perspektywy historii gospodarczej jesteśmy w stanie zobaczyć, jak te same procesy, które przynosiły korzyści ekonomiczne, prowadziły również do wyczerpania, marginalizacji grup społecznych czy degradacji środowiska naturalnego. Szybka industrializacja, tak dobroczynna dla zmian modernizacyjnych, przyczyniła się równocześnie do pogorszenia warunków pracy w fabrykach oraz wykluczenia wielu grup społecznych z partycypacji w korzyściach wynikających z rozwoju gospodarczego (Hobsbawm 1962).

Historia gospodarcza uczy, że rozwój gospodarczy nie jest procesem liniowym. Kryzysy gospodarcze, z Wielkim Kryzysem lat 30. XX wieku na czele, ujawniają wiele negatywnych konsekwencji nadmiernej ekspansji inwestycyjnej, spekulacji i braku regulacji finansowych. W 1929 roku, gdy indeks Dow Jones spadł o ponad 25% w ciągu kilku dni, miliony ludzi straciły swoje oszczędności, a bezrobocie w Stanach Zjednoczonych przekroczyło 25% (Kindleberger 1973). Wydarzenia te uzmysłowiły konieczność wprowadzenia takich reform, jak Glass-Steagall Act z 1933 roku, który oddzielił bankowość komercyjną od inwestycyjnej, ograniczając ryzyko nadmiernych spekulacji. Podobnie kryzys finansowy z 2008 roku, który rozpoczął się od pęknięcia bańki na rynku nieruchomości, pokazał globalną zależność systemów finansowych. Upadek Lehman Brothers w 2008 roku i ogólnoswiatowa recesja unaocznily brak odpowiednich regulacji w sektorze bankowym oraz skutki nadmiernego zadłużenia (Roubini, Mihm 2010). Te doświadczenia zaowocowały m.in. wprowadzeniem regulacji Dodd-Frank Act w USA, mających na celu zwiększenie przejrzystości na rynku finansowym.

Historia gospodarcza pomaga też zrozumieć rolę instytucji w stabilizowaniu lub destabilizowaniu systemów ekonomicznych. Na przykład powstanie Międzynarodowego Funduszu Walutowego

i Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju (później Banku Światowego) po II wojnie światowej miało na celu zapobieganie przyszłym kryzysom przez wspieranie stabilności gospodarczej i finansowej na świecie (Eichengreen 1996).

Historia gospodarcza nie ogranicza się do aspektów materialnych. Gospodarka zawsze była powiązana z kulturą, religią i ideologią. Wyrazistym tego potwierdzeniem jest na przykład etyka protestancka, opisana przez Maxa Webera, która była istotnym czynnikiem kształtującym kapitalizm w krajach Europy Zachodniej (Weber 1905). Weber podkreślał, że takie wartości, jak pracowitość, oszczędność i racjonalność, zakorzenione w protestantyzmie, sprzyjały rozwojowi kapitalizmu jako systemu gospodarczego. Podobny wpływ na rozwój gospodarek wschodnioazjatyckich miał konfucjanizm. Jako system filozoficzno-religijny promujący hierarchię społeczną, lojalność wobec wspólnoty i znaczenie edukacji, stworzył podstawy długoterminowego planowania i inwestowania w kapitał ludzki (Rozman 1991).

Historia gospodarcza pozwala także badać, jak zmieniały się sposoby postrzegania pracy, bogactwa czy konsumpcji w różnych okresach historycznych. Na przykład w XIX wieku to praca fizyczna była utożsamiana z cnotą, podczas gdy we współczesnym świecie coraz większy nacisk kładzie się na kreatywność, innowacyjność i kompetencje cyfrowe (Florida 2002).

Jednym z najważniejszych aspektów historii gospodarczej jest jej zdolność do przewidywania przyszłości na podstawie przeszłych trendów. Na przykład badania nad skutkami kolonializmu i eksploatacji zasobów naturalnych pomagają zrozumieć współczesne problemy globalnej nierówności (Acemoglu, Robinson 2012). Analiza historycznych ścieżek rozwoju technologicznego pozwala przewidzieć, jakie zmiany może przynieść współczesna rewolucja cyfrowa i automatyzacja.

Przykładem współczesnych polityk gospodarczych, które czerpią z lekcji historii, są programy odbudowy gospodarczej po pandemii COVID-19. Wiele krajów, w tym Stany Zjednoczone i kraje Unii Europejskiej, zastosowało elementy inspirowane polityką New Deal z lat 30. XX wieku, aby przeciwdziałać skutkom recesji (Tooze 2021). Działania te obejmowały znaczące inwestycje w infrastrukturę, wsparcie dla małych i średnich przedsiębiorstw oraz rozszerzenie

programów socjalnych. Analogia do New Deal pokazuje, jak doświadczenia przeszłości mogą być adaptowane do nowych wyzwań.

Historia gospodarcza to nie tylko opowieść o wzlotach i upadkach systemów ekonomicznych, ale także nauka o ludzkiej kreatywności, błędach i zdolności do adaptacji. Uczy nas, że gospodarka nie jest autonomicznym bytem, lecz jest głęboko zakorzeniona w środowisku społecznym, kulturowym i politycznym. Pozwala lepiej rozumieć mechanizmy rządzące współczesnym światem i wskazuje, jak możemy unikać powtarzania błędów z przeszłości. Ma również istotne zastosowanie w edukacji. Analiza historycznych procesów gospodarczych pomaga rozwijać umiejętności krytycznego myślenia oraz rozumienia złożonych zależności ekonomicznych. W szkołach i na uczelniach może być wykorzystana do ilustrowania skutków decyzji politycznych czy globalnych trendów ekonomicznych, co pozwala uczniom i studentom lepiej identyfikować współczesne wyzwania.

W polityce publicznej historia gospodarcza dostarcza praktycznych wskazówek dotyczących tworzenia skutecznych strategii rozwoju. Na przykład analiza udanych reform, takich jak Plan Marshalla, może inspirować programy odbudowy gospodarczej w regionach dotkniętych konfliktami czy klęskami żywiołowymi. Badanie przeszłych kryzysów gospodarczych, takich jak Wielki Kryzys czy recesja w 2008 roku, pozwala lepiej przygotować się na potencjalne zagrożenia i skuteczniej im przeciwdziałać.

Niniejsza publikacja stanowi zapis rozmów przeprowadzonych przez badaczy z Uniwersytetu Rzeszowskiego w toku realizacji projektu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy” w ramach programu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego Społeczna Odpowiedzialność Nauki. W rozmowach wzięli udział wybitni historycy gospodarczy, którzy odpowiedzieli na wiele zasadniczych pytań dotyczących wniosków dla współczesnego świata wynikających z przeszłości – wniosków szczególnie istotnych w dobie regularnie pojawiających się w ostatnich latach kryzysów, równocześnie wniosków niezwykle pouczających w kontekście wypływających z doświadczeń przeszłości rekomendacji na teraźniejszość i przyszłość. Każda z rozmów była prawdziwą przygodą intelektualną, a naszymi znakomitymi rozmówcami, którym serdecznie w tym miejscu dziękujemy, byli (w kolejności alfabetycznej):

tycznej): prof. dr hab. Piotr Franaszek (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie), dr Joanna Jaroszyk (Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu), prof. dr hab. Sławomir Kamosiński (Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy), dr Kamil Kowalski (Uniwersytet Łódzki), dr hab. Cecylia Leszczyńska, prof. UW (Uniwersytet Warszawski), prof. dr hab. Wojciech Morawski (Szkoła Główna Handlowa w Warszawie), dr hab. Andrzej Pieczewski, prof. UŁ (Uniwersytet Łódzki), dr Krzysztof Popiński (Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu).

Bibliografia

- Acemoglu, D., Robinson, J. A. (2012). *Why Nations Fail: The Origins of Power, Prosperity, and Poverty*. Crown Business.
- Eichengreen, B. (1996). *Globalizing Capital: A History of the International Monetary System*. Princeton University Press.
- Florida, R. (2002). *The Rise of the Creative Class: And How It's Transforming Work, Leisure, Community and Everyday Life*. Basic Books.
- Hobsbawm, E. J. (1962). *The Age of Revolution: Europe 1789–1848*. Weidenfeld & Nicolson.
- Kindleberger, C.P. (1973). *The World in Depression, 1929–1939*. University of California Press.
- Mokyr, J. (2009). *The Enlightened Economy: An Economic History of Britain 1700–1850*. Yale University Press.
- Puffert, D.J. (2009). *Tracks Across Continents, Paths Through History: The Economic Dynamics of Standardization in Railway Gauge*. University of Chicago Press.
- Rozman, G. (1991). *The East Asian Region: Confucian Heritage and Its Modern Adaptation*. Princeton University Press.
- Roubini, N., Mihm, S. (2010). *Crisis Economics: A Crash Course in the Future of Finance*. Penguin Press.
- Tooze, A. (2021). *Shutdown: How COVID Shook the World's Economy*. Viking.
- Weber, M. (1905). *The Protestant Ethic and the Spirit of Capitalism*. Scribner.

 Paweł Grata

 Wojciech Morawski

PIENIĄDZ, SYSTEMY PIENIĘŻNE I ICH FUNKCJONOWANIE DAWNIEJ I DZIŚ

PAWEŁ GRATA: Dzień dobry. Witam w pierwszej rozmowie z cyklu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy” realizowanego w ramach projektu pod tym samym tytułem, który finansowany jest przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego jako część programu Społeczna Odpowiedzialność Nauki. Tematem dzisiejszego spotkania będzie pieniądz, a w szczególności systemy pieniężne i ich funkcjonowanie kiedyś i dziś. Moim gościem jest Pan Profesor Wojciech Morawski, ekonomista ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, kierownik Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej. Dzień dobry, Panie Profesorze.

WOJCIECH MORAWSKI: Dzień dobry, witam Państwa.

Panie Profesorze, chciałbym porozmawiać o pieniądzu. O tym, co tak naprawdę wszystkich nas interesuje, dotyczy, kręci i często też steruje naszym życiem. Ale też o tym, jak ten pieniądz powstawał, z czego się wywodzi i jaką rolę pełni dzisiaj. Czym jest system pieniężny? Od tego musimy zacząć, żeby wyjaśnić podstawowe pojęcie.

Od dawna ludzie odczuwali potrzebę istnienia jakiegoś miernika wartości, który byłby neutralnym wobec innych towarów i wygod-

nym przedmiotem wymiany. Są pewne towary, które się do tego nadają. Muszą mieć one, rzecz jasna, pewne konieczne cechy. Po pierwsze, nie powinny się psuć, powinny być trwałe, więc na przykład nie może to być pieczywo, które czerstwieje. Po drugie, powinny się łatwo dawać dzielić na mniejsze części, żeby można było wydawać resztę. Idealnym towarem tego rodzaju, jak się coś złego dzieje, jest spirytus. Spirytus wtedy wchodzi w rolę pieniądza. Znamy to zjawisko z różnych wojennych okoliczności. Trochę tytuń też. To są towary, które pełnią taką funkcję.

Pieniądz w formie metalowego krążka, jaki nam się kojarzy z dzisiejszą monetą, pojawił się w VII wieku p.n.e. w kręgu kultury greckiej, ale nie w Grecji, tylko w dzisiejszej Turcji, tam było państwo, które się nazywało Lidia. Władcą Lidii był Krezus, który zaczął wybijać pieniądze z naturalnego stopu srebra i złota. Potem to się upowszechniło, przez całe stulecia pieniądz był pieniądzem kruszcowym, żebyśmy dobrze zrozumieli, co to znaczy. Jeśli ja trzymam w ręku srebrne 5 franków francuskich z 1842 roku, to znaczyło to, przynajmniej teoretycznie, że trzymam w ręku kawałek srebra, który jest wart 5 franków. Gdyby to srebro nie miało postaci monety, tylko było nieregularną bryłką, to kosztowałoby 5 franków, bo tyle srebra kosztuje 5 franków. Czyli pieniądz kruszcowy reprezentował wartość nie umownie, lecz jak najbardziej dosłownie. To jest warte 5 franków. Oczywiście nawet taki pieniądz był psuty, to znaczy podlegał różnego rodzaju procesom inflacyjnym. Przez długi czas polegały one na tym, że władcy psuli pieniądze. Władcy wycofywali pieniądze z obiegu, wybijali je na nowo, dodając trochę miedzi w miejsce srebra albo zmniejszając ich wagę. W ten sposób oszukiwali system, bo wycofali z obiegu milion, a puszczali z powrotem w obieg milion sto tysięcy. Od władcy trzeba to było oczywiście przyjąć po cenie nominalnej, a że było to potem mniej warte, tym już się władca nie przejmował. Nie przejmował się aż do momentu, kiedy w takim zepsutym pieniądzu dostawał podatki. Wtedy się zaczynał z powrotem przejmować. Ale to tak przez długie lata funkcjonowało. I generalnie teoria na ten temat, jaką ludzie wyznawali, była taka, że jeśli z pieniądzem dzieje się coś złego, to znaczy, że on jest psuty. Władcy go psują. To psucie czasami przybierało skrajną postać. W XIII wieku w Europie pojawiły się pieniążki nazywane *bracteates*, po łacinie

„listki”. Miały one tak cienkie blaszki, że tylko z jednej strony można było coś wybić, bo jak się z jednej wytłoczyło, to z drugiej to było widać. Oczywiście po każdym takim przegięciu przychodziła jakaś reforma, która wprowadzała z powrotem porządniejszy pieniądz, i wszyscy oddychali z ulgą. Ale tak to się bujało przez całe stulecia.

Coś nowego w tej dziedzinie zaczęło się w wieku XVI. Hiszpanie zdobyli kolonie w Ameryce Południowej i się okazało, że tam są ogromne zasoby srebra. Zaczęli to srebro sprowadzać do Europy i wybijając z niego takie duże, porządne pieniądze – talary. Wtedy też pojawiła się nazwa „talar”, od której wywodzi się dzisiejszy dolar. Te talary to były bardzo porządne pieniądze, na pewno nie były psute, a mimo to powodowały inflację. Wtedy ludziom zaświtała w głowach myśl, że być może pieniądz traci na wartości nie dlatego, że coś się z nim złego dzieje, tylko dlatego, że jest go po prostu za dużo. Rodziła się w tym momencie ilościowa teoria pieniądza. To Kopernik miał z tym coś wspólnego, bo on właśnie w tym czasie snuł rozważania na temat systemu pieniężnego.

Kolejny przełom w tej dziedzinie nastąpił w wieku XVII i to w naszym bezpośrednim sąsiedztwie. Po wojnach, które znamy pod nazwą potopu szwedzkiego, zarówno Polska, jak i Szwecja były splukane, zrujnowane finansowo przez wysiłek wojenny. My wybrnęliśmy z tego tradycyjnie, to znaczy król wydzierżawił mennicę Andrzejowi Tymfowi, a mincerz zaczął bić pieniądze, które formalnie były złotym polskim. Polski złoty przedrozbiorowy miał 30 groszy i na tymfach było napisane, że to jest 30 groszy polskich, a tak naprawdę tam było groszy za 13, znaczy srebra za 13 groszy. Psuliśmy tak jak przez całe stulecia. Szwedzi wymyślili coś dużo bardziej oryginalnego. Mieli mało srebra, mało złota, ale dużo miedzi. Wpadli więc na pomysł, żeby do systemu pieniądza kruszcowego włączyć miedź jako trzeci kruszec. Żebyśmy się dobrze zrozumieli, nie chodziło o to, żeby się pojawiły zdawkowe takie pieniążki umowne, miedziane, jakie my dzisiaj też mamy w portmonetkach – pięciogroszówki i niższe. Chodziło o włączenie miedzi w system pieniądza kruszcowego, czyli zasób kruszców w monecie wciąż miał odpowiadać jej nominalnej wartości. Ale ponieważ miedź była jednak dużo tańsza od obu pozostałych kruszców, to pokażę Państwu, co Szwedom z tego wyszło. Zaczęły im wycho-

dzić z tego bardzo niepraktyczne pieniądze. To się nazywa platment, to jest taka blacha naturalnej wielkości, mająca mniej więcej ze dwa centymetry grubości i ważąca 20 kilogramów. I to jest 10 talarów, tu w kilku miejscach jest taka pieczęć, że to jest 10 talarów. Teoretycznie pomysł włączenia miedzi do systemu kruszcowego był świetny, no bo miedzi było dużo, można było ten system poszerzyć. W praktyce to się od razu okazało nie do użytku, bo jeśli mówiliśmy sobie na początku, jakie warunki musi spełniać pieniądz, to jeszcze jednej rzeczy od niego oczekujemy – żeby dał się wygodnie ze sobą nosić. Pieniądz, który waży tonę i stoi przed wejściem do mojego domu, to niby co ja mam z nim zrobić? A platmenty zaczęły taki problem stwarzać. To było 10 talarów, a proszę sobie wyobrazić, że wypłacono Państwu z jakiegoś powodu 120. No i są Państwo ugotowani. Nie było samochodów, Szwedzi skonstruowali nawet specjalne saneczki, na których ciągnęli za sobą te platmenty... są takie ryciny. To był jakiś obłęd, który wymusił zaraz potem kolejny wynalazek. Szwedzi założyli szwedzki bank państwowy, Sverige Riksbank, który zaczął przyjmować od nich te platmenty i wydawał im kwity, że oni te pieniądze mają naprawdę. Z kwitami można było w każdej chwili pójść do banku i odebrać swoją miedź. Ale ponieważ kwity były na okaziciela, to Szwedzi zaczęli sobie tymi kwitami płacić i nie fatygowali się do banku po miedź. Tak Szwecja stała się ojczyzną pieniądza papierowego, w każdym razie w obrębie kultury europejskiej, bo starsze doświadczenia w tej dziedzinie mieli Chińczycy. Marco Polo opisywał chiński pieniądz papierowy, bardzo wydziwiał zresztą nad tym.

I tutaj pojawiła się od razu następna myśl. Banki tak naprawdę działają i zarabiają na niepełnym pokryciu swoich zobowiązań. Wychodzą z założenia, że przecież wszyscy klienci nie przyjdą po swoje zobowiązania naraz. Dlatego można kredytów wykreować trochę więcej, niż mamy gotówki. Jak nie wszyscy przyjdą naraz, to damy radę. Jak przyjdą, to wtedy będzie katastrofa, ale to jest mało prawdopodobne. I z tym wynalazkiem, o którym mówimy, natychmiast zaczęło być tak samo. To znaczy pojawiła się myśl, że przecież wszyscy nie przyjdą po swoje platmenty równocześnie. A to znaczy, że pokrycie nie musi być stuprocentowe. Jak mamy za milion platmentów, to możemy banknotów wydać, wydrukować trzy miliony i to będzie działało. Tak wyglądał system pieniądza

kruszcowego w następnych stuleciach, aż do Wielkiego Kryzysu lat 30. Nadal się mówiło, że jest złota waluta, ale to nie znaczyło, że ludzie po kieszeniach mają złote pieniądze. Ludzie po kieszeniach mieli mniej więcej to samo co my, czyli banknoty, monety, nie mieli oczywiście kart, bo to jeszcze nie te czasy, z tym, że te banknoty w banku centralnym można było wymienić na kruszec. Co więcej, był ustawowy związek między zasobami kruszcu w banku centralnym a rozmiarami obiegu pieniężnego. I bank centralny mógł wydrukować więcej o ileś tam, ale nie więcej niż ta ustawa mówiła. Zazwyczaj to było takie pokrycie w okolicach 30%.

Czy ten udany szwedzki eksperyment znalazł naśladowców?

Znalazł natychmiast. Jak Anglicy zobaczyli, że tak fajnie to działa, to zaczęli robić to samo, tylko właśnie już nie z miedzią, a ze złotem. Pod koniec XVII wieku powstał Bank Anglii. Bank Anglii zaczął się tak samo zabawiać ze złotem. I potem inni poszli tą samą drogą. Ale nie wszystkim się chyba udało.

Zaletą tego systemu pieniężnego było to, że był dużo solidniejszy niż nasz dzisiejszy system pieniężny, dużo bardziej odporny na inflację; wadą zaś to, że ostatecznie rozmiary obiegu pieniężnego zależały od siły wyższej, czyli zasobów kruszcu. A tego się nie dało sztucznie pomnożyć. Alchemicy próbowali, ale ich wysiłki szczyły na niczym. To mogło oznaczać, że w pewnych sytuacjach obieg pieniężny jest za wąski na potrzeby gospodarki, więc gospodarka jest duszona deflacją. Były w związku z tym w cenie rozmaite pomysły, jak go poszerzyć i rozluźnić bez rezygnowania z tej głównej zalety. Jednym z takich pomysłów był system bimetaliczny, to znaczy włączenie do obiegu jako pokrycia emisji i złota, i srebra. To było fajne, bo można było więcej pieniędzy zrobić. To nie było fajne, ponieważ żeby taki system stworzyć, trzeba było umówić się na jakąś sztywną relację wartości srebra do złota. A ta relacja wahała się w zależności od podaży i popytu i nie odpowiadała naszej sztywnej. Były z tym okropne kłopoty. Generalnie bimetalizm się nie udał. Pod koniec XIX wieku zarysowała się taka sytuacja, że jeśli jakieś kraje chciały grać w pierwszej lidze i być traktowane poważnie, to miały złotą walutę. Europa cała przeszła na złotą walutę w latach 90. Rosja to zrobiła, w 1900 roku dosyć późno Amerykanie to zrobili. Jak Japonia chciała zasygnalizować,

że jest pierwszoligowym mocarstwem, to też zrobiła sobie złotego jena. Srebrem natomiast posługiwały się kraje azjatyckie i te biedniały w stosunku do Europy. Indie brytyjskie, Indochiny francuskie, tam wszędzie były waluty srebrne, a srebro taniało w stosunku do złota. W miarę tego, jak srebro taniało, biedniały też te narody w stosunku do Europejczyków. To był taki monetarny przejaw kolonializmu.

Wszystko zmieniło się w czasie Wielkiego Kryzysu, w którym głównym problemem była deflacja. Gospodarka była duszona przez zbyt wąski obieg pieniężny. Pojawiła się wówczas idea interwencjonizmu państwowego, czyli aktywnej roli gospodarczej państwa. Co za tym idzie? Niezrównoważony budżet, o czym powiem za chwilę. To oznaczało, że złoto nie może być pokryciem emisji pieniądza. Musi być jakiś inny system, a złoto musi być z tego wyłączone. Generalnie przyjęto zasadę, że tym pokryciem emisji jest dług państwowy. Im bardziej państwo się zadłuża, tym więcej można wydać pieniądza i w pewnym sensie emisją pieniądza pokrywamy deficyt budżetowy. Istniała groźba, że to się przerozdi w wielką inflację, więc trzeba było jakoś mimo wszystko na to nałożyć hamulce. Myślę, że jak będziemy mówić o budżecie, to o tych hamulcach sobie powiemy. W każdym razie w okresie powojenny weszliśmy z takim systemem, że nie wymagano już od poszczególnych krajów wymienialności na złoto, ale Amerykanie, którzy po II wojnie światowej mieli w swoich rękach ponad połowę złota (to wszystko było zebrane w jednym miejscu, w bazie wojskowej Fort Knox), trochę w ramach propagandy popisywania się zadeklarowali, że wymieniają dolary na złoto. Nie każdemu, tylko bankom centralnym. Złożyli obietnicę, że wymieniają na złoto. co więcej, po sztywnym przedwojennym kursie, czyli 35 dolarów za uncję. To w pewnym momencie obróciło się przeciw Amerykanom, bo ludzie się zorientowali, że złoto jest nienaturalnie tanie. Amerykanie ze względów prestiżowych zapędzili się więc w koziego róg, zmuszeni do obrony niskiej ceny złota. Ale było oczywiste, że nie dadzą rady robić tego w nieskończoność. Pewnego dnia pękną i wtedy złoto bardzo podrożeje. Należało zatem korzystać z okazji i obkupić się w to złoto, póki jeszcze Amerykanie się trzymali. I w latach 60. mówiło się o czymś takim, jak wykrwawianie dolara, to znaczy złoto uciekało z Fortu Knox. Amery-

kanie byli wobec tego dosyć bezsilni. Powinni byli zdevaluować dolara, ale puścili wcześniej w obieg takie powiedzonko, że dolar jest równie dobry jak złoto. Jeśli zaś mówili zawsze, że dolar jest równie dobry jak złoto, to nie mogli go zdevaluować, bo ludzie przestaliby w to wierzyć. To trwało do 1971 roku, kiedy Richard Nixon w końcu zdecydował się zawiesić wymienialność dolara na złoto. Wtedy mówiło się zawiesić. To była propaganda sukcesu. Wiadomo było raczej, że ta wymienialność jest już zawieszona na zawsze. Wtedy tak naprawdę system walutowy zerwał ze złotem. Ostatecznie to zostało przyklepane w 1976 roku na konferencji Funduszu Walutowego w Kingston na Jamajce, gdzie dokonano demonetyzacji złota. Od 1976 roku nie wolno wyznaczać żadnych oficjalnych parytetów w złocie. System walutowy ma nie mieć nic wspólnego ze złotem. Złoto oczywiście nadal jest na świecie, ma swoją wartość, ma swoją cenę rynkową, ale ta cena nie ma więcej wspólnego z systemem walutowym niż cena ropy naftowej, gazu i paru innych rzeczy. To po prostu jest towar, taki wyjątkowy dosyć towar. Nawiasem mówiąc, żeby przybliżyć Państwu, o jakich wielkościach mówimy, przypominam sobie, że gdzieś taki szacunek znalazłem, że całe złoto dotychczas wydobyte i zużyte przez ludzkość to jest taki sześcian o boku 33 metrów. Spory kawałek i dużo waży, ale mimo wszystko taki wyobraźalny dla nas.

Jaki wpływ miał proces demonetaryzacji złota na kursy walut? Gdy pieniądz był oparty na złocie, to kursy walut były dosyć sztywne. Tutaj złoto wszędzie kosztowało tyle samo, w zależności od wartości waluty. Natomiast później, kiedy to złoto odeszło...

Więc właśnie ten przełom z początku lat 70., o którym mówiłem, polegał na przejściu na system płynnych kursów. Uznano, że sztywne kursy walutowe to jest coś, co przeszkadza, i że albo mamy sztywne kursy, albo mamy na przykład swobodę przepływu kapitału na świecie. To lepiej mieć tę swobodę przepływu kapitału. Nie da się tych obu rzeczy mieć naraz. Generalnie lata 70., gdy ten system się rozchwiał, były latami dosyć wysokiej inflacji. Potem próbowano jakoś ją opanować. W latach 80. nastąpił zwrot w polityce makroekonomicznej poszczególnych krajów – pojawił się monetaryzm. Monetaryzm to było takie przekonanie, że największym złem jest inflacja. I przede wszystkim zadaniem rządu jest

walka o stabilność makroekonomiczną – jak to się wówczas mówiło – co oznaczało: walczymy przede wszystkim z inflacją kosztem innych rzeczy. Jeśli to ma być kosztem zwiększenia bezrobocia, to trudno. Wolimy nie mieć inflacji niż mieć niskie bezrobocie. Ten sposób myślenia stopniowo się upowszechniał. Reformy stabilizacyjne w krajach postkomunistycznych, m.in. plan Balcerowicza, były oparte na takich właśnie założeniach. Monetarizm święcił triumfy w latach 90., kiedy się wydawał jedynym słusznym rozwiązaniem, i został wystawiony na dosyć ciężką próbę w 2008 roku. Przyszedł wtedy kryzys monetarizmu. Okazało się, że ta polityka potrafi być niebezpieczna, może generować kryzysy finansowe i nie zabezpiecza przed nimi. No i właściwie powinna się w tym momencie pojawić jakaś konkurencyjna wielka doktryna ekonomiczna, która zastąpiłaby monetarizm. Niestety, nie pojawiła do tej pory i chyba głównie z tego powodu, że na tej całej scenie polityki gospodarczej stanął nowy problem, który przedtem był przez wszystkich lekceważony, to znaczy bariera ekologiczna. Na przykład nakręcanie koniunktury kosztem rozbudowy przemysłu za wszelką cenę przyczynia się do niszczenia środowiska i nie można po prostu w tę stronę posuwać się zbyt daleko. Ta nowa doktryna powinna jakoś brać to pod uwagę, ale dotychczas jeszcze nikt jej nie wymyślił. Ten, co wymyśli, na pewno dostanie Nagrodę Nobla.

Tylko pytanie, czy dożyje... Nie ma nowej doktryny, ale zmienia się istota pieniądza. To już nie jest tylko pieniądz papierowy, pieniądz kruszcowy, którego już dawno nie ma, ale są różne nowe formy pieniądza. Następuje pewna ekspansja form płatności.

Tym wszystkim sterowały banki centralne. Z tego, cośmy powiedzieli, wynika, że banki mają zdolność pomnażania pieniądza. To znaczy już od dłuższego czasu ludzie wiedzą, że pieniądz to nie są tylko monety i banknoty. Pieniądz to jest również to, co banki są w stanie do tego dodać, ponieważ działają na zasadzie niepełnego pokrycia – mając milion, robią z tego trzy, bo mają swoje sposoby, żeby tak zrobić. No i banki centralne troszkę tym sterowały, to znaczy nauczyły się hamować albo napędzać inflację, jakoś wpływać na zachowanie banków komercyjnych. Z tego punktu widzenia momentem przełomowym był rok 1966, kiedy w Stanach Zjed-

noczonych doszło do próby sił między bankiem centralnym, czyli rezerwą federalną, i bankami komercyjnymi. Rezerwa federalna uznała, że trzeba walczyć z inflacją, bo jest za wysoka, a banki amerykańskie wtedy odkryły coś takiego jak rynek euro-dolarowy, to znaczy przeniosły swoje interesy w dolarach do Europy Zachodniej. Okazało się, że uciekły w ten sposób spod władzy każdego banku centralnego. Bo wyobraźmy sobie, bank amerykański otworzył filię w Amsterdamie i zaczął na wielką skalę robić interesy w dolarach. Holenderski bank centralny przyjrzał się temu i doszedł do wniosku, że on odpowiada za kondycję guldenu, tak się kiedyś nazywała waluta holenderska, a ponieważ to, co się działo, było w dolarach, to uznał, że nie będzie się tym zajmował. Amerykańska rezerwa federalna bardzo chętnie by się tym zajęła, ale jej władza kończyła się na granicy Stanów Zjednoczonych. Wtedy powstała taka eksterytorialna bankowość, której właściwie nikt nie kontrolował. Wtedy się też zrodził się problem rajów podatkowych. To był taki krok w stronę globalizacji. Finanse stały się na tyle międzynarodowe, że żadne krajowe władze w pojedynkę nie były w stanie ich kontrolować. A potem do tego doszła jeszcze kwestia techniczna, to znaczy od kiedy bankowość stała się elektroniczna, a nie analogowa, mówiąc w uproszczeniu, to tym bardziej trudno ją kontrolować. Tak naprawdę nikt na świecie nie kontroluje finansów światowych. One są w dużym stopniu autonomiczne. I to oczywiście ożywia gospodarkę, to jest ważny element naszego dobrobytu współczesnego, ale to jest też źródło zagrożeń, bo tam się mogą wydarzyć takie rzeczy, jak w 2008 roku. Zresztą wiele rzeczy się zmieniło, bo kiedyś bankructwo banku polegałoby na tym, że przed bankiem ustawiała się kolejka, a bank w pewnej chwili mówi, że skończyła mu się gotówka i bankrutuje. Dzisiaj trudno to sobie wyobrazić. Dzisiaj to by chyba polegało na wyłączeniu bankomatów, przy czym oni by nam nie powiedzieli, że to jest problem finansowy. Oni by nam powiedzieli, że to jest problem techniczny i pracujemy nad tym i jutro będzie wszystko dobrze.

Jaka jest przyszłość pieniądza? I systemów pieniężnych?

Nie wierzę w takie przepowiednie, że idziemy w stronę jednej ogólnoswiatowej waluty. To nie miałyby sensu. Bezpieczeństwo

systemu walutowego powinno być trochę dostosowane do zamożności społeczeństwa. Społeczeństwa biedniejsze chcą mieć łatwiejszy dostęp do kredytu kosztem ewentualnie niższych standardów bezpieczeństwa. Im społeczeństwo jest bogatsze, tym bardziej sobie ceni bezpieczeństwo systemu. Z tego punktu widzenia ryzykownym pomysłem było już Euro, bo ono łączyło społeczeństwo niemieckie, zamożne, ze społeczeństwem greckim, dużo biedniejszym, trzeba było dla tych dwóch włączyć jednakowy poziom bezpieczeństwa. I się okazało, że to już powoduje napięcia. Świat jest jeszcze bardziej zróżnicowany niż Europa, więc to w skali świata się raczej nie uda.

Ale pieniądz przetrwa, czy może zostanie zastąpiony?

Przetrwa oczywiście, a czym niby ma zostać zastąpiony?

Kryptowaluty?

Nie, trudno mi to traktować poważnie. To ma charakter spekulacyjny. Ktoś na tym naprawdę się obłowi, tak jak na każdej spekulacji, ale moim zdaniem nic więcej.

Czyli system pieniężny stworzony w drodze ewolucji, o której mówiliśmy, powinien istnieć przez następne dekady...

Co najmniej... Tak, on się będzie zmieniał, ale istota sprawy będzie taka sama.

Zmienia się, zmienia, ale będzie nadal krwiobiegiem życia gospodarczego.

Tak jest.

 Paweł Grata

 Cecylia Leszczyńska

CZYM JEST SYSTEM BANKOWY I JAK EWOLUOWAŁ?

PAWEŁ GRATA: Witam serdecznie w kolejnym podcaście z cyklu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy” realizowanego w ramach projektu pod tym samym tytułem, finansowanego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego w programie Społeczna Odpowiedzialność Nauki. Dzisiejszym naszym gościem jest Pani Profesor Cecylia Leszczyńska, ekonomistka z Uniwersytetu Warszawskiego, specjalistka od bankowości, finansów i polityki pieniężnej. Tematem spotkania będzie system bankowy i drogi jego ewolucji. Czym jest zatem system bankowy? Musimy zacząć od zdefiniowania podstawowego pojęcia.

CECYLIA LESZCZYŃSKA: Mamy dwa człony tego sformułowania – „system” i „bankowy”. Bankowy, oczywiście domniemujemy, że chodzi o banki, aczkolwiek w tym systemie – zaraz przejdę do słowa „system” – funkcjonują również inni tak zwani pośrednicy finansowi, których rola w systemach bankowych jest zazwyczaj zdecydowanie słabsza aniżeli samych banków. Słowo „system” wskazuje, że mamy do czynienia z jakąś strukturą uporządkowania, istnieje system fiskalny, system polityczny, system skarbowy etc. Określenie „system” zakłada, iż struktura, w której te podmioty funkcjonują, pomiędzy którymi zachodzą jakieś relacje, jest w jakiś sposób uregulowana, uporządkowana. Jednym słowem, mamy określone interakcje i ich uporządkowanie. Zazwyczaj do-

konuje się ono poprzez regulacje, regulatorów, którzy tworzą ramy prawne, w jakich system bankowy funkcjonuje. Czyli mamy prawo bankowe, oczywiście na drugim planie prawo cywilne, które odnosi się do wszystkich podmiotów gospodarczych, czy też historycznie prawo handlowe, kodeksy spółek i tak dalej. System bankowy to zatem zbiór podmiotów, które funkcjonują na rynku pieniężnym, gdzie handluje się, powiedzmy kolokwialnie, pieniądzem, i relacje, zasady funkcjonowania, funkcje, czynności. Zarazem organizacja tych podmiotów jest w jakiś sposób uporządkowana i tym porządkującym jest państwo – regulator, który robi to mocą ustawy. Podstawową ustawą jest zazwyczaj prawo bankowe i ono określa ramy funkcjonowania owego systemu. System bankowy przyjęło się nazywać od drugiej połowy XIX wieku systemem dwupoziomowym. Dwupoziomowość zakłada, że są jakieś dwie struktury obok siebie funkcjonujące i w ramach tej dwupoziomowości mamy z jednej strony bank centralny, z drugiej zaś coś, co nazywa się bankowością komercyjną, czyli różnego rodzaju podmioty funkcjonujące na rynku. Relacje pomiędzy tymże bankiem centralnym a bankowością komercyjną są produktem historii i razem z ewolucją systemów gospodarczych również się zmieniają.

Do tego jeszcze oczywiście wrócimy, jak to funkcjonuje dzisiaj. Celem naszych spotkań jest pokazanie tego, jak przeszłość determinuje aktualne rozwiązania gospodarcze i jak wpływa na dzisiejsze życie społeczeństwa. System bankowy jest czymś bardzo ważnym i określa nasze funkcjonowanie na rynku, w gospodarce rynkowej. Skąd wzięły się zatem banki? Jaka jest ich geneza i ewolucja, która doprowadziła do tego, że w XIX wieku zaczął się kształtować nowoczesny system bankowy?

Kiedy mówimy „banki”, zazwyczaj myślimy o bankach komercyjnych. I kiedy Pan Profesor pyta o korzenie, ja tutaj muszę wprowadzić pewne rozróżnienie, ponieważ te korzenie mają inną naturę, inny charakter w przypadku różnych składowych tegoż systemu bankowego, tychże banków komercyjnych. W pewnym uproszczeniu możemy powiedzieć, że mamy klasyczne banki komercyjne, historycznie nazywane bankami handlowymi, mamy bankowość spółdzielczą, istniały także odrębne banki komunalne, odrębne

banki hipoteczne, towarzystwa kredytowe ziemskie, towarzystwa kredytowe miejskie. Jednym słowem, ten system był dosyć zróżnicowany. Z upływem czasu uległ swego rodzaju homogenizacji, może nie pełnej, ale jednak dzisiejsze banki spółdzielcze przypominają nam w jakimś zakresie takie standardowe banki komercyjne. Historycznie one oczywiście były różne. I ten proces zmian doprowadził do, byśmy powiedzieli, swego rodzaju upodobniania się, jeżeli idzie o zakres czynności, tych instytucji do siebie. Ich struktura organizacyjna pozostaje jednak w jakimś stopniu wciąż odmienna. I aby odpowiedzieć na pytanie, skąd się banki w ogóle wzięły, należałoby dokonać rozróżnienia poszczególnych typów banków, ponieważ źródła tychże banków były różne. Standardową bankowość komercyjną, takim się będę posługiwała określeniem, zamiennie nazywano bankowością handlową. Przymiotnik „handlowy” dobrze tłumaczy genezę tych banków. Powstawały one niejako na obrzeżach operacji handlowych. Można powiedzieć, że banki wyrosły z pośrednictwa handlowego. Gdy w pośrednictwie handlowym obejmującym transakcje kupna i sprzedaży pojawiła się gospodarka pieniężna, pojawił się pieniądz, zaczęły się tworzyć instytucje wyspecjalizowane właśnie w obrocie pieniężnym, aczkolwiek przez długi czas te operacje handlowe i operacje pieniężne były skoncentrowane w jednych instytucjach. Można by powiedzieć w pewnym uproszczeniu, że banki wyodrębniły się z gąszcza różnego rodzaju pośredników w momencie, w którym opłacalne stało się posługiwanie wyłącznie pieniądzem. Czyli skala operacji gospodarczych była na tyle duża, że mogły się z tego wyodrębnić instytucje działające wyłącznie jako „handlarze”, jako pośrednicy, jako podmioty operujące pieniądzem. Taka jest geneza banków handlowych. Jest oczywiste, że one będą powstawały w centrach handlu czy to lokalnego, czy międzynarodowego. Nieprzypadkowo zresztą uważa się, że bankowość europejska narodziła się w miastach włoskich. Florencja, Wenecja, Genua, a więc ośrodki handlu międzynarodowego pomiędzy Europą a Azją, były siedzibami pierwszych banków. Mamy zresztą grupę pojęć funkcjonujących w dawnej bankowości, takich jak „giro”, „banco” (to ławka), których źródłosłów pochodzi z tamtego regionu. A później w innych częściach świata, gdzie rozwijał się handel międzynarodowy i lokalny, również powstawała bankowość, a więc w miastach hollen-

derskich, w miastach południowej Anglii. W czasach nowożytnych w tych ośrodkach działali wielcy kupcy, powstawały instrumenty typu weksle, rozwijało się pośrednictwo pieniężne, obsługa transakcji, również w skali międzynarodowej, tam też zaczęły wyrastać banki handlowe. Bardzo długo nazywano je właśnie bankami handlowymi, później zaczęły się one specjalizować, dostosowując swą kategorię do skali i typu operacji gospodarczych. Na przykład banki rozliczeniowe wykonywały wiele funkcji, ale między innymi pośredniczyły w transakcjach handlowych pomiędzy podmiotami A, B, C, D, E. I w związku z tym rozliczały już nie tylko handel i robiły to za pomocą bardziej wyspecjalizowanych instrumentów. W ten sposób wyewoluowały banki dyskontowe, na przykład w Londynie, banki miejskie w Amsterdamie i tak dalej. Tutaj była pewna specyfika, te instytucje nie były jeszcze jednolite. Dopiero później zaczęły się do siebie upodabniać.

Inna była geneza banków spółdzielczych. One powstawały w naszej części Europy, tutaj nasz region wykonał, powiedziałabym, pewną robotę w Europie Środkowo-Wschodniej. Instytucje te zrodziły się z potrzeby lokalnego kredytu. Znamy historię bankowości spółdzielczej typu raiffeisenowskiego czy bankowości spółdzielczej typu Schulzego. Przyszły do naszej części Europy z krajów niemieckich i można powiedzieć, że ich korzenie tkwiły właśnie w potrzebach lokalnych społeczności. Nie miały one źródeł kredytu, czasami miały już pewne nadwyżki oszczędności i te oszczędności przechowywano w domach. Banki spółdzielcze umożliwiały spotkanie tych dwóch grup podmiotów – tych, którzy mają nadwyżki oszczędności, i tych, którzy potrzebują tegoż pieniądza, tyle że właśnie w skali lokalnej. Chodziło zresztą o to, żeby te instytucje miały proste procedury, dostosowane do potrzeb lokalnych społeczności. I tak powstały w Wielkopolsce banki ludowe. One miały taki właśnie charakter.

Potem w zaborze rosyjskim, w Królestwie Polskim, powstały kooperatywy, nazywane czasami stowarzyszeniami. One jeszcze nie miały uregulowanych zasad prawnych, opierały się na statutach tworzonych przez założycieli, dopiero z czasem miały powstać regulacje dotyczące ich funkcjonowania. W Galicji ten typ reprezentowały Kasy Stefczyka. Mamy więc trochę inne źródło. Na marginesie warto wspomnieć, że ich dalekich analogii można pew-

nie szukać w tzw. *montes pietatis*, górach dobroczynności, czyli tzw. bankach pobożnych funkcjonujących jak lombardy. Nie wiem, czy dzisiaj jeszcze istnieją gdzieś takie lombardy, gdzie idzie się po pieniądź, zastawiając jakieś dobra trwałe. I te powstawały w późnym średniowieczu, no właśnie po to, żeby ludziom, zazwyczaj biednym, niemającym zasobów pieniężnych, umożliwić poprzez zastaw pożyczanie pieniędzy. Tutaj dodam jeszcze jedną ciekawą rzecz, a mianowicie, że funkcjonowanie bankowości zawsze wiązało się z problemem stóp procentowych, kwestią lichwy, zakazu stosowania oprocentowania w średniowieczu i czasach wcześniejszych. Osoby zainteresowane odsyłam do publikacji Jacques'a Le Goffa, który znakomicie opisywał na przykładzie średniowiecznej Francji, jak ten problem zakazu pożyczania na jakikolwiek procent funkcjonował.

Jak wspomniałam, każdy z tych typów banków miał nieco inną genezę, możemy przywołać towarzystwa kredytowe. Te dziewiętnastowieczne powstawały z kolei jako odpowiedź na popyt na kredyt dużych właścicieli ziemskich – zadłużonych, mających zobowiązania, no i niemających pieniędzy. Wymyślono wówczas coś znakomitego, co właściwie zlikwidowano ostatecznie dopiero w 1948 roku w ramach reformy bankowej. A mianowicie grupa osób, to znowu towarzystwo, czyli jakaś spółka, stowarzyszenie osób, które posiadają ziemię, duże nieruchomości, ale mają też problem z pozyskaniem pieniędzy – no bo można go tylko pozyskać poprzez sprzedaż towarów, a oni są zadłużeni na „sumy bajońskie” – zakłada towarzystwo kredytowe i emituje listy zastawne, takie dzisiejsze obligacje. Zabezpieczeniem tychże listów zastawnych jest ich majątek, więc zabezpieczenie jest dobre. Powstaje tylko pytanie, kto te listy zastawne kupi. No i tutaj pojawia się państwo, wchodzi, tworzy regulacje, zakłada, że na przykład Bank Polski powinien to kupić. Te listy mogą trafić na otwarty rynek, ale najpierw trzeba pokonać barierę niepewności, ryzyka tych, którzy potencjalnie mogliby kupić takie listy zastawne. I to się udaje. Listy są oprocentowane, ci, którzy mają oszczędności, mogą je nabyć, ale głównie jednak kupują je instytucje publiczne. Dla jednych jest to forma lokowania oszczędności, a inni w ten sposób pozyskują środki pieniężne. Co wtedy, jeżeli dany właściciel ziemski nie wywiązuje się ze swoich zobowiązań? Dochodzi do licytacji majątku. Bo to stowarzyszenie

jest taką, musimy powiedzieć, partycypacją pełną, no i jego członkowie godzą się na to, że jeżeli listy nie będą umarzane – tak jak obligacje są w określonych cyklach zgodnie z zasadami emisji umarzane – poprzez tak zwane losowanie listów zastawnych będą kupowane, a jeżeli ktoś nie partycypował w tworzeniu funduszu, z którego te listy były umarzane, no to niestety, jego majątek podlegał licytacji. W ten sposób pozyskiwano środki na umarzanie.

Jeszcze inne źródło powstania mają na przykład państwowe kasy oszczędności. Instytucje te tworzone były przez państwa w XIX wieku i to w wielu krajach jako swego rodzaju wypełnienie luki inwestycyjnej dla osób, które nie ufają bankom, nie ufają kasom albo bankom spółdzielczym, albo ze względu na odległość nie mogą dogodnie korzystać z usług tych instytucji. I oto państwo wchodzi na rynek i oferuje obywatelom bezpieczne oszczędzanie w kasie państwowej. Istniała m.in. galicyjska kasa, która miała swoje kłopoty przejściowe, ale gdy w jej działalność zaangażowało się państwo, wnosząc swoje gwarancje, ludzie w sposób bezpieczny lokowali oszczędności w tejże kasie. I co ciekawe, kasy te nie miały struktury oddziałowej. Działały poprzez urzędy pocztowe, dlatego też potem powstanie nazwa Poczta Kasa Oszczędności. Co ta kasa robiła z tymi oszczędnościami ludności? Kupowała obligacje rządowe, finansując w ten sposób dług publiczny. Powstało wówczas określenie papiery pupilarne, czyli bezpieczne. Nie było jeszcze instytucji ratingowych, które wskazywałyby, co jest bezpieczne, co nie. Natomiast w tym przypadku państwo poprzez właśnie kasy dawało gwarancje bezpieczeństwa. Kasy stały się z czasem poważnym konkurentem banków spółdzielczych. Przy bankach spółdzielczych jeszcze jedną rzecz powinienem dodać, a mianowicie są to takie stowarzyszenia, w których lokalni rolnicy, rzemieślnicy, przedsiębiorcy, chciałabym powiedzieć – sektor małych i średnich przedsiębiorstw, wnoszą udziały, tworząc rodzaj spółki, instytucję, co oznacza partycypację w udziałach, w kapitale tegoż przedsięwzięcia i daje później prawo pozyskiwania tanich, prostych kredytów.

Właśnie *a propos* tego, czyli tanich, prostych kredytów. Bank i kredyt to są dwa pojęcia nieodłącznie ze sobą związane. Dzisiaj przecież stopa procentowa, jej wysokość jest bardzo waż-

nym wyznacznikiem możliwości zarówno konsumpcyjnych, jak i inwestycyjnych. Jak drogie były kredyty w XIX wieku, kiedy system bankowy dojrzał? Jak można by to porównać z dzisiejszymi czasami?

Stopy procentowe były dosyć stabilne. Oczywiście one chwiały się w okresach turbulencji, takich jak kryzysy finansowe czy polityczne, wojny, ale tutaj raczej Europa w XIX wieku po wojnach napoleońskich była dosyć spokojna. Gdzieś tam była wojna krymska, gdzieś była Wiosna Ludów, we Francji coś się działo... Niemniej w skali międzynarodowej jakichś wielkich konfliktów aż do I wojny światowej nie było. Były oczywiście kryzysy bankowe, które powodowały, że ta niepewność dotycząca stabilności, gwarancji depozytów była trudna. Jeżeli natomiast idzie o same stopy procentowe, muszę na chwilę wrócić do lichwy. Trzeba pamiętać, że wszystkie religie monoteistyczne w średniowieczu i później zresztą, islam do dzisiaj przecież, stosowały ograniczenia dotyczące pożyczania na procent. Pierwotnie te zastrzeżenia były bardzo radykalne, to znaczy każda stopa procentowa przy oprocentowaniu kredytu była uważana z punktu widzenia kanonów religijnych za niedozwoloną. Oczywiście to hamowało kredyt, bo stopa procentowa, mówimy, że jest wynagrodzeniem za pożyczanie pieniędzy, jest trochę odpowiedzią na ryzyko. Im wyższe ryzyko kredytowe, tym wyższa stopa procentowa. I zakaz pobierania w ogóle odsetek był dla bankowości zabójczy. Banki uczyły się w związku z tym to obchodzić. Stosowały różnego rodzaju obejścia, które by uzasadniały jednak pobieranie odsetek, tutaj przywołajmy świętego Tomasza z Akwinu, który stworzył tak zwane furtki dla kapitalizmu poprzez interpretację ceny godziwej etc. Potem państwa zaczęły stosować zasadę stopy maksymalnej. Czyli dopuszczalne jest zaprocentowanie kredytu, ale do określonego poziomu maksymalnego. I te poziomy maksymalne stosowane już były w prawodawstwie miejskim czy też w prawie państwowym, to zależy od struktury politycznej danego obszaru. Stopy procentowe maksymalne sięgały 6–8%. i były stabilne przez długie, długie lata. W XIX wieku, kiedy zwyciężyło przekonanie, że gospodarka powinna być bardziej rynkowa, nieuregulowana – zgodnie z koncepcją Adama Smitha, fizjokratów, którzy mówią, że rynek powinien

być wolny – niektóre kraje wycofały się z regulacji stopy procentowej. I tutaj mamy daleko idącą różnorodność, to znaczy tam, gdzie już ten rynek poprzez instytucje finansowe był wypełniony, podaż kredytu była relatywnie satysfakcjonująca, a kredyt rządu 5–6%. Jest to nazywane marżą odsetkową, czyli płaci się depozytariuszowi 3–4%, no i mamy spread, różnicę między stopą odsetkową a stopą kredytową, zazwyczaj w wymiarze 2–3 punktów procentowych. A zatem oprocentowanie tego kredytu to jest 6–7%, czyli ono kształtuje się na poziomie uformowanym historycznie poprzez regulacje państwowe. Natomiast tam, gdzie te ryzyka kredytowe są wysokie, bo kredytobiorcy są nieznanymi bądź nie prowadzili działalności gospodarczej, albo plajtowali często, stopy procentowe dochodziły do 8–9%. W niektórych regionach zaś, zwłaszcza w środowiskach wiejskich, małomiasteczkowych, gdzie instytucje finansowych było niewiele i obsługiwały głównie rolników – a ci, jak wiadomo, mają dosyć niestabilne przychody, bo uzależnione od ceny płodów rolnych, od urodzaju – na powrót pojawiła się lichwa.

Wówczas częściowo znowu państwa ingerowały w regulację poziomu odsetek, tyle że już nie poprzez odrębne prawodawstwo mówiące o stopie maksymalnej, tylko poprzez prawodawstwo cywilne i karne. I wtedy wprowadzono, co trochę funkcjonowało w Polsce w latach 90., wywiedzione z kategorii ceny godziwej uzasadnienie. Bo czy nie wykorzystuje się trudnego położenia kredytobiorcy, ażeby poprzez wysokie oprocentowanie kredytu „zarobić” na nierównej relacji kredytobiorca–kredytodawca? Dodajmy, że na przykład w Polsce międzywojennej w roku 1924 w ramach reform Grabskiego wprowadzono ustawodawstwo antylichwiarskie. I wtedy na początku stopa maksymalna wynosiła 24%. To pokazuje, że stopa rynkowa była zdecydowanie wyższa, skoro 24% było w ustawodawstwie. Natomiast minister skarbu miał odrębnie prawo określania stopy maksymalnej dla banków. Bank Polski wtedy stosował na przykład 12-procentową stopę kredytową, inne banki – dwadzieścia kilka procent, ale już nie mogły wyjść poza 24, więc szukały jakichś narzędzi, ażeby ewentualnie ten pułap przekroczyć. Musiały jednak trzymać się tej wielkości maksymalnej i potem to stopniowo znoszono i znoszono, i w końcu lat 20. już kredyt w bankach komercyjnych był rządu 9–11%, a w czasie kryzysu lat 30. zszedł do poziomu kilku procent. Ale

oczywiście nie ma jednej stopy. Można analizować jakąś średnią przy tych kredytach. Szacunki pokazywały, że to było 8–9%, kiedy wzięło się pod uwagę wszystkie instytucje bankowe funkcjonujące na rynku.

Co pokazuje, że kilkaset lat ewolucji niekoniecznie miało wielki wpływ na wysokość stóp procentowych, bo dzisiaj stopy są na dosyć podobnym poziomie. Ale jeżeli stopy procentowe, to bank centralny. Jaka jest geneza banku centralnego?

Bank centralny jest w ogóle późną instytucją, zresztą przez długi czas funkcjonowało określenie bank emisyjny, bo pojęcie „bank centralny” oznacza, że on zajmuje jakąś centralną pozycję w systemie finansowym, w systemie bankowym. Natomiast przez całe stulecie nie było banków „centralnych”. Pierwszym, jak wiemy, bankiem, który stworzył taki model bankowości centralnej, jest Bank Anglii, lata 90. XVII wieku. Trochę wcześniej powstaje Bank Szwecji, ale on krótko działa. Źródłem stworzenia banku centralnego czy emisyjnego jest potrzeba instytucji, która będzie finansowała dług publiczny państwa. I musimy pamiętać, że bank centralny jest to instytucja, która wprowadza na rynek pieniądze papierowe. Pieniądz monetarny, czy to złoty, czy to srebrny, emituje państwo. W różnych okresach czasami ludzie sami mogą te pieniądze nieść do mennicy, jakąś tam, nie wiem, biżuterię czy grudki złota, czy cokolwiek przetwarzać na monetę i *vice versa*. Natomiast bank centralny jest w swej istocie, jak mówimy, „instytucją emisyjną”. A więc emisja czego? Papierowych biletów. Zauważmy, że na wszystkich biletach mamy nazwę jego emitenta, czyli Bank Anglii, czy Bank de France, czy Fed amerykański, ale Fed to jest dopiero 1913 rok, a przecież bankowość istniała dużo, dużo wcześniej. Jak powiedziałam, Bank Anglii przeciera szlaki, pokazuje, w jaki sposób prowadzić działalność emisyjną. Ponieważ pieniądz papierowy, no cóż, jest czym? Czym jest papier? No to jest zadrukowany, można by powiedzieć kolokwialnie, świstek. Oczywiście potem on będzie zabezpieczony i tak dalej, przestanie już być takim standardowym papierem. Pieniądz papierowy narodził się w Chinach, tyle że Chiny nigdy nie rozwinęły tego rodzaju bankowości, rozwinęli ją Brytyjczycy, a konkretnie Anglicy. Bank Anglii powstaje jako spółka grupy osób, które zawiązują spółkę

akcyjną pod nazwą „Bank Anglii” i umawiają się z państwem, że pożyczają państwu pieniądze na wydatki publiczne, na działalność państwa. Często my w taki sposób potoczny krytykujemy dług publiczny, ale wyobraźmy sobie, że państwo ma wydatki i jak je ma sfinansować? Albo z podatków, albo, jak w średniowieczu, z psucia pieniądza. Pojawienie się tego instrumentu w postaci pieniądza papierowego jest więc znakomitą wyjątkową. Czyli powstaje spółka Bank Anglii, zawiązuje ją grupa osób, dostają od państwa na 20 lat prawo emisji pieniądza papierowego, pamiętajmy, że inne banki też to robią, ale nie mają umowy z państwem. Mają przywilej emisji na 20 lat, emitują papier. To jest kredyt oprocentowany. Zarabiają w ten sposób, poprzez odsetki kredytowe, i pożyczają państwu. I to jest ta pierwotna relacja bank centralny – państwo. W tym momencie zresztą te banki emisyjne są konkurentem banków komercyjnych, normalnie działających, bo przecież można sobie wyobrazić, że tamte banki komercyjne – znamy przecież czy historię hiszpańską, czy też miasta włoskie, czy też templariuszy – pożyczają królom, pożyczają państwom na różnego rodzaju cele, ale to była epoka pieniądza jeszcze w pełni monetarnego. Mamy więc tutaj emisję pieniądza papierowego, no i potem rozwija się cała sztuka i praktyka bankowa, i teoria, która mówi, jakie przyjąć zasady emisji, ażeby ona była niezbyt duża, ale zarazem dająca korzyści gospodarce. W XVIII wieku pojawia się problem relacji, o których Pan Profesor wspominał, bank centralny – banki komercyjne. Pamiętajmy, że w Europie kontynentalnej banków nie ma. Jest eksperyment Johna Lawa we Francji, lata dwudzieste, żeby stworzyć coś podobnego do Banku Anglii, to nie wyszło. Za dużo nadrukowano w cudzysłowie pieniędzy papierowych i doszło do tego, że inną siłą nabywczą miały monety, a inną siłą nabywcze miały pieniądze papierowe Johna Lawa. Cała impreza, przepraszam, padła. Bank Anglii wypracował zasady.

Wróćmy na zakończenie do tego, jak banki centralne się kształtowały. Jak bardzo dzisiaj rola banku centralnego wzrosła? Jak ona jest istotna w stosunku do tego, co było kiedyś? Dlaczego bank centralny, comiesięczne posiedzenia Rady Polityki Pieniężnej są dla nas takie ważne?

Bank centralny w XIX wieku staje się bankiem banków. Tutaj musimy, ale tylko króciutko wspomnieć o kryzysach finansowych. Kto powinien i czy w ogóle należy bankom komercyjnym pomagać, a więc udzielać im kredytów w czasach kryzysów, kiedy odpływają depozyty, kiedy pojawiają się paniki bankowe itd. Z czasem ukształtowała się rola banku centralnego jako banku banków, czyli instytucji udzielającej na określonych zasadach kredytów również bankom komercyjnym; znowu zbudowana w Anglii. Potem te zasady były implementowane w innych państwach. Problemem jest, jak zarządzać tą emisją, ażeby pogodzić różne cele. Bo jeżeli przyjmijmy, że celem banku centralnego jako spółki akcyjnej – bo one były wtedy jeszcze spółkami akcyjnymi – byłby zysk, no to powinien „rozkręcić” emisję pieniądza papierowego, kreować kredyty dla banków komercyjnych, dla państwa i dla podmiotów gospodarczych również. No ale ta nadmierna emisja pieniądza skutkować będzie oczywiście problemami inflacyjnymi, jeżeli podaż pieniądza będzie rosła zbyt szybko. Pieniądza kruszcowego nie jesteśmy w stanie szybko wykreować, bo podaż złota jest ograniczona w czasie, nie można jej zwiększać. Natomiast papier: why not?, to może iść sobie dalej. No i wtedy właśnie powstają w tychże spółkach, bo one są spółkami akcyjnymi, odpowiednie ciała. Są akcjonariusze, ci akcjonariusze delegują radę banków, tak jak w każdej spółce akcyjnej, i tutaj przyjmuje się pewne zasady zarządzania podażą pieniądza. W czasach współczesnych to zarządzanie podażą pieniądza, wysokością stopy procentowej jest nieco inne. Historycznie to należało do banku, do jakiegoś przedstawicielstwa pod nazwą „rada banku”. Dzisiejsze banki nie są już spółkami akcyjnymi, zatem tę radę banku delegują jakieś ciała przedstawicielskie w postaci parlamentu czy głowy państwa i w ten sposób ta rada banku jest tworzona. Tym niemniej jej funkcje historycznie gdzieś są ciągle żywe. I w XIX wieku, i współcześnie rada ustala podstawowe stopy procentowe – czy to stopę lombardową, czy to stopę refinansową i tak dalej. Te stopy są swego rodzaju benchmarkami, parametrami dla stóp banków komercyjnych. Zresztą czasami one wchodzi do algorytmu WIBOR, czyli stopy, według której pożyczają pieniądze banki komercyjne, stopy, które są podstawą działalności kredytowej banku centralnego.

I bank centralny pozostał bankiem banków. Oczywiście, cała sztuka w tym, jak on powinien finansować te banki. W ostatnich latach, po kryzysie finansowym 2008–2009, a także w epoce COVID-owej, rozwinął się typ operacji tzw. luzowania ilościowego. Co to znaczy? Bank centralny pożycza bankom komercyjnym, oczywiście pod zastaw walorów, które te banki komercyjne mają. I może przyjąć zasadę, że okej, dajemy wam te kredyty płynnościowe pod zastaw, ale na przykład najlepszych, wyłącznie najlepszych, bezpiecznych papierów wartościowych; historycznie to były weksle, potem pojawiły się obligacje, nigdy akcje. Kursy akcji są zbyt zmienne, żeby stanowiły pewne zabezpieczenie. Jednym słowem, to luzowanie ilościowe było rozwijane po kryzysie 2008–2009 i to jest tak jakby swego rodzaju nowy typ wspierania płynnościowego banków komercyjnych. W XX wieku rozwinęły się przy tym wspieraniu płynnościowym operacje otwartego rynku. Nie będziemy rozwijać, czym one są, jakie są rodzaje tych operacji otwartego rynku. Tutaj papierem wartościowym, który funkcjonuje pomiędzy bankami centralnymi a bankami komercyjnymi, są obligacje rządowe. Więc mamy relacje bank centralny – banki komercyjne i instrumenty – stopy plus operacje wspierania płynnościowego. Nadal bank centralny jest bankiem państwa. No i tutaj znowu statuty regulowane są przez ustawy. Przed wojną tak było, w XIX wieku tak było, ustawodawca zapisywał w statutach banków centralnych, co mogą, czego nie mogą. Na przykład w okresie międzywojennym Bank Polski mógł udzielać rządowi kredytu nieoprocentowanego do 50 milionów złotych, później do 100 milionów, a potem jeszcze to się raz zmieniło już w końcówce lat 30. Ja tutaj pokazuję normę, że ta norma – bank centralny jako bank państwa – może być historycznie różnie regulowana, to trochę zależy od kontekstu całego systemu finansowego i gospodarki. Czyli bank banków, bank państwa, bank emisyjny, bank rozliczeniowy, no i jeszcze dzisiaj jeden z ważnych podmiotów, jakim są tak zwane komitety stabilności finansowej. Tutaj również rola banku centralnego jest istotna i decyzje o tych podstawowych parametrach – stopy procentowe, ale również zakres różnych operacji – są rozpisane na zarząd i rady banków, ale *gros* kompetencji należy do rad banków centralnych. Mają je prawie wszystkie współcześnie funkcjonujące banki centralne. Rady te istniały też kiedyś,

choć w latach 90. na przykład w Polsce rady polityki pieniężnej nie było. Ona pojawiła się dopiero na mocy ustawy z 1997 roku, więc w latach późniejszych.

Ale to była sytuacja wyjątkowa. Reasumując, można powiedzieć, że współczesny system bankowy i rola banku centralnego jako fundamentu tego systemu jest efektem wielowiekowego rozwoju. Tak naprawdę jest to bardzo stabilny system, bardzo stabilna struktura, która od XIX wieku wygląda dość podobnie, i tego historia gospodarcza nas uczy, że system bankowy jest czymś, co powstało w wyniku długiej ewolucji, co się sprawdziło i nadal sprawdza jako krwioobiegi systemu gospodarczego państwa.

Jeszcze jedną rzecz, Panie Profesorze, dodajmy, a mianowicie istnieje coś takiego jak sieć bezpieczeństwa finansowego. Żaden inny sektor gospodarczy nie jest tak „osieciowany” regulacjami bezpieczeństwa jak system bankowy. Mamy nadzór bankowy, który kontroluje, czy banki działają zgodnie z prawem, regulacjami, komitety bazylejskie, normy bazylejskie etc. Mamy fundusz gwarancji depozytów. W XIX wieku go nie było. Jak były paniki bankowe, to banki naprawdę miały potężne, potężne kłopoty. Po kryzysie lat 30. jako pierwsze w to wchodziły Stany Zjednoczone, tworząc przymusowy, nie dobrowolny, fundusz gwarantujący depozyty – powszechny, obligatoryjny. I do tej sieci właśnie dzisiaj, tak zwanej sieci *safety net*, sieci bezpieczeństwa, należy bank centralny, jako bank banków i jeszcze tam parę innych rzeczy, stabilność finansowa, nadzór bankowy, w Polsce to jest dzisiaj Komisja Nadzoru Finansowego i gwarancje depozytów. I to też jest produkt historii.

 Paweł Grata

 Wojciech Morawski

BUDŻET PAŃSTWA I JEGO ROLA W ŻYCIU GOSPODARCZYM

PAWEŁ GRATA: Dzień dobry. Witam na kolejnym spotkaniu z cyklu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy”, realizowanego w ramach projektu pod tym samym tytułem, finansowanego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach programu Społeczna Odpowiedzialność Nauki. Dzisiejszym gościem jest Profesor Wojciech Morawski ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Z Panem Profesorem będziemy rozmawiali o budżecie państwa, czyli o tym, co ogniskuje zainteresowanie całego społeczeństwa, bo budżet to przecież pieniądze. Pieniądze, które być może trafią do nas. Panie Profesorze, czym jest budżet państwa? Może zaczniemy od wyjaśnienia tego pojęcia i później powiemy o tym, jak budżet państwa ewoluował.

WOJCIECH MORAWSKI: Budżet państwa to jest zestawienie dochodów i wydatków w takim układzie, który w księgowości się pojawił u schyłku średniowiecza, czyli podwójnej księgowości – „winien i ma”. I po prostu to się powinno mniej więcej równoważyć. Stwierdzono, że lepiej, jak takie coś jest, zwłaszcza stwierdzono to od czasu, kiedy uznano, że to jest sprawa polityczna. To znaczy – jeśli władza wykonawcza odpowiada przed narodem, to odpowiada między innymi za to, jak gospodaruje pieniędzmi i powinna to w klarowny sposób umieć pokazać. Przez długi czas głównym wydatkiem w budżetach była wojna. Wydatek państwa

to był wydatek wojskowy przede wszystkim. No i jakieś podatki trzeba było zbierać, żeby na tę wojnę starczyło. W XVIII wieku państwa były zadłużone i to był kłopot, bo sobie nie bardzo radziły z obsługą tego zadłużenia. Dostyc dużo dobrych pomysłów w XVIII wieku w tej dziedzinie mieli Anglicy. Po pierwsze skonsolidowali wszystkie pożyczki różnie oprocentowane w jeden dług narodowy. Co więcej, stworzyli coś takiego jak obligacje wieczyste, to znaczy nie trzeba było pożyczki spłacić do końca, można ją było wymienić na obligacje nowej generacji i po prostu te obligacje traktować jako lokatę kapitału. Od tych obligacji był jakiś procent i można było w ten sposób funkcjonować, że zamiast majątku ziemskiego mieć po prostu 10 tysięcy funtów na 3%, co daje rocznie 300 funtów. Mając 300 funtów rocznie, to już człowiek był zamożny i mógł sobie nieźle żyć z tego w XIX wieku. Potem w XIX wieku mamy państwo liberalne. Generalnie państwo liberalne niespecjalnie chce się wtrącać do gospodarki. Zajmuje się polityką zagraniczną, sądownictwem, policją, armią oczywiście. Dużo tego nie ma, ale jednak trzeba na to zebrać jakieś podatki, więc będzie jakieś ministerstwo skarbu, które je zbiera. Ale na przykład, czy powinno być osobne ministerstwo zdrowia, czy powinno być osobne ministerstwo edukacji, to liberałowie już się zastanawiali. Na ogół w końcu dochodzili do wniosku, że powinno być. Po pierwsze w interesie ogólnospołecznym jest biednych kształcić, więc potrzeba resortu edukacji. To nie powinien być tylko rynek. I również w interesie ogólnospołecznym jest, żeby biednych leczyć. Albo na przykład szczepić. Dla zdrowia ogólnego nie powinno to być czysto rynkowe. Wyobraźmy sobie sytuację, że na przykład jest epidemia i trzeba społeczeństwo zaszczepić, tego nie załatwi rynek, to tylko państwo swoimi instrumentami może zrobić. Ale to mniej więcej był koniec budżetów państw liberalnych. Pod koniec XIX wieku pojawiły się pewne nowe elementy w Niemczech. W latach 80. XIX wieku, kiedy kanclerzem Niemiec był Bismarck, a w siłę rosła partia socjaldemokratyczna (SPD), Bismarck postanowił, że będzie z nimi walczył. Z tym, że on z nimi zamierzał walczyć nie głupio, czyli nie represjonując, zakazując, tylko mądrze. Uznał, że państwo powinno prowadzić taką politykę, żeby robotnicy uznali, że potrafi o nich zadbać, a socjaliści nie są do tego w ogóle potrzebni. To się nazywało socjalizmem z katedry.

W ramach tego zaczęto rozbudowywać ustawodawstwo socjalne, stworzono system emerytalny, ubezpieczenia zdrowotne. Państwo wkroczyło na te pola, potem inni zaczęli w tym Niemcy naśladować. Niemcy byli tu pionierami. Potem przyszła I wojna światowa, potwornie kosztowna i tak naprawdę wszyscy z niej wyszli okropnie zadłużeni. Uregulowanie tych długów przekraczało możliwości finansowe państw. Tak naprawdę finansowe konsekwencje I wojny światowej rozwały gospodarkę. Próbowano powrócić do systemu z XIX wieku, ale to już nie było możliwe. To, że się nie da, okazało się w czasie wielkiego kryzysu lat 30., który jasno pokazał, że nie ma powrotu do liberalnej polityki gospodarczej. Państwo ma pewne obowiązki dotyczące nakręcania koniunktury, dotyczące troski socjalnej o obywateli. Państwo nie może tolerować tego, że ludzie umierają z głodu. Jeśli państwo jest zamożne, a na jego terenie ludzie umierają z głodu, to znaczy, że to państwo jest źle rządzone i powinno coś z tym zrobić. To wymagało przemiany w polityce gospodarczej. Zerwano z doktryną liberalną niewtrącania się. Budżet powinien wystarczać na te palące potrzeby, a to znaczy, że powinien być finansowany w inny sposób niż dotychczas. Przesztano wymagać, żeby budżet był zrównoważony. Pogodzono się z myślą, że będzie miał deficyt.

Bo to była ważna zasada gospodarki liberalnej, że budżet musiał być zrównoważony...

W perspektywie dłuższej mogło się zdarzyć, że w jakimś roku mamy deficyt, ale w następnym powinniśmy to wyrównać. A tutaj godzimy się z tym, że trwale będziemy mieli deficyt. Zmieniono przy okazji system pieniężny. Od tej pory pokryciem emisji pieniądza były nie zasoby złota, tylko właśnie dług państwowy. I to oznaczało, że uruchamiamy powolną inflację. Żeby ta inflacja jednak nam się nie wymknęła całkiem spod kontroli, to trzeba na to nałożyć pewne hamulce. Miał on na przykład postać sztywnej relacji między zadłużeniem państwa a dochodem narodowym. Wtedy w ogóle pojawiła się kategoria PKB. Przedtem posługiwano się prostszymi wskaźnikami, jak np. produkcja przemysłowa. PKB to jest taki zintegrowany wskaźnik, który obrazuje sytuację w całej gospodarce, i ten dług powinien być w pewnej proporcji do PKB.

Oczywiście dług będzie rósł z roku na rok. Jeśli co roku mamy deficyt, to dług będzie rósł. Ale jeśli równocześnie rośnie nam PKB, to mamy szansę na utrzymanie tej proporcji jako mniej więcej sztywnej. Na tym polegała ekonomia keynesowska w tej dziedzinie.

W czasie II wojny światowej dwie rzeczy nowe się wydarzyły. Po pierwsze, dużo lepiej sobie radzono z zadłużeniem wojennym. Po doświadczeniach I wojny światowej wiedziano, jak to obsługiwać. Na przykład pojawiło się coś takiego jak *Land Lease*, czyli pomoc dla sojuszników, która nie generowała zadłużenia międzynarodowego. Amerykanie nauczyli się tak pomagać sojusznikom, żeby na koniec wojny sojusznicy nie byli winni góry pieniędzy, bo po pierwsze oni tego i tak nie oddadzą, po drugie będzie z tego tylko kłopot. Po drugie, w czasie II wojny światowej pojawiły się pomysły, żeby po wojnie znacznie lepiej zadbać o interesy społeczne, o poczucie bezpieczeństwa socjalnego ludzi. W 1942 roku w rządzie brytyjskim przygotowano ściśle tajny dokument, raport Beveridge'a, czyli program państwa opiekuńczego na czas wojny. Co ciekawe, ten raport, przetłumaczony na niemiecki w jednym egzemplarzu, Hitler miał w swojej osobistej bibliotece i go uważnie studiował. No i po wojnie, kiedy labourzyści wygrali w Wielkiej Brytanii wybory w 1945 roku, Anglicy zaczęli na szeroką skalę to wprowadzać w życie. Pojawiła się bezpłatna dla obywateli, finansowana z budżetu służba zdrowia. Znacjonalizowano wiele działów gospodarki. Nie tak jak komuniści, że wszystko, ale sporo znacjonalizowano. I generalnie ten cały sektor państwowy bardzo się rozrósł w stosunku do dochodu narodowego. Miarą zresztą wolności gospodarczej jest dzisiaj proporcja między dochodem narodowym a tym, co przechodzi przez budżet. Państwo może być w tej sprawie albo bardziej powściągliwe, albo bardziej rozrzutne. To państwo opiekuńcze całkiem nieźle działało do przełomu lat 60. i 70., kiedy się okazało, że to wszystko jest za bardzo rozbudowane i inflacja generowana przez ten system jednak jest za duża. Efektem tego – w uproszczeniu, bo oczywiście tam były i inne przyczyny – były kryzysy naftowe i zwrot monetarystyczny w polityce gospodarczej, to znaczy odwrót od keynesizmu, którego głównym celem było pełnozatrudnienie, czyli likwidacja bezrobocia. Keynsiści wiedzieli, że to jest kosztem inflacji, i godzili się na inflację,

byle tylko mieć pełne zatrudnienie. Nawet powstała tzw. krzywa Philipsa, która pokazywała zależność między inflacją i bezrobociem, to była taka hiperbola. Do pewnego momentu ładnie to działało, ale z czasem okazało się, że inflacja wymyka się spod kontroli, przybiera takie rozmiary, że już nie pomaga gospodarce, tylko zaczyna szkodzić. Nastąpił zwrot monetarystyczny, czyli polityka, która inflację stawiała sobie za wroga numer jeden i przede wszystkim walczyła z inflacją, nawet za cenę większego bezrobocia. Jej symbolem w Wielkiej Brytanii była pani Thatcher, w Stanach Ronald Reagan.

Pod wpływem sukcesów – bo mimo wszystko ten monetarny zwrot wydobył świat z ciężkiego kryzysu lat 70. i zapewnił mu ponownie dobrą koniunkturę – monetaryzm upowszechnił się na cały świat. Właściwie w latach 90. był traktowany wszędzie na świecie jako dogmat. Nazywało się to niezbyt zręcznie konsensusem waszyngtońskim. Niezręczność polegała na tym, że Waszyngton w nazwie sugerował, że jest to bezwzględny dyktat amerykański. Amerykanie nie chcieli specjalnie tego, ale sami się wpakowali w taką niezręczną sytuację. Wady tej polityki zaczęły się ujawniać już w drugiej połowie lat 90. Był taki kryzys azjatycki w 1997 roku, kiedy się okazało po raz pierwszy, że konsensus waszyngtoński nie do końca działa. To znaczy Fundusz Walutowy zalecał różnym krajom działania zgodne z tym sposobem myślenia i to tylko pogłębiało ich kłopoty. A był jeden kraj, który powiedział, że to są bzdury, i oni lepiej wiedzą, jak to zrobić. To była Malezja. Malezja pierwsza wyszła z kryzysu, dając geopolitykom nauczkę, że żadna recepta nie jest raz na zawsze uniwersalna, że może być kwestionowana. No a potem 2008 rok przyniósł przesilenie myślenia liberalnego. W zasadzie to powinien być triumf keynesizmu. Były takie książki, które oznajmiały, że teraz w końcu keynesizm udowodnił, że miał rację zawsze, tylko został niesłusznie zepchnięty. Ale dosyć szybko się okazało, że to nieprawda. To znaczy keynesizm, przy rozmaitych swoich zaletach, niewątpliwie ma tę słabość, że traktuje naturalne zasoby jako niewyczerpane. Keynesizm zakłada, że trzeba zwiększać produkcję, żeby zapewnić pełne zatrudnienie, a jeśli przy okazji dewastujemy środowisko, to tym się nie przejmujemy. Keynesiści nie byli wrogami ekologii, tak jak to się

zdarza prawicowym politykom. Keynesiści ją lekceważyli, ale to znaczy, że tu mieli słaby punkt, dlatego nie zatriumfowali, tylko też dzisiaj mają kłopot i właściwie nikt nie wie, co dalej z tym wszystkim robić.

Ostatnie wydarzenia: kryzys 2008–2009 i czas COVID-u to okres, kiedy znowu bardzo wyraźnie zwiększają się deficyty budżetowe. Jak można ocenić to zjawisko?

W czasie kryzysu 2008 roku Amerykanie pierwsi zastosowali coś takiego jak luzowanie budżetowe, oni to nazywali *helicopter money*, to znaczy po prostu walili w gospodarkę pieniądze tak sobie, bez specjalnej kontroli i bez specjalnych limitów, żeby tylko ją uratować. Tutaj z tego punktu widzenia są trzy kraje, trzy grupy krajów, które trochę inaczej się zachowały. Najśmielsi byli Amerykanie, najbardziej powściągliwi Europejczycy. Europejski Bank Centralny bał się bardzo inflacji, bo euro było tworzone w czasach, kiedy triumfował monetaryzm, więc euro jest w takim myśleniu przede wszystkim czynnikiem antyinflacyjnym. W połowie między jednym a drugim podejściem lokował się Bank Anglii. Bank Anglii szedł mniej więcej środkową drogą. I efekty były takie, Amerykanie najłatwiej wyszli z kryzysu, Anglicy gorzej, Europa najgorzej. Czyli nauczka była taka, że hojność popłaca. W momentach naprawdę groźnych hojność popłaca i nie ma co się bać inflacji. Oczywiście inflacja ma swoje wady, ma swoje negatywne skutki społeczne, ale negatywne skutki społeczne tego, co nam daje brak inflacji, mogą być gorsze.

Tutaj mamy przykład wielkiego kryzysu lat 30. – brak inflacji i rzeczywiście największy kryzys w historii. Ale też warto pamiętać, że były kraje, które za hojność zapłaciły bardzo dużo po 2009 roku.

Jak już mówimy, że Amerykanie zachowali się fajnie, to weźmy jedną poprawkę. Amerykanie mają łatwiej pod tym względem, ponieważ dolar pełni funkcję waluty światowej. Jak Amerykanie zwiększają emisję dolara, to od razu wiedzą, że tylko część tych dolarów pozostanie na ich rynku i będzie nakręcała ich inflację, a reszta powędruje sobie w świat i oni tego nigdy w życiu nie zobaczą więcej na oczy, więc nie muszą się tym w ogóle przejmować.

Nikt inny nie ma takiego luksusu. Chcieliby inni mieć, pretendują do tego, ale na razie nie mają. Przykład grecki był taki skrajny, bo Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy jakoś się w końcu ogarnęli. Natomiast Grecja rzeczywiście też się ogarnęła, ale przy pomocy dużej pomocy międzynarodowej. I właściwie wyłącznie z tego powodu udzielonej, że była w strefie euro. Klęska Grecji byłaby klęską strefy euro. Gdyby Grecy mieli swoją własną drachmę, to reszta Europy machnęłaby na nich rękę.

Tak jest, strefa euro, jak Pan wspomniał, tworzona w okresie dominacji monetaryzmu, zakłada przecież sztywne wskaźniki deficytu budżetowego w stosunku do PKB, zadłużenia publicznego w stosunku do PKB.

No tak, ale to wszystko jest właśnie taka ortodoksja monetarystyczna, trochę nie z tych czasów. Dzisiaj to nie bardzo przystaje już do rzeczywistości.

Tak, bo znamy kraje, w których zadłużenie publiczne przekracza wysokość PKB, i jakoś one funkcjonują. A proszę jeszcze powiedzieć, tak oczywiście bardzo ogólnie, jak liczbowo zmieniał się udział budżetu w PKB. Mówiliśmy wcześniej, że w zależności od tego, jak państwo jest powściągliwe lub też nie, to mniej lub więcej dochodu narodowego przejmują i przepływają przez ten budżet. Jak to procentowo się kształtuje?

Kłopot polega na tym, że dla czasów, kiedy była naprawdę liberalna polityka gospodarcza, czyli dla XIX wieku, nie mamy PKB, bo wtedy tego nie liczono. Są takie obliczenia wstecz PKB, ale ja jestem sceptyczny co do tych rachunków, więc nie mamy takich eleganckich porównań. No a potem to zaczęła być ponad połowa po prostu. Oczywiście to się rozwijało w czasach keynesowskich i potem się zwiżało w czasach monetarnych. Monetaryzmowi towarzyszył proces, który się nazywał deregulacja. Polegał on na tym, że państwo się wycofywało z różnych bezpośrednich aktywności gospodarczych, czyli coś, co było państwowe, było prywatyzowane, coś, co było regulowane przez państwo, zaczęło być nieregulowane. Nie zawsze to było dobre. Na przykład gdy Brytyjczycy sprywatyzowali koleje, a potem jeszcze obniżyli standardy regu-

lacyjne, to mieli całą serię katastrof kolejowych. To nie są takie proste rzeczy, że na pewno pójdzie w jedną stronę jest słuszne pod każdym względem. To jest coś za coś zawsze.

Wracając do deficytu, zauważmy, że deficyt to zawsze dług publiczny. Istnieje zatem konieczność jego finansowania. Najczęściej jest on finansowany obligacjami, z tym, że duży wpływ na cenę obligacji ma i marka gospodarki, i oceny ratingowe. Jak można by ocenić wpływ tych międzynarodowych instytucji finansowych na sytuację budżetową poszczególnych państw?

Te instytucje nie są obiektywne, są uwikłane i mają swoje własne interesy, co się bardzo wyraźnie ujawniło w 2008 roku, kiedy one po prostu się pomyliły, zbiorowo się pomyliły. To są instytucje, które oceniają wiarygodność, ale przedtem same na przykład przygotowują dane do tej oceny i robi się takie troszkę zamknięte koło... i to podlega korupcji, powiedziałbym. Ale oczywiście prestiż gospodarki ma znaczenie. Proszę zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt. Im bardziej rozbudujemy sektor państwowy, tym większą stwarzamy pokusę na korupcję polityczną, prawda? Są spółki skarbu państwa, gdzie lokujemy kolegów i tak dalej. Im mniejszy jest sektor państwowy, tym mniejsza jest ta pokusa, bo w sektorze prywatnym ulokować kolegów to już jest inna, że tak powiem, sztuka i bardziej racjonalna być może. Więc jest pewien związek między rozbudową sektora państwowego a jakością demokracji, można tak powiedzieć z całą pewnością.

Tak i też rozbudowa sektora państwowego, czyli rozbudowa budżetu, oznacza mniej pieniędzy na inwestycje prywatne.

Na pewno, natomiast sektor państwowy może inwestować.

Tyle że nawet Keynes był przeciwny inwestowaniu przez państwo.

No tak. Gdy mówimy o ingerencji państwa w gospodarkę, to wyraźnie warto rozdzielać takie dwa zjawiska: państwo, które prowadzi aktywną politykę gospodarczą, żeby nakręcić koniunkturę, i państwo, które wchodzi w rolę właściciela, czyli etatyzm. Stany Zjednoczone są klasycznym krajem, gdzie występuje interwencjo-

nizm na dużą skalę, ale nie ma etatyzmu. Państwowych firm w Stanach jest niedużo, to jest naprawdę prywatna gospodarka. Tylko z kolei biedniejsze kraje mają ten dylemat, że brak im takich zasobów kapitałowych. I stają przed dylematem: albo państwo to robi, albo nikt tego nie robi. No i wtedy jest pokusa, żeby rozbudowywać ten sektor.

Jeszcze ostatnie pytanie odnoszące się do aktualnej sytuacji międzynarodowej. Jak ewoluują budżety państw i struktura wydatków budżetowych w sytuacji, którą mamy dzisiaj na świecie?

W tej chwili mamy czas taki wojenny, że budżety wojenne są w ekspansji nieograniczonej. Zabrzmi to cynicznie, ale wyobraźmy sobie, że nagle kończy się wojna na Ukrainie, to mamy kryzys gospodarczy. Przepraszam, że tak to mówię brutalnie, ale taka jest prawda. Zbrojenia nakręcają koniunkturę. Jak się bada historię kryzysów, to zazwyczaj koniec wojny oznacza kryzys, no bo nagle się kończą te wszystkie nadzwyczajne zamówienia z czasów wojny. Wszyscy się łapią za głowę, że są bardzo zadłużeni, zaczynają redukować wydatki, głównie zbrojeniowe, i gospodarka wpada w kryzys, to jest normalne. Nie chcę przez to powiedzieć, że wojny powinny trwać w nieskończoność, żeby uniknąć kryzysu. Ale właśnie tak jest z ekonomią. To jest zawsze coś za coś. Nie jest tak, że jakieś rozwiązanie ma same zalety albo ma same wady. To jest taki system naczyń połączonych, gdzie się płaci coś za coś.

Przykład deficytu budżetowego. Ma swoje zalety, ma swoje wady i ma swoje koszty, które kiedyś tam musimy jednak zapłacić. A rzeczywistość jednak wydatki zbrojeniowe to są wydatki budżetu. Czyli budżet nakręca dzisiaj koniunkturę za pośrednictwem wydatków zbrojeniowych. Dokładnie tak jak w Polsce na przykład w latach 30. XX wieku.

Generalnie koniunktura na świecie w tej chwili jest bardzo dobra. Ludzie mają taką skłonność, że widzą raczej to, co jest złe, więc ludzie widzą zagrożenia, ale koniunktura gospodarcza w tej chwili jest znakomita, dawno nie była tak dobra.

I z tego należy się cieszyć, Panie Profesorze.

No tak.

Chociaż cały czas być ostrożnym, jeżeli chodzi o deficyt budżetowy.

Wśród różnych złych rzeczy, jeśli jest coś, z czego można się cieszyć, to się cieszymy.

Natomiast sama kwestia budżetu będzie zawsze miała dwie strony. Im więcej wydamy, tym lepiej dla gospodarki, ale im więcej wydamy z budżetu, tym mniej wydamy z naszych kieszeni. Mniej będziemy w tych kieszeniach pewnie mieli.

Jeszcze jedno może dodajmy, kwestia budżetu to jest kwestia w systemach parlamentarnych, to jest taka kwestia, do której jest przywiązane zaufanie do rządu. Dlatego na przykład prezydent nie może odmówić podpisania budżetu, jeśli Sejm go uchwali. Senat nie może majstrować przy budżecie, bo odpowiedzialność rządu to jest odpowiedzialność przed Sejmem, a nie przed Senatem i tak dalej. Są różne ustrojowe, że tak powiem, uwarunkowania budżetu, o których warto też pamiętać.

I budżet to jednak wyraz polityki rządu, rządu, który w danym momencie kieruje państwem.

Najważniejsza ustawa, którą rząd musi mieć. Tu nie ma żartów.

I najbardziej wiarygodny dowód zamierzeń rządu, bo tutaj pieniądze determinują to, co rząd będzie robił. Dziękuję Panu bardzo Panie Profesorze.

Dziękuję bardzo.

 Paweł Grata

 Cecylia Leszczyńska

CZYM JEST INFLACJA?

PAWEŁ GRATA: Dzień dobry. Witam w kolejnej rozmowie z cyklu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy” – cyklu, który jest efektem realizacji projektu pod tym samym tytułem, finansowanego w ramach programu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Dzisiejszym tematem będzie inflacja. Coś, z czym mamy do czynienia od kilku lat, coś, co dotykało nas wielokrotnie w przeszłości, i coś, co jest bardzo groźne w życiu gospodarczym. Dlatego warto o inflacji porozmawiać, o tym, jakie są jej przyczyny, przebieg, skutki i jak jej przeciwdziałać. Moim gościem jest Pani Profesor Cecylia Leszczyńska z Uniwersytetu Warszawskiego, ekonomistka specjalizująca się w problemach polityki pieniężnej. Pani Profesor, pierwsze pytanie. Skąd się wzięła inflacja?

CECYLIA LESZCZYŃSKA: Która? Ta współczesna, czy w ogóle?

W ogóle, bo wiemy dobrze, że były takie czasy, kiedy inflacji nie było.

Tak. Skąd się wzięła inflacja? Skąd my wiemy, że jest inflacja, Panie Profesorze? Skąd my wiemy dzisiaj, że jest inflacja? No bo idziemy do sklepu i obserwujemy wzrost cen. Albo też dowiadujemy się z różnych komunikatów instytucji, mediów i tak dalej, że jest inflacja. Gdybyśmy zatem sobie wyobrazili, że oto nie mamy mediów, to jedyną, powiedziałabym, informacją na ten temat, która by do nas dociera, byłyby obserwacja cen w miejscach, w których

dokonujemy zakupów. Widzimy, że ceny jednych towarów rosną tak, innych rosną troszeczkę więcej. Inflacja dzisiaj jest utożsamiana ze wzrostem cen. Chcę powiedzieć, że gdybyśmy cofali się w czasie, to wiedza o tym, że ceny rosną, okazałaby się po prostu ograniczona, dlatego im dalej wstecz, jeżeli mamy, założmy, gospodarkę taką prostą towarową, towar za towar, to my tak na dobrą sprawę tej inflacji w krótkim okresie nie dostrzegamy. Zatem inflacja jest zjawiskiem ekonomicznym, czasami również zjawiskiem społecznym, jeżeli zaczyna niepokoić jakieś grupy społeczne. Oczywiście historycznie pojawiała się dosyć często, aczkolwiek nie za często, bo tutaj jeszcze jest pytanie, jak bardzo te ceny rosną i w jakim przedziale czasowym, bo jeżeli ceny rosną na przestrzeni roku o 1%, to prawdopodobnie taka inflacja będzie niezauważalna.

Słowo „inflacja” (z łac. *inflatio* – nadęcie) zostało wprowadzone do języka ekonomii w XIX wieku i wtedy rozumiano je – zresztą ten źródłosłów pozostał – jako nadymać, pęcznić, ale nie odnoszono tego wzrostu do cen, a do ilości pieniądza w obiegu. I potem zresztą retrospektywnie, kiedy pisano o wzrostach cen w przeszłości, to utożsamiano je już z inflacją, natomiast ludność w tamtym czasie używała słowa „drożyzna”. My dzisiaj nazywamy to inflacją, bo to jest właściwie kategoria trochę ekonomiczna, statystyczna, która wymaga pomiaru, a żeby ją zmierzyć, trzeba mieć pewne narzędzia, jakiś algorytm, który nam ten CPI – bo dzisiaj mówimy wskaźnik cen konsumenckich, inflacja konsumencka, inflacja producencka – zmierzy. Zatem mamy drożyznę i mamy inflację. Historycznie inflację w XIX wieku, w okresie międzywojennym, kojarzono ze wzrostem ilości pieniądza w obiegu, natomiast sam wzrost cen towarów i usług był określany mianem drogo, drożyzna. Dlaczego zatem potem słowo inflacja przeszło z agregatu monetarnego, z podaży pieniądza na ceny towarów? Ponieważ zgodnie z ilościową teorią pieniądza, która została przyjęta jako mainstreamowa, inflacja wyjaśnia mechanizm wzrostu cen. Jeżeli ceny rosną, no to pytanie, dlaczego rosną? Ekonomisci odpowiadali, rosną zazwyczaj dlatego, że rośnie ilość pieniądza w obiegu. Mamy podaż towarów i usług, dzisiaj nazywamy to PKB, produktem krajowym brutto, w jakimś czasie, zazwyczaj rocznie, i mamy podaż pieniądza. Jeżeli ten agregat monetarny rośnie szybciej niż podaż towarów, to następuje nierównowaga i reakcją na to

staje się wzrost cen, a jego podstawową przyczyną jest wzrost ilości pieniądza.

Tutaj chyba można nawiązać do XVI wieku.

Można. Oczywiście to słynna rewolucja cen – taka pierwsza międzynarodowa inflacja. Dzisiejsze badania pokazują, że ówcześni za bardzo jej nie widzieli właśnie jako wzrostu cen, ponieważ w skali stulecia, jak pokazują dzisiejsze badania, ten wzrost cen został odnotowany, natomiast w skali średniorocznej podzielono wzrost cen przez, powiedzmy, kilkadziesiąt lat i wyszła wartość średnioroczna. Pewnie w niektórych okresach było tak, a w niektórych okresach inaczej. I średniorocznie to było 1–2%. Dzisiaj byśmy tego nawet nie odnotowali, a może cieszylibyśmy się, że te ceny nam lekko rosną, bo uważa się, że inflacja jedno-, dwuprocentowa jest gospodarce potrzebna. Wzrost cen w jakiejś mierze akomoduje bowiem proces dostosowawczy pomiędzy podażą towarów, popytem na te towary a zasobem pieniądza, jaki ludzie posiadają. Wracając do rewolucji cen, trzeba podkreślić, że właśnie wtedy rodziła się ilościowa teoria pieniądza. W wyniku kolonizacji z Ameryki Południowej do Hiszpanii napłynął kruszec, no i ten wzrost podaży pieniądza, srebra przede wszystkim, w mniejszej ilości złota, doprowadził do wzrostu cen rozlewającego się na Hiszpanię, potem inne kraje. Ale nazwano to, proszę zobaczyć, czym? Rewolucją cen. Tak, prawo Kopernika, prawo Greshama i tak dalej. Więc zaczęto wiązać wzrost cen właśnie z tym agregatem, czynnikiem monetarnym, podażą pieniądza. Ale wówczas jeszcze słowa inflacja w XVI, XVII wieku nie używano. Jak powiedziałam, ono pojawiło się później, no i nastąpiło takie żonglowanie pomiędzy pieniądzem a wzrostem cen.

Ale wiek XIX to okres dosyć stabilnych cen. Tutaj pojęcie się pojawia, natomiast w wieku XIX, pomijając wojny początku tego stulecia, trudno znaleźć takie przypadki hiperinflacji jak po I wojnie światowej czy jak w Polsce w latach 90. XX wieku. Dlaczego?

Podczas rewolucji cen w XVI wieku stopa inflacji, według dzisiejszych miar statystycznych, była jednak bardzo niska. Wysokie

inflacje, czyli takie, kiedy w trakcie roku wzrost cen wynosi kilkadziesiąt albo czasami kilkaset procent, są dzieckiem wojen, rewolucji, przewrotów. Mamy wtedy już inflację galopującą albo wręcz hiperinflację, kiedy ceny zmieniają się z dnia na dzień. A więc tego typu wielkie inflacje są efektem nadzwyczajnych zjawisk, nie kryzysów finansowych, bo XIX-wieczne kryzysy finansowe przynosiły deflację. Wielki Kryzys lat 30. przyniósł deflację, cechował się spadkiem cen. Nie utożsamiamy zatem każdego kryzysu z inflacją. Zresztą kryzys 2008–2009 też nie przyniósł inflacji jako takiej. Kiedy ona się pojawiła? Po Covidzie, w trakcie Covidu, w trakcie wojny – przerwane łańcuchy dostaw, lawinowy wzrost cen surowców, gazu etc. Więc jakieś szoki popytowe, bo nagle z jakichś powodów – wiemy jakich – na rynku jest duża masa pieniądza i ta duża masa pieniądza w stosunku do tej relatywnie stabilnej podaży towarów i usług generuje nam inflację. I wojna światowa wywołała europejską inflację, ale niewielką w Anglii, a bardzo wysoką w naszej części Europy. Wojny napoleońskie, o których Pan Profesor wspomniał, spowodowały dosyć wysoką inflację w Anglii, ale w innych częściach ta inflacja była umiarkowana. Po II wojnie światowej inflacja była dosyć niska i teraz możemy to znakomicie porównać poprzez I i II wojnę światową. Po pierwszej wysoka, po drugiej niska. Dlaczego po II wojnie światowej niska? Bo poprzez wymianę pieniądza albo unieważnienie jakiejś części pieniądza papierowego państwo zabrało, mówiąc kolokwialnie, tenże pieniądz z zasobów ludności, przedsiębiorstw, czyli zdjęło tę nadwyżkę. Po I wojnie światowej państwa postępowały bardzo demokratycznie, mówimy, że robiły ekwiwalentną wymianę, jeżeli dokonywały wymiany pieniądza. I w związku z tym nadwyżka pieniądza, która pojawiała się w czasie wojny, już w czasach pokoju na rynku pozostawała. I tutaj mamy dwa elementy, to znaczy w trakcie wojen rodzi się nadmiar pieniądza papierowego, niekruszcowego. Banki centralne zazwyczaj pożyczają państwu, które prowadzi wojnę, i państwo go wydaje. Robi zakupy na wojsko etc., w ten sposób pieniądz trafia do ludności. Państwo emituje zresztą czasami dług publiczny, sprzedaje ludziom obligacje, ludzie je kupują, pożyczają państwu. Ale kiedy rośnie nadmiar pieniądza papierowego w trakcie wojny, jednocześnie państwa kontrolują wtedy ceny podstawowych towarów czy to poprzez system kartkowy, reglamentację,

żeby nie doprowadzić do wybuchu cen tych podstawowych produktów: żywności, opału, tego typu rzeczy. I potem, kiedy się wojny kończą, ten pieniądź zostaje w rękach ludności. Po II wojnie zabrano go, natomiast po pierwsze został, uwolniono ceny, systemy reglamentacji stopniowo znoszono. Po II wojnie światowej w Anglii pozostała kontrola cen, w Polsce też była kontrola, kartki, ale w Polsce był już inny system. System rynkowy na Zachodzie też cechował się reglamentacją. I kiedy zniesiono kontrolę cen, ceny zaczęły po prostu rosnać. Powiedziałabym tak, I wojna była takim laboratorium. Nauczono się, co to znaczy nadmiar pieniądza, i później uruchomiono taki trochę żywiolowy proces dostosowawczy po stronie cen. Po II wojnie światowej oczywiście ludzie stracili pieniądze z czasów wojny, ale można by powiedzieć, no cóż, gdyby wzrosły ceny, zmniejszyłaby się siła nabywcza pieniądza i inflacja by ten pieniądź zjadła.

Tutaj można podać przykład reformy Ludwiga Erharda w zachodnich strefach okupacyjnych.

Bardzo restrykcyjnej. Zachęcam, żeby sobie gdzieś tam wygooglować, jak bardzo uszczuplono obywatelom Niemiec ich oszczędności. Prawie ich pozbawiono, czyli mogli wydawać tylko to, co na bieżąco zarobili. Ta reforma z 1948 była bardzo restrykcyjna.

Tak, a można teraz jeszcze wspomnieć o polskiej hiperinflacji początku lat 90. Pani Profesor mówiła, że hiperinflacja to najczęściej wojny, wielkie dramaty, natomiast tutaj była sytuacja nieco inna. Ta inflacja wynikała po części z systemu, który w Polsce obowiązywał. Tutaj mamy bardzo wyraźną rozbieżność między ilością pieniądza na rynku a ilością towarów dostępnych.

Ale mechanizm ten sam, nadmiar pieniądza, tyle że wykreowany nie z powodu wojny, ale z powodu strajków. Wiedzano w latach 80., że coraz bardziej chwieje się równowaga pomiędzy podażą pieniądza a zasobem towarów. Towary przyrastają, ale bardzo wolno, bo system gospodarczy jest w kryzysie. Stąd kartki, powszechne już w latach 80., czyli reglamentacja, która kiedyś była właściwa dla czasu wojny. Tutaj mamy gospodarkę czasu pokoju, no w końcu wojny nie ma, jest stan wojenny, ale to nie jest otwarta

wojna, choć państwo prowadzi jakieś akcje militarne. Tym niemniej ta kreacja pieniądza postępuje, bo są oczekiwania wzrostu płac. No więc państwo ten wzrost płac daje. Co z tego wynika? Luka inflacyjna, czyli gigantyczny zasób pieniądza w posiadaniu ludności, przedsiębiorstw, etc., na rachunkach oszczędnościowych, przybiera na sile, a podaż towarów stoi w miejscu albo rośnie bardzo niewiele. Więc ta luka już była w końcu lat 70. Przecież kartki na cukier, potem kolejne towary to nic innego jak próba utrzymania przez państwo cen podstawowych towarów, trochę jak w czasach wojny, na stabilnym poziomie. Inaczej ceny by poszły w górę. Równoległe co się dzieje? Kwitnie gospodarka równoległa, czarny rynek, i na tymże czarnym rynku ceny tych samych towarów są n-krotnie wyższe. Tak jak Pan Profesor wspomniał, w końcu lat 80. państwo odchodzi od tej kontroli cen.

I tutaj już mamy analogię do sytuacji po I wojnie światowej.

Zgadza się. Inflacja, która przedtem była duszona, tłamszona poprzez kontrolę, utrzymywanie cen, wybucha. Oczywiście wybucha gwałtownie, w krótkim czasie. Pewnie można było jakoś ten proces rozłożyć. Historycznie stosowano różne instrumenty regulacji. Tutaj ich nie uruchomiono, mówimy, że nastąpiła deregulacja rynku, a ceny poszły w górę. Ale ci, którzy mają trochę lat, ja pamiętam te czasy, wiedzą, że od razu pojawiły się towary na rynku. Trochę tak jak w czasach Ludwiga Erharda. Cud gospodarczy, nagle sklepy pełne towarów, jeszcze przed reformą, wszystko się wykupuje, gorący pieniądz, oczekiwania inflacyjne, ludzie pozbywają się pieniądza tracącego wartość, kupują cokolwiek, bo siła nabywczą pieniądza jest coraz niższa. Niepotrzebne dywany, nie dywany, jak w sklepie trafimy na jakiś produkt, kupujemy. Kupujemy i już. Potrzebne, niepotrzebne, kupujemy, najwyżej komuś tam przekażemy. No i to jest nierównowaga, kiedy zasób pieniądza nie spotyka się z podażą. Gdy regulacje są uwalniane, ceny rosną i na rynku pojawiają się i mięso, i towary spożywcze, powoli, powoli to się wypełnia, ale jeżeli idzie o sektor prywatny, to następuje gwałtowny wybuch. Czyli te towary gdzieś tam były, tylko nie były do końca wprowadzone do handlu.

Nie opłacało się ich sprzedawać przecież.

Nie opłacało się, no bo cóż z tym pieniądzem robić? Papierem.

Mamy ostatni przykład inflacji, który jakby wyczerpuje wszystkie te składniki, o których Pani Profesor mówiła. Jest Covid...

Zamknięta trochę gospodarka, są oczekiwania, niepewność, co będzie. To było nie tak dawno, pamiętamy, niektórzy biegną do sklepu, wykupują, oczywiście ta masa towarowa jest duża, bo nie było wcześniej gospodarki wojennej czy gospodarki socjalistycznej. Trudno byłoby to wszystko wykupić, ale wyobrażać sobie możemy, że gdyby to potrwało trochę dłużej... widzieliśmy zresztą obrazki ze sklepów, że były puste półki czy to w Anglii, czy gdzieś tam w innych krajach, w Polsce też. Jak Pan Profesor wspomniał, po co sprzedawać za ten pusty papier? Znamy obrazki z inflacji niemieckiej 1923, początku 1924 roku. Co ludzie robią z tymi banknotami? Tapetują ściany. Tapeta jest droższa aniżeli całkiem dobrej jakości papier banknotów, więc warto go wykorzystać. Wróćmy do tej naszej inflacji współczesnej, oczywiście miała ona charakter międzynarodowy i w pewnym momencie przypominała, bo to było takie nakładanie się na siebie procesów, szok lat 70. On u nas może w czasach socjalizmu był mniej dostrzegalny, ale w gospodarce amerykańskiej, w gospodarce zachodniej pojawiły się kryzysy naftowe. Pierwszy kryzys naftowy, drugi kryzys naftowy, tutaj inflacja poszła z szoku podażowego. Dwie wojny na Bliskim Wschodzie, Izrael, potem Iran, to są te dwa piki wzrostu cen ropy naftowej i wtedy poprzez nośniki energii, poprzez ropę naftową ruszyły w górę ceny wielu grup produktów. Jakies analogie do tamtego kryzysu znajdujemy w sytuacji wojny na Ukrainie – już w grudniu 2021 zaczynają rosnać ceny nośników energii. Wtedy jeszcze oczywiście były tylko podejrzenia, że wojna wybuchnie, pamiętamy informacje, tu wojska są, wejdą, nie wejdą, wywiad mówi jedno, eksperci drugie, tym niemniej rynek już niejako antycypuje sytuację, przygotowuje się do szoku podażowego w zakresie ceny gazu, ceny ropy naftowej. I nałożyły się na siebie niejako te pocovidowe historie z sytuacją wojenną, kiedy gwałtownie rosły

ceny nośników energii, a te generują kolejne koszty, cena benzyny to przecież ważny składnik cen.

I pierwszego dnia wojny od razu kolejki.

Od razu kolejki. No i tutaj prawdopodobnie się na to trochę przygotowano, to znaczy te przygotowania do wojny pozwoliły prawdopodobnie zgromadzić zapasy. Takie zapasy zawsze są, ale trudno gromadzić je na dużą skalę, to niebezpieczne. Chociaż gdzieś tam pisała prasa, że byli tacy, którzy jakieś zbiorniki przygotowywali, no ale ich ryzyko, można by powiedzieć.

Tak. Te czynniki powodujące inflację są na ogół podobne. Teraz pytanie, jak z inflacją walczyć? Mamy już doświadczenia historyczne i mamy doświadczenia współczesności. Jakie są, Pani zdaniem, najlepsze, najbardziej skuteczne instrumenty ograniczania inflacji czy minimalizowania jej negatywnych skutków?

Tutaj ważny jest mechanizm powstawania inflacji i jej źródła. Bo jeżeli jej przyczyna ma charakter monetarny, no to siłą rzeczy lekarstwo jest przede wszystkim po stronie monetarnej. Trzeba zatrzymać koniecznie ten wypływ pieniądza na rynek. To może być bolesne dla ludności, oznacza bowiem stabilizowanie płac, czyli dochody ludności stoją w miejscu albo realnie spadają, bo dochody nominalnie stoją w miejscu, wynagrodzenia nie rosną, a ceny rosną, więc realnie te dochody spadają. To jest bolesne, nieprzyjemne. Państwa demokratyczne mają z tym problem, no bo ludność niekoniecznie będzie akceptować tę sytuację. To zresztą uderza w różny sposób w różne grupy zawodowe, bo nasza struktura konsumpcji jednak nie jest jednorodna w przypadku gospodarstw emeryckich i gospodarstw ludzi zamożnych, a tutaj jeszcze cała paleta pośredku. Działanie monetarne poprzez stabilizowanie zasobów pieniądza, czytaj – wynagrodzenia, to jest jedno z rozwiązań, ale oczywiście to idzie po stronie tak zwanej gospodarki realnej. To znaczy podmioty gospodarcze, publiczne, prywatne trzymają w miejscu te wynagrodzenia, być może ze skutkiem w postaci bezrobocia. Obrazuje to historyczna krzywa Philipsa, który pokazał, jak bezrobocie wymienia się z inflacją. Niskie bezrobocie uzyskujemy przy

niskiej inflacji, jeżeli inflacja rośnie, gospodarka się kręci, bezrobocie spada, ale to już nie sprawdza się w tej chwili, już się neguje krzywą Philipsa. Milton Friedman kiedyś pisał, że bez względu na to, jaka jest przyczyna inflacji, trzeba ją tłamsić metodami monetarnymi. Jedną z nich jest drogi kredyt. Narzędzia do tego, ażeby uczynić kredyt droгим, ma bank centralny. Ogłoszone przez niego wysokie stopy schodzą do banków komercyjnych, kredyt staje się drogi. W ten sposób redukujemy cały popyt, który jest generowany przez kredyt. Nie ma kredytów hipotecznych albo są bardzo drogie, więc popyt na nieruchomości finansowany kredytem hipotecznym spada. Podobnie kredyt ratalny. Wysokie oprocentowanie kredytów powoduje, że popyt finansowany kredytem ratalnym spada. Karta kredytowa. Już nie robimy zakupów na kredyt, bo oprocentowanie jest wysokie. Czyli niezależnie od tego, skąd ta inflacja się wzięła, aby ją zredukować – jak mówił Milton Friedman, zresztą do dzisiaj monetarysty tak twierdzą – trzeba działać poprzez drogi pieniądź. Oczywiście to uderza w gospodarkę, bo spada popyt na mieszkania, spadają zakupy dóbr trwałego użytkowania, cierpią producenci. To może wprowadzić gospodarkę w recesję. A ci, którzy sprzedają pralki, lodówki, etc.? Nie ma chętnych na ich zakup. Pojawia się bezrobocie, a więc mamy gdzieś tam z tyłu głowy tę krzywą Philipsa. Ale to jest najskuteczniejszy, prawdę powiedziawszy, dosyć prosty instrument. Podnieście stopy procentowe i już. I to pójdzie dalej.

Ale kosztowny.

Zwłaszcza, że potem może spowodować deflację. Ja przypominam, że podczas kryzysu 2008–2009 była obawa, że będzie deflacja. Deflacja jest straszna. Proszę pamiętać o jeszcze jednej rzeczy. Jest coś takiego jak oczekiwania inflacyjne, oczekiwania deflacyjne. Inflacja jest czasami pchana poprzez oczekiwania inflacyjne. Co to znaczy? Psychologia społeczna, zachowania. Spodziewamy się, że ceny będą rosły, oczekujemy, że ceny będą rosły i co robimy? Kupujemy z wyprzedzeniem. Im wyższa inflacja, tym te oczekiwania są większe i kupujemy z wyprzedzeniem. W ten sposób niejako sami generujemy wzrost cen. Gdy pojedziemy kupować, to tak jak właśnie w czasie COVID-u, szybko wzrosną ceny niektórych to-

warów. Dlaczego przedsiębiorcy czy też sprzedawcy nie mieliby tego wykorzystać? Wykorzystają. Mogą na tym przecież zarobić. I odwrotnością są oczekiwania deflacyjne. One są trudniejsze do opanowania. Bo czego my oczekujemy? Wstrzymujemy się z zakupami...

...czekając, aż spadną ceny.

Ceny spadają i to uderza w przedsiębiorstwa – spadają ceny, spadają przychody, gospodarka się zwija. To jest mechanizm, który przećwiczono w czasie kryzysu lat 30., kiedy się wydawało, że deflacja na początku będzie taka fajna – ceny będą stały w miejscu lub trochę spadną, wszystko się do siebie dostosuje. I okazało się, że ten mechanizm deflacyjny, spadek cen do 50–60% dobił przedsiębiorstwa. Keynes wyjaśnił potem, że ten mechanizm oznacza zwijanie się gospodarki. A więc mówiąc o walce z inflacją, musimy zrozumieć jej mechanizm, skąd się ona bierze. Zabieg monetarny w postaci podniesienia stóp procentowych jest oczywiście skuteczny, restrykcyjny. Może generować, mówi się eufemistycznie, koszty społeczne, gospodarcze. I dlatego też, jeżeli na przykład inflacja jest wywołana przez jakiś szok, a wiemy, że to jest sztuczny szok, a nie wmontowany w system gospodarczy (tak jak było w PRL-u, że przez całe lata 80. nierównowaga rosła, rosła, rosła), i jeśli on się ustabilizował, to znaczy, że w danych warunkach ta inflacja dalej nie pójdzie i wystarczy tylko, powiedziała-bym, nie podpalać; nie podpalać poprzez kreację pieniądza, łatwy, tani kredyt dalszego wzrostu cen. I właśnie to było widać w roku 2022, wybuch wojny spowodował w całym naszym regionie – od północy, Litwa, Łotwa, Polska, Rumunia, cały ten nasz pas – wzrost inflacji, ona się potem przenosiła dalej na zachód, ale była niższa, coraz niższa. Łańcuchy dostaw, niepewność – te czynniki już scharakteryzowaliśmy. Dobrze jest więc zrozumieć naturę inflacji, żebyśmy za pomocą jakichś bardzo radykalnych posunięć nie doprowadzili do kryzysu. Weźmy pod uwagę inflację amerykańską z lat 70., która była wygenerowana kryzysem naftowym, skutek którego wzrosły ceny przede wszystkim ropy naftowej, benzyny i tak dalej. Przyszedł Paul Volcker i wdrożył bardzo restrykcyjną politykę monetarną. Wysokie stopy. Rzeczywiście stopy poszybo-

wały do kilkunastu procent i gospodarka weszła w głęboką recesję. No i oczywiście pytanie, z jak wysokiego poziomu dochodów my spadamy, jak dalece to idzie w dół. Ale faktem jest, że pojawiło się wysokie bezrobocie. Czyli potwierdziła się krzywa Philipa. Inflacja szła w dół, ale bezrobocie rosło – początek lat 80. I ten kryzys był kryzysem podażowym, kryzysem monetarnym. Uważa się zresztą, że uderzył on później również w kraje, które sprzedawały na rynek amerykański – Amerykę Łacińską. I jakimś pokłosiem tych problemów – wysokie stopy procentowe, kryzys zadłużeniowy – była sytuacja w PRL-u. Polska na początku lat 80. była *de facto* bankrutem. Nie była w stanie obsługiwać swojego zadłużenia. Ameryka Łacińska pogrążyła się w kryzysie zadłużeniowym, bo jej kraje w latach 70. brały tanie kredyty na rynku amerykańskim, no a potem stanęły wobec problemu wysokich stóp procentowych, nie mając środków, żeby prowadzić obsługę kredytową. Ameryka Łacińska, następnie Polska, Węgry, cały nasz region, który w latach 70. otworzył się i korzystał z dogodnych kredytów.

To samo się dzieje z indywidualnym konsumentem, który bierze kredyt w banku w czasach dobrych, zgadzając się na płynne stopy procentowe.

Na płynne stopy procentowe albo też na kredyty frankowe, czyli tutaj stopy są niskie, kurs, no nie antycypujemy, nie zakładamy...

...że frank podrożeje.

I to jak? Dwukrotnie, dwukrotnie. Więc tutaj ważne są doświadczenia, niektórzy mówią, że tak co dziesięć lat ludzie zapominają. Pewnie gdyby dzisiaj ktoś przyszedł i oferował kredyty frankowe takie jak kiedyś, byłibyśmy ostrożni. Ludzie jeszcze pamiętają, ale za jakieś dziesięć lat już nie będą. Kryzysy, kredyty frankowe miała przecież Australia w latach 90., Skandynawia w latach 90., Austria. To nie tak, że u nas one były pierwsze, ale któż tam z osób fizycznych studiowałby, analizował te przypadki? Zresztą dzisiaj mamy dostęp do sieci, to jest łatwiej, w tamtym okresie – dwadzieścia czy piętnaście lat temu – to było utrudnione. Ale, tak jak Pan Profesor wspominał, to był dokładnie ten sam mechanizm, oczywiście jego skutki są odmienne. Zależą jeszcze do tego, czy gospo-

darka amerykańska jest dotknięta kryzysem, albo azjatycka, Chiny na przykład, no to wiemy, że to się rozleje daleko, daleko w inne regiony.

Zbliżając się do końca, można skonstatować, że inflacji lepiej unikać niż z nią walczyć, bo zawsze chcąc inflację stłamsić, musimy ponieść koszty.

Tak. Dlatego też właśnie od ostatnich dwudziestu, może piętnastu lat realizowana jest strategia celu inflacyjnego. To się nazywa bezpośredni cel inflacyjny. Trzymamy stopę inflacji, czyli inflacja jest. Nie to, że ceny w ogóle nie rosną, ale cel inflacyjny wyznacza się na 2,5%, czyli tolerujemy wzrost cen sięgający tego rzędu z odchyleniem jeden punkt w górę, jeden w dół, co jest dla gospodarki korzystne i naturalne. Doszliśmy więc do pewnego, jak to się mówi, konsensusu. Wiemy, że PKB rośnie statystycznie też około półtora, dwa punkty rocznie, czasami trzy, cztery, czasami jeden. W długim okresie czasu to się nam wygładza, jeżeli nie ma jakichś turbulencji, kryzysów i tak mniej więcej troszeczkę może wyżej, ale z podobną dynamiką rosną ceny, żeby nie dochodziło do większego rozwarcia. No i wzrost przedsiębiorcy, koszty transakcyjne rosną, koszty zewnętrzne, ekologia, ochrona środowiska, to wszystko generuje jakieś koszty dla firm. I inflacja się pojawia, ale jest akceptowalna. Czyli złota reguła, jak Pan Profesor wspomniał.

Nawet nie tyle unikać, co kontrolować. I tutaj nie popelniać błędów. I tym wnioskiem chyba zakończymy. Dziękuję bardzo, naszym gościem była Pani Profesor Cecylia Leszczyńska, rozmawialiśmy o inflacji.

Dziękuję.

 Paweł Grata
 Kamil Kowalski

CZY BOGATA PÓŁNOC ZAWSZE BYŁA BOGATA?

PAWEŁ GRATA: Dzień dobry. Witam w kolejnej rozmowie z cyklu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy” będącej częścią realizacji projektu w ramach programu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego Społeczna Odpowiedzialność Nauki. Projekt realizowany jest przez Zakład Historii Gospodarczej i Społecznej Instytutu Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego. Moim dzisiejszym gościem jest Pan Doktor Kamil Kowalski, ekonomista z Uniwersytetu Łódzkiego, ekonomista i historyk gospodarczy, z którym będziemy rozmawiali o podziale świata na bogatą Północ i biedne Południe. Skąd taki podział, skąd takie kryteria geograficzne w opisywaniu rzeczywistości gospodarczej, Panie Doktorze?

KAMIL KOWALSKI: Właściwie przez większość czasu my nie mieliśmy takiego problemu na Ziemi, ponieważ w długiej bytności człowieka na Ziemi życie na niej było smutne, biedne, samotne, zwierzęce, bez słońca i po prostu krótkie, jak mówił o tym Hobbes w 1651. Natomiast współcześnie Ziemia to jest kraj nierówności, żyjemy w czasach nierówności, co wymaga stworzenia pewnych kategorii analitycznych ujmujących ten problem. Potrzebujemy aparatu naukowego, który by opisywał tych, którzy są bogatsi, którzy są biedniejsi, ale w taki sposób, aby ludzie ci nie byli stygmatyzowani. Aż do II wojny światowej przesadnie o to nie dbano, mówiono po prostu o terenach zacofanych, mówiono o barbarii, natomiast po roku 1945 pojawiły się kategorie w założeniu unika-

jące stygmatyzowania ludzi. Mamy w tym pewne sukcesy i pewne porażki. Do omawianego zasobu pojęciowego należy kategoria trzeciego świata. Pojawiła się w roku 1952 i mimo, że nie miała stricte pejoratywnego wydźwięku, to jednak wskazywała, który świat jest najlepszy, który średnio dobry, a który najgorszy. Najlepszy zatem miał być świat liberalny, skupiony wokół Stanów Zjednoczonych. Ten gorszy to był świat komunistyczny, skupiony wokół Związków Radzieckiego, a do trzeciej grupy zaliczano kraje, które nie trafiały do świata ani pierwszego, ani drugiego. Rola tych krajów rosła po roku 1945 z prostego względu. Stały się one członkami Organizacji Narodów Zjednoczonych, gdzie dysponowały głosem równym każdemu innemu państwu. W związku z tym na zgromadzenie ogólnym liczone się z ich siłą polityczną, zabiegano o ich poparcie, co pozwalało im czasem wygrywać pewne spory polityczne. W kolejnych latach pojawiła się kategoria krajów rozwijających się, a najnowszą kategorią jest zaproponowana w roku 1981 kategoria rynków wschodzących. Trzeba zauważyć, że ma ona pewną istotną wadę, polegającą na tym, że obejmuje tak zróżnicowane kraje jak Polska, Chiny i Rosja, a trudno uznać, że problemy i wyzwania gospodarcze tych krajów są takie same.

Te podziały, o których Pan mówił, jednak były bardziej wartościujące z perspektywy poziomu rozwoju gospodarczego, a nie geograficznie. Skąd zatem pomysł bogata Północ, biedne Południe?

Z tego powodu, że podział na północ i południe wydaje się podziałem obiektywnym, a zatem niedotykającym nikogo. Jest to pewne stwierdzenie faktu geograficznego, które jednak stwarza pewne rafały, pewne pułapki, ponieważ wśród krajów zaliczanych do globalnego Południa i też globalnej Północy znajdujemy kraje, które nie odpowiadają geograficznie temu przyporządkowaniu. Podajmy kilka przykładów. Wskażmy może najpierw, jak ta linia przebiega: od zachodu świata byłaby to linia wzdłuż południowej granicy Stanów Zjednoczonych, w Europie wzdłuż Morza Śródziemnego i Morza Czarnego dalej w kierunku wschodnim byłyby to południowe rubieże Rosji oraz Chiny. Mamy zatem tutaj w globalnym Południu całą Afrykę, całą Amerykę Południową, z Ameryki Północnej mamy Meksyk, natomiast w Azji mamy całą Azję wraz

z Chinami, co warto podkreślić, które są zaliczane do globalnego Południa, z wyłączeniem dwóch ważnych państw azjatyckich, to znaczy Izraela oraz Korei Południowej. Do globalnego Południa zaliczamy także Oceanię, natomiast wyłączone są z tego obszaru umownego Australia oraz Nowa Zelandia. Podstawą tego podziału nie jest zatem li tylko geografia, ale poziom dochodów w kraju. Z tym jako ekonomiści mamy dosyć istotny problem, ponieważ z jednego powodu bardzo chętnie sięgamy do wskaźnika produktu krajowego brutto, najczęściej *per capita*. Sięgamy do niego dlatego, że każdy kraj poza Koreą Północną takie dane do Organizacji Narodów Zjednoczonych dostarcza, więc są łatwo porównywalne. Natomiast problemy wynikają z samej konstrukcji tego wskaźnika, który ujmuje produkcję dóbr i usług finalnych, natomiast nic nam nie mówi o jakości życia w kraju ani o poziomie bogactwa. Kolejnym problemem związanym z produktem krajowym brutto jest metodyka jego liczenia, a dokładniej mówiąc, metodyka jego porównywania. Czy mamy porównywać produkt krajowy brutto w ujęciu nominalnym, co stwarza problemy z licznymi kursami walutowymi? Jak je porównywać? Sprowadzanie tych kursów do dolara amerykańskiego nie rozwiązuje problemu. I radzimy sobie w ten sposób, że stosujemy metodę parytetu siły nabywczej. To znaczy wykorzystujemy kurs nominalny, teoretyczny kurs nominalny, który zrównuje koszyki dóbr i usług w dwóch krajach, tak aby były one warte tyle samo. Wytlumaczę to na przykładzie Polski. Jeżeli liczymy PKB Rzeczypospolitej metodą parytetu siły nabywczej, to wówczas PKB *per capita* wynosi 52 tysiące dolarów, co ustawia Polskę jako kraj bogatszy od Portugalii, a zatem wyżej średniej Unii Europejskiej. Przykładowo PKB *per capita* liczone parytetem siły nabywczej dla Francji wynosi 57 tysięcy, więc 57 tysięcy dolarów w stosunku do 52 już wygląda bardzo dobrze. Dla Niemiec jest to 60 tysięcy dolarów, dla Stanów Zjednoczonych 82 tysiące. Więc to wygląda bardzo dobrze. Dlaczego PKB akurat dla Polski i w ogóle krajów z tego koszyka bogactwa wygląda tak dobrze? Wynika to z tego, że w krajach tych jest stosunkowo tania żywność oraz tanie usługi. To znaczy, że za tę samą jednostkę waluty możemy w przybliżeniu tak samo dobrze ostrzyć się zarówno w Polsce, jak i w Portugalii.

Tak, jest to dosyć zrozumiały podział, zrozumiała stratyfikacja – wykorzystywanie poziomu dochodu *per capita* w poszczegól-

nych krajach. Jeżeli prawdą jest, że w takim ogólnym przybliżeniu ta Północ jest bogatsza niż Południe, z wyjątkiem Australii, Nowej Zelandii, Korei, Izraela, to warto zapytać, dlaczego tak się stało.

Właściwie aż do rewolucji przemysłowej mieliśmy pewną równość w biedzie, swoistą demokrację biedy na świecie. Rewolucja przemysłowa była tym punktem odcięcia, w którym zaczęły się rozwierać nożyce dochodowe. Zbytним uproszczeniem byłoby jednak stwierdzenie, że bogate były kraje, które bardzo szybko przyjęły efekty rewolucji przemysłowej, a biedne te, które tego nie zrobiły. To wszystko się wykuwało na pewnym kowadlu instytucjonalnym, które było z kolei wytapiane w latach wcześniejszych. Gdybym miał wskazać najważniejsze wcześniejsze procesy, które doprowadziły do tego rozwarcia się dochodowego Europy i świata w kolejnych latach, to byłyby to jeszcze nawet wydarzenia z XIV wieku – dywergencja Europy związana z wielką zarazą, z dżumą, w połowie XIV wieku, kiedy część krajów doświadczyła znacznego zmniejszenia populacji. Skutkowało ono na przykład wzrostem płac w miastach i wzrostem popytu na żywność na wsi, czego konsekwencją było zwiększenie popytu na produkcję żywności w innych krajach i eksport tej żywności, a to z kolei pociągnęło za sobą poszerzenie powierzchni upraw w tych krajach. Tak się złożyło, że akurat Polska należała do tej grupy krajów, czego efektem był rozwój folwarków i jednocześnie zubożenie kraju jako całości. Grupą, która zyskiwała, była warstwa szlachecka, natomiast nie był to demokratyczny podział bogactwa. Inaczej stało się w krajach Zachodu, gdzie w wyniku wielkiej zarazy wykształciła się warstwa mieszczańska, która ewoluowała z czasem w warstwę kupiecką, co miało bardzo duże znaczenie w trakcie kolejnego istotnego wydarzenia wpływającego na podział bogactwa na świecie, to znaczy wielkich odkryć geograficznych. Anglia wysyłała do Nowego Świata swoich wysłanników, których było stać na tę ekspedycję. Innymi słowy, nie były to wyprawy finansowane tylko przez koronę brytyjską, ale przez kupców, którzy już wówczas mieli zakumulowany pewien zasób bogactwa, natomiast kraje Wschodu nim nie dysponowały. Z tego powodu Anglia była krajem, w którym mogło dojść do wielkiej rewolucji przemysłowej, natomiast nie mogło do niej dojść na wschodzie Europy.

I na wschodzie Europy, i też w innych częściach świata, bo przecież jednak stara cywilizacja chińska w pewnym momencie została z tyłu.

Tak, rzeczywiście tak było. Można zadać pytanie, dlaczego tak się stało. Myślę, że najbardziej popularne wytłumaczenie, co do którego panuje konsensus wśród badaczy, jest takie, że Chiny na własne życzenie zamknęły się na kontakty ze światem, uznając, że nie chcą brać udziału w wyprawach transmorskich czy transoceanicznych, bo postrzegały je jako zagrożenie. Nie zdyskontowały zatem tego wielkiego kroku, który zdyskontowała Europa, niestety, mówię to ze smutkiem, kosztem krajów, które były podbijane, co zadecydowało o permanentnej ich biedzie na najbliższe stulecia, a trwa niestety do dzisiaj. Ta dywergencja dochodowa jest bardzo dobrze widziana w podziale bogactwa Ameryki Północnej i Południowej. Obydwa te kontynenty były przedmiotem kolonizacji Europejczyków. Z pewnych powodów okazało się jednak, że Ameryka Południowa utrwaliła biedę będącą wynikiem tychże podbojów, Ameryka Północna zaś, mam tu na myśli Stany Zjednoczone oraz Kanadę, nie. Można mówić wręcz o pewnym szczęściu, mianowicie koloniści angielscy, którzy przybyli na tereny dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, po pierwsze, nie natrafili tam na istotne złoża kruszców ani złota, ani srebra. Na marginesie można zadać pytanie, jak potoczyłaby się historia, gdyby dotarli do Ameryki Północnej od strony zachodu i znaleźli złoto kalifornijskie. Pewnie byłaby zupełnie inna. Drugim natomiast czynnikiem było to, że nie natrafili w Ameryce Północnej na zwarte skupiska ludności na północ od rzeki Rio Grande. Nie było zatem kogo podbijać, nie było kogo zmuszać do pracy, więc bardzo szybko się z tych terenów wycofywali. W tę próżnię polityczną, ekonomiczną, społeczną trafili dopiero Brytyjczycy, którzy próbowali stosować metody konkwistadorów hiszpańskich czy portugalskich, natomiast nie spotkali ani złota, ani tych skupisk, więc musieli...

...zabrać się do pracy...

...czego – dodajmy – nie chcieli robić, nie taki był plan. Oni byli świadomi scenariuszów hiszpańskich i portugalskich w Ameryce

Południowej, chcieli je powtarzać, ale się nie dało, więc *nolens volens* w Ameryce Północnej na północ od Rio Grande zakiełkowała demokracja.

Tak i istotny był też sam proces kolonizacji właśnie, tam gdzie on był taki czysty anglosaski, tam rzeczywiście pojawiają się enklawy bogatej północy na południu.

Tak, natomiast oddajmy Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie, nie zawsze kolonizacja ze strony Brytyjczyków kończyła się tak dobrze jak w przypadku współczesnych Stanów Zjednoczonych. Licznym koloniom afrykańskim przypadł los nieporównywalnie gorszy. Możemy tutaj wskazać chociażby Rodezję i cały kompleks kolonii protektoratów, na którym stanęła noga Cecila Rhodesa. Tym krajom nie udało się wytworzyć załączków demokracji, nie udało im się stworzyć silnego centralnego państwa z instytucjami pluralistycznymi, co zdeterminowało ich biedę na kolejne lata.

Dlaczego?

Dlatego, że nie dano im szansy tego rozwoju. Wykorzystywano ich bogactwa naturalne, wykorzystywano ich siłę. Niestety, bogactwo państw zachodniej Europy powstało kosztem krajów kolonizowanych, krajów afrykańskich. Jest to wielka skaza na tych krajach, które kolonizowały.

Pamiętamy, że XIX wiek to nie tylko rewolucja przemysłowa, ale to nowoczesny kolonializm, który był też jednym z elementów wspierających rozwój gospodarek europejskich.

Niestety, zatem ten rozwój gospodarczy był dwojaki. Z jednej strony możemy się tutaj cieszyć z dyfuzji technologii, która następowała i w Anglii, i potem we Francji, z drugiej najszybciej w Stanach Zjednoczonych, zaraz po Wielkiej Brytanii; natomiast wzrost bogactwa Wielkiej Brytanii niestety odbywał się kosztem pogarszania się sytuacji instytucjonalnej licznych krajów afrykańskich.

Trudno też byłoby zaryzykować tezę, że Indie jakoś się znakomicie rozwijały pod rządami Brytyjczyków.

Zdecydowanie tak nie było, ponieważ aż do okresu, w którym Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska zdominowała subkontynent indyjski, Indie były największym eksporterem tekstyliów na świecie. Natomiast wskutek decyzji politycznej Wielkiej Brytanii polegającej na promocji własnego przemysłu tekstylnego zakazano importu tekstyliów z Indii, żeby wspierać lokalną brytyjską twórczość, co oczywiście odcięło ten rynek dla producentów indyjskich. Co więcej, Kompania Wschodnioindyjska w sposób zbrojny zmuszała Hindusów do przekazania swoich fabryk Brytyjczykom, co kończyło się oczywiście spadkiem tempa rozwojowego subkontynentu indyjskiego na lata, jego podporządkowaniem decyzjom politycznym Londynu.

Czyli możemy powiedzieć, że bogata Północ, biedne Południe to pojęcia względnie nowe, ale odzwierciedlające skutki procesów sprzed kilku stuleci – od wielkich odkryć geograficznych poprzez pierwszą kolonizację po kolonializm XIX-wieczny i to, co z nim było związane również w wymiarze gospodarczym. Chciałbym tu nawiązać do pojęcia rynków wschodzących. Jest ono bardzo przychylnie dla krajów biedniejszych, bo trzeci świat do dzisiaj nam się pejoratywnie kojarzy jako określenie wybitnie obraźliwe z punktu widzenia naszej wiedzy historycznej, gospodarczej czy nawet socjologicznej. Czy ta grupa rynków wschodzących ma swoje szanse, czy jest możliwe, że podział na bogatą Północ, biedne Południe będzie niwelowany?

Tak jak określenia globalna Północ i globalne Południe nie mają charakteru konstytutywnego – czyli gdy my zaczęliśmy ich używać, to nie znaczy, że one od tego momentu powstały, tak jak Pan Profesor powiedział, funkcjonowały znacznie wcześniej, natomiast spopularyzowały się dopiero w latach 70. i kolejnych – tak samo użycie określenia rynki wschodzące nie konstytuuje faktu, że jakaś gospodarka jest wschodząca. To, że zaliczymy ją do takiej, a nie do innej grupy, jest wyrazem pewnej – jak to nazywał Gunnar Myrdal – poprawności językowej, dyplomacji językowej, kiedy szukamy właściwego określenia dla krajów, nie chcąc ich stygmatyzować. Termin Antoine'a van Agtmaela z 1981 wydaje się najbardziej adekwatny na dzisiaj, natomiast nie zamyka na pewno katalogu określeń, które będą tworzone w kolejnych latach. Powstają zresztą

opracowania wskazujące, które z tych określeń – czy trzeci świat, czy kraje rozwijające się, czy rynki wschodzące, czy jeszcze inne, globalna Północ, globalne Południe – jest najczęściej używane. Najistotniejsze tak naprawdę są perspektywy, aby sfera globalnej Północy, jakkolwiek ją nazwiemy, ciągle się rozszerzała, a globalne Południe kurczyło, nie tylko w sensie geograficznym. Od czasu do czasu takie sukcesy następują, natomiast one są bardzo powolne. Organizacja Narodów Zjednoczonych wyróżnia 45 krajów LDC, czyli najmniej rozwiniętych na świecie, z których aż 32 znajdują się w Afryce. Katalog tych krajów jest aktualizowany co trzy lata i niestety kurczy się bardzo powoli. W ostatnich latach należały do niego Butan, Botswana czy Republika Palau, nie są to kraje, których zniknięcia z tej listy byśmy oczekiwali, tak jak duże kraje, które są generatorem niestabilności w Afryce czy w Ameryce Południowej, jak np. Haiti.

I równocześnie często są źródłem niekontrolowanych ruchów migracyjnych, bo jednak niski poziom zamożności czy brak zamożności stanowi jeden z czynników decydujących o tym, co się dzieje w dziedzinie masowych przemieszczeń ludności, z którymi ostatnio mamy do czynienia. Pytanie kolejne trochę zahacza o dalszą przeszłość gospodarczą, bo globalna Północ, globalne Południe dzisiaj są dla nas oczywiste, rozumiemy te pojęcia, natomiast przecież nie zawsze tak było, nie zawsze ta Północ była bogatsza. Przecież są całe tysiąclecia, całe epoki, kiedy Północ była biedna. To, co dzisiaj nazywamy bogatą Północą, to były tereny zacofane w stosunku do Południa.

Zauważmy, że określenia „globalna Północ” i „globalne Południe” są zapisywane wielkimi literami. Gdyby to były desygnaty tylko geograficzne, to nazwy byłyby zapisywane małą literą. I możemy tutaj podać przykłady, które potwierdzają to, o czym Pan Profesor mówił, bo o ile możemy mówić o Korei Północnej, Korei Południowej, czyli mamy tutaj biedną Północ, bogate Południe, możemy mówić o biednych Niemczech północnych, bogatych Niemczech południowych, ale z drugiej strony możemy mówić o bogatej północy włoskiej i biedniejszych Włoszech południowych. W Wielkiej Brytanii mamy uprzemysłowioną, bogatszą Wielką Brytanię południową i rolniczą Wielką Brytanię północną. Więc tutaj za każdym

razem musimy być bardzo ostrożni, a sięgając daleko wstecz, trzeba pamiętać, że wielkie cywilizacje rozwijały się geograficznie na terenach, które dzisiaj klasyfikujemy jako Południe, czyli będą to cywilizacje rzeczne Mezopotamii, Egiptu, Indusu, Chin, których rozwój, jeżeli zestawimy je z rozwojem Europy, daleko tę Europę wyprzedzał. Podajmy tutaj taki przykład, być może tylko z samych miast Mezopotamii. Ur, Uruk tworzone 3,5 tysiąca lat przed naszą erą, piramidy w Gizie tworzone 2500 lat przed naszą erą zestawmy z największym ówczesnym osiągnięciem brytyjskim, czyli kręgami ze Stonehenge z 2000 r. przed naszą erą. Jaki jest poziom zaawansowania tych prostych w sumie, po prostu megalitycznych bloków Stonehenge, a jaki jest poziom maestrii inżynierskiej piramid w Egipcie? W kolejnych tysiącletniach to uległo zmianie.

Musimy też pamiętać, że ta Północ, kiedy zaczęła się rozwijać, nawet jeszcze przed erą industrializacji, była bardzo ekspensywna. Europa była ekspensywna, to nie podlega chyba dyskusji...

Zdecydowanie tak. Posiadała ku temu istotne warunki, przede wszystkim dostęp geograficzny do oceanów, do mórz. Korzystała z dorobku inżynierii okrętowej tworzonej przez Wenecję. Wówczas to próbowano dotrzeć do kontynentu azjatyckiego, rozumianego raczej jako Bliski Wschód, natomiast w kolejnych latach dopiero do Chin i Japonii. Było to ciągłe poszukiwanie Nowego Świata. Istotnie, że to Europejczycy dotarli do Nowego Świata czy to do Ameryki, czy do Azji, a nie Azjaci organizowali wyprawy na przykład w kierunku Wielkiej Brytanii.

Tak i później ten powolny proces, o którym mówiliśmy, doprowadził do tego, że Europa stała się centrum przemysławienia i jeszcze bardziej ta przewaga Europy i cywilizacji z nią związanej – Ameryki Północnej doprowadziła do tego, że te podziały się pogłębiły. Czy można się spodziewać, że ten podział w jakiejś przewidywalnej przyszłości, jeszcze w kontekście zmian klimatycznych, może zanikać, czy jednak będzie tak jak teraz, że dwa, trzy państwa na trzy lata wypadają z listy ONZ?

Pierwszym scenariuszem jest scenariusz typu Czarny Łabędź, czyli wydarzenie, którego nikt lub mało kto się spodziewa, tak jak było w przypadku pandemii z roku 2020, natomiast bardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz, w którym żadnych istotnych zmian nie będzie. To znaczy byłoby to dołączanie, powolna konwergencja krajów Afryki do poziomu szeroko rozumianego Zachodu, natomiast jest to perspektywa setek lat niestety. Taka jest skala dywergencji dochodów. Podajmy jedną statystykę. W roku 1820, czyli właściwie zaraz na początku rewolucji przemysłowej, różnica dochodu pomiędzy dochodem *per capita* w Wielkiej Brytanii a w Indiach była trzykrotna na niekorzyść Indii. Natomiast w roku 1995 była to już różnica siedemdziesięciokrotna. I trudno oczekiwać, aby te gigantyczne różnice mogły się w przewidywalnej...

Dodać jeszcze należy presję demograficzną, która tam jest.

Tak, a na niekorzyść działa również łatwość transportu. Innymi słowy, łatwiej jest zmienić miejsce do życia z Indii na Wielką Brytanię niż czekać na Godota... aż Indie staną się bogate. Czyli można powiedzieć, że paradoksalnie rozwój technologiczny, łatwość transportu nie będą tutaj sprzyjały tej konwergencji.

Trudno dziś wskazać czynniki, które na pewno będą sprzyjały konwergencji, tym bardziej że też trzeba jeszcze wspomnieć o jednej rzeczy. Dekolonizacja nastąpiła ponad pół wieku temu, ta zasadnicza fala dekolonizacji. Wtedy była mowa o krajach rozwijających się, które starają się podnieść swój poziom życia do tego znanego z Europy Zachodniej czy ze Stanów Zjednoczonych. I co się stało przez te 60 lat?

No niewiele, niestety. My zasadniczo wiemy, jakie warunki należy spełniać, aby się rozwijać, ale wydaje mi się, że zbyt bardzo koncentrujemy się na przekazywaniu tego katalogu rekomendacji do krajów, które tak bogate nie są. Istotniejsze jest pytanie, dlaczego te kraje robią to źle. i podam tutaj przykład chociażby instytucji ochrony praw własności. Generalnie wszyscy wiemy, że dobrze jest, kiedy prawa własności są zachowywane, kiedy nie kopiuje się płyt, kiedy nie kopiuje się książek. Jest co do tego konsensus, natomiast w krajach tych jest na to przyzwolenie i my wiemy, że to

źle działa, ponieważ nie służy bodźcowaniu twórców, nie służy rozwojowi technologicznemu, a jednak tak się dzieje. Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ jest to najczęściej z korzyścią dla wąskich elit, które nie są zainteresowane zmianą *status quo*. Innymi słowy, to nie jest tak, że my nie wiemy, co robić, żeby było dobrze, bo wiemy, albo przynajmniej mniej więcej.

Wiemy, historia nas tego uczy. Są przykłady jednoznaczne. Jak tworzyć instytucje, jak one powinny funkcjonować, jakie to daje efekty.

Tak, mamy zarówno historię porażek, jak i sukcesów, natomiast nie wszyscy są tym zainteresowani. Czasem lepiej być przywódcą biednego kraju, ale być w elicie tego kraju aniżeli być przywódcą kraju demokratycznego, ryzykując, że za trzy, cztery lata miotła wyborcza zmiecie nas z Parnasu tego kraju.

Niestety też trzeba tutaj stwierdzić, że brak elit, które by chciały te kraje modernizować, na tyle silnych, żeby były w stanie to przeprowadzić To też jest nadal chyba skutkiem kolonializmu.

Z elitami bywa różnie, ponieważ elity bardzo często mają tendencję do monopolizowania bogactwa, dyskontując swoją przewagę wiedzy, np. wynikającą ze studiowania za zagraniczne pieniądze na zagranicznych uczelniach. Idealnie byłoby, gdyby ta przewaga intelektualna elit, pewien bagaż kapitału społecznego, przekuwała się na rozwój instytucji włączających, to znaczy takich, które zachęcałyby do szerszej partycypacji szerokich mas społeczeństwa zarówno w korzyściach gospodarczych, jak i politycznych. Mamy przykłady krajów biednych Południa, gdzie ten mechanizm zadziałał, na różną skalę, na przykład Botswana, która wykorzystała swoją szansę; mamy przykład Korei Południowej, która przy wydatnej pomocy geopolitycznej, to znaczy pewnym bodźcu ze strony Stanów Zjednoczonych, ruszyła do przodu, chociaż trwało to bardzo długo.

Ale była bardzo biednym krajem.

Drogą demokratyczną. I to się udaje i być może warto się na tych przykładach uczyć. W przypadku Korei Południowej, tak jak Pan

Profesor mówi, ten punkt startowy po II wojnie światowej w porównaniu z Koreą Północną był niższy. Korea Południowa była biedniejszą częścią państwa koreańskiego niż Północ. Przez lata, właściwie aż do końca lat 80., była krajem autorytarnym i to w wersji twardej autorytaryzmu. Mam tutaj na myśli setki ofiar zamieszek studenckich. Natomiast bardzo istotna była ta delikatna ręka wuja Sama, który oczywiście jest państwem demokratycznym, który nie mógł pozwolić na to, aby Korea Południowa w długim okresie była krajem zbliżonym do oponenta, czyli do Korei Północnej. Towarzyszyła temu bardzo sensowna polityka gospodarcza, to znaczy wspieranie przez państwo inicjatywy prywatnej i powstanie czeboli, czyli słynnych konglomeratów, z których owoców my korzystamy w domu na co dzień, czyli ze sprzętu Samsunga, LG, do niedawna z samochodów Daewoo, a obecnie koncernu Hyundai czy Kia. Więc da się, natomiast udaje się to stosunkowo rzadko niestety.

Właśnie taka myśl mi się nasunęła na koniec, że przykładów potwierdzających możliwość tej konwergencji, włączania do świata bogatej Północy, jest zdecydowanie zbyt mało, żeby w dłuższej perspektywie myśleć o tym, że podział na bogatą Północ i biedne Południe zostanie zniwelowany.

Tak, ten pociąg, który możemy opatrzyć emblematem „Bogata Północ”, wyruszył w daleką podróż w XIX wieku, kiedy rozwijała się rewolucja przemysłowa. Dogonić go w wieku XXI jest bardzo trudno, ale bądźmy optymistami, niektórym krajom się to udaje.

I tym optymistycznym wnioskiem czy oczekiwaniem zakończymy.

 Paweł Grata
 Piotr Franaszek

CZY I JAK WOJNA WPŁYWA NA GOSPODARKI NARODOWE I GOSPODARKĘ GLOBALNĄ?

PAWEŁ GRATA: Dzień dobry, witam w kolejnej rozmowie z cyklu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy”. Rozmowy są realizowane w ramach projektu finansowanego w programie Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego „Społeczna Odpowiedzialność Nauki” przez Zakład Historii Gospodarczej i Społecznej w Instytucie Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego. Dzisiejszym gościem jest Pan Profesor Piotr Franaszek, historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego, z którym będziemy rozmawiali na bardzo aktualny temat, nawet nie myśleliśmy, że aż tak aktualny, gdy przygotowaliśmy nasz projekt: wojna a gospodarka, wpływ wojny na gospodarkę – pozytywny, negatywny. Jakie skutki przynoszą konflikty zbrojne dla życia gospodarczego? Mówiąc o historii gospodarczej, będziemy pokazywać procesy związane z konfliktami zbrojnymi w przeszłości – procesy gospodarcze, procesy społeczne – i to jak wojny wpływały, wpływają i być może będą wpływać na życie gospodarcze. Panie Profesorze, czym jest wojna dla gospodarki?

PIOTR FRANASZEK: Wojna jest przede wszystkim tragedią osób zaangażowanych w tę wojnę, narodów, które ta wojna dotyka. Ale jednym z aspektów wojny zawsze jest właśnie gospodarka i wpływ wojny na gospodarkę, w zdecydowanej większości negatywny i to

w różnych aspektach. To, co się najbardziej narzuca i co jest oczywiste, to są zniszczenia wojenne, a więc zniszczenia przemysłu, zakładów pracy, rolnictwa, ale przede wszystkim straty ludnościowe, bo to jest bardzo ważny aspekt zarówno gospodarczy, jak i społeczny. Wojna w konsekwencji prowadzi do rozbicia więzi społeczno-gospodarczych, które są podstawą każdego biznesu. Mało tego, w kontekście budżetu państwa z reguły wojna prowadzi do tego, że ten budżet także zaczyna po prostu się nie dopinać, zaczyna być po prostu dziurawy w stosunku do okresu przedwojennego. Zazwyczaj odnotowujemy bardzo poważne straty, przykładowo w czasie I wojny światowej budżet państwa niemieckiego zmalał sześciokrotnie. Innym aspektem tego zagadnienia jest inflacja, która uderza w przeciętnego obywatela. Na bieżąco niesie takie właśnie straty, ale w konsekwencji te wszystkie problemy przenoszą się na inne kraje, a także na okres powojenny.

Przywołajmy kilka przykładów wojen w przeszłości, które toczyły się w taki czy inny sposób, ale miały duże konsekwencje ekonomiczne. Zwróćmy uwagę na wojny napoleońskie, kiedy Napoleon I ogłasza blokadę kontynentalną. Z założenia ma to uderzyć w gospodarkę Wielkiej Brytanii. Efekt jest dokładnie odwrotny. Wielka Brytania, tracąc rynki europejskie, rozbudowuje więzi handlowe z innymi krajami, zwłaszcza z krajami zamorskimi, rozwija swoje rolnictwo, a w efekcie w momencie upadku Napoleona na całym tym rozwiązaniu traci Francja, która ma zbyt słabą gospodarkę, aby przeciwstawić się gospodarce Wielkiej Brytanii. Zwłaszcza importowi towarów z Wielkiej Brytanii, bo bardzo ważnym aspektem konfliktów zbrojnych jest ustanie międzynarodowej wymiany handlowej czy też poważne utrudnienia w tym wymiarze. Inny przykład ogromnego wpływu konfliktu niby lokalnego na całą gospodarkę to wojna Jom Kipur z 1973 roku na Bliskim Wschodzie. Jak wiemy, Bliski Wschód od dawna jest rejonem bardzo zapalnym, znajdującym się w permanentnym konflikcie. Natomiast kiedy wybuchła ta wojna – rozpoczęła się od próby odbicia przez Egipt i państwa arabskie terenów okupowanych przez Izrael w wyniku wojny sześciodniowej – okazało się, że wsparcie, jakiego Stany Zjednoczone i inne kraje Europy Zachodniej udzieliły Izraelowi, spowodowało embargo na ropę ogłoszone przez państwa

OPEC. W efekcie w całym nowoczesnym, że tak powiem, świecie, o wysoko rozwiniętych gospodarkach doszło do głębokiego kryzysu naftowego, kryzysu energetycznego. Kraje te absolutnie nie były przygotowane na taką sytuację.

Innym aspektem konfliktów zbrojnych są problemy finansowe. Wspomniałem już o inflacji i konieczności jej przezwyciężenia, ale jest to też kwestia o zasięgu międzynarodowym i mamy bardzo wiele przykładów, które właśnie zrodziła wojna. I wojna światowa doprowadziła do sytuacji, w której kraje europejskie, Francja, Wielka Brytania, coraz bardziej zadłużały się w Stanach Zjednoczonych. Po prostu nie były w stanie utrzymać swojego wysiłku zbrojnego na tyle, aby móc skutecznie walczyć z Niemcami. To zadłużenie spowodowało zaś, że po wojnie kraje te znalazły się w bardzo silnej zależności od Stanów Zjednoczonych. Skutek był taki, że zasoby złota, kruszców, które należały właśnie do Wielkiej Brytanii czy Francji, zwłaszcza Wielkiej Brytanii, odpływały za ocean, wzmacniając gospodarkę amerykańską, a osłabiając brytyjską, i to do tego stopnia, że w pewnym momencie nawet Brytyjczycy zawiesili wymienialność waluty na złoto. Ten problem jeszcze mocniej zarysował się w czasie II wojny światowej, kiedy także kraje Europy Zachodniej całkowicie uzależniły się od importu amerykańskiego, jednocześnie spadł eksport z krajów Europy Zachodniej, co doprowadziło do pogłębiającego się ujemnego bilansu handlowego. Kiedy kończyła się wojna, okazało się, że Stany Zjednoczone – to jest ten w cudzysłowie pozytywny aspekt wojny w przypadku Stanów Zjednoczonych – naprawdę wzmocniły swoją pozycję gospodarczą, natomiast doprowadziło to do bardzo poważnego kryzysu finansowego. Próba rozwiązania tego problemu skończyła się tak zwaną konferencją w Bretton Woods w lipcu 1944 roku, kiedy kraje zrezygnowały z obowiązującego dotychczas systemu finansowego opartego na rezerwach kruszców i przeszły na tak zwany system dolarowo-dewizowy, „gold dollar standard”, który spowodował, że właściwie dolar amerykański stał się pieniądzem międzynarodowym. Zawieszono bowiem wymienialność walut na złoto, chyba że były to dolary, a więc jedynie dolary można było wymienić na złoto. W efekcie wszystkie inne waluty traciły swoją pozycję w stosunku do dolara amerykańskiego. Więc to są bardzo ważne aspekty gospodarcze, tak jak wymiana między-

narodowa, wymiana handlowa, bo świat się kręci wokół handlu międzynarodowego. Przerwanie tych wcześniej wypracowanych i to czasami bardzo trudnych umów handlowych wprowadza bardzo poważne perturbacje. Po II wojnie światowej szukano rozwiązań uniezależnienia państw zachodnich od Stanów Zjednoczonych, szukano drogi do liberalizacji handlu. W 1947 roku podpisano w związku z tym umowę w ramach tak zwanego GATT, czyli ogólną umowę w sprawie ceł i handlu, która dopiero sprawiła, że handel był stopniowo liberalizowany i w efekcie państwa powoli stawały się partnerami w wymianie handlowej. Jest jeszcze wiele innych spraw związanych z tym aspektem finansowym, które z całą mocą dały o sobie znać po I wojnie światowej, kiedy to Niemcy zostały obciążone bardzo wysokimi kontrybucjami na rzecz państw zwyciężskich, państw Ententy, ale jednocześnie bardzo szybko okazało się, że nie są w stanie spłacać tych zobowiązań. Z drugiej strony Wielka Brytania, Francja zadłużyły się w Stanach Zjednoczonych. Początkowo państwa zachodnie zakładały, że będą te zobowiązania spłacać dzięki reparacjom niemieckim. Niemcy wkrótce ogłosiły bankructwo. Pojawiły się więc dwa plany, które próbowały temu zaradzić, a więc plan Charlesa Dawesa w latach 20. i plan Owena Younga na początku lat 30. Oba miały ułatwić Niemcom spłatę reparacji. Bardzo szybko jednak okazało się, że Niemcy i tak ich nie spłacą, zawiesiły czy w ogóle odmówiły spłacania. I doszliśmy właśnie do takiej sytuacji patowej. Potem wybuchła II wojna światowa, która „rozwiązała” ten cały problem. To są te historyczne odniesienia niezwykle ważne. Zresztą, co tu dużo mówić, niejednokrotnie to właśnie czynniki gospodarcze, jeśli nie decydują o wybuchu wojen, to z pewnością są istotne w kontekście wskazywania ich przyczyn.

I wojna światowa...

I wojna światowa. Ja bym nawet jeszcze wcześniej zwrócił uwagę na inną wojnę, u nas dosyć egzotyczną, tak zwaną wojnę o saletrę. To była wojna z przełomu lat 70. i 80. XIX wieku toczona w Ameryce Południowej między Chile, Boliwią, a Peru właśnie o pokłady saletry, która była bardzo ważnym nawozem i cennym towarem eksportowym. Tam też był inny aspekt. Czasami ta wojna

nazywa się wojną o Pacyfik, więc chodziło o uzyskanie w jej efekcie dostępu do Pacyfiku. Chile odsunęło Boliwię od Pacyfiku, no i przejęło te pokłady. Później, tak jak właśnie Pan Profesor wspomniał, I wojna światowa. Francja chciała odzyskać Alzację i Lotaryngię, bardzo ważne z gospodarczego punktu widzenia prowincje, z kolei Niemcy przystępowały do I wojny z zamiarem uzyskania posiadłości kolonialnych, bo kiedy świat był dzielony pomiędzy wielkie potęgi, przede wszystkim Wielką Brytanię, Francję, ale też takie kraje, jak Portugalia czy Holandia, które miały swoje posiadłości, Niemcy praktycznie zostały z tego podziału wyłączone. To też bardzo istotny aspekt ekonomiczny tej wojny. Jeśli popatrzymy na II wojnę światową, to oprócz wszystkich ideologicznych przesłanek, którymi kierował się Hitler, istniały też przesłanki gospodarcze, a więc opanowanie tak zwanej przestrzeni życiowej, zagarnięcie bogatych ziem, które by zapewniały wyżywienie „rasy panów”, czy też przejęcie nowoczesnych zakładów przemysłowych. Polska szczególnie doświadczyła tej grabieży, kiedy Niemcy wywozili z niej sprzęt, maszyny, niektóre niszczyli, ale jednocześnie potrafili wykorzystać Hutę Stalowa Wola, która była nowoczesnym zakładem dopiero co uruchomionym i otwartym.

Pan Profesor wspomniał o najnowszych czasach. Spójrzmy na wojnę na Ukrainie toczącą się od dwóch lat, tam także specjaliści doszukują się w agresji rosyjskiej motywu ekonomicznego. Pomijając aspekt propagandowy podnoszony przez Rosję, że Ukraińcy i Rosjanie to jeden naród, to wiadomo, że wschód Ukrainy jest bardzo bogaty w surowce mineralne, jest węgiel, bardzo bogate pokłady węgla kamiennego, ale co się bardzo mocno podkreśla, przede wszystkim tak zwane metale ziem rzadkich, a więc lit. Podobno oszacowano, że jedna czwarta, a nawet więcej pokładów litu w Europie znajduje się właśnie na Ukrainie. Lit jest wykorzystywany obecnie w bardzo wielu gałęziach produkcji – w przemyśle samochodowym, lotniczym, w medycynie, w elektronice. Poza tym są tam również pokłady tytanu, berylu, bardzo ważne rzadkie metale. Te aspekty były brane pod uwagę właśnie w momencie, kiedy wojna się rozpoczęła i także teraz, kiedy Rosjanie okupują te obszary.

Wiemy, że wojna to zło. Co do tego chyba nie ma wątpliwości, nie ma się o co spierać. Każda wojna niesie ze sobą wiele dramatów, nieszczęść, strat, ofiar i tych długofalowych skutków, o których Pan Profesor też wspominał. Ale równocześnie musimy mieć świadomość, że wojna gospodarce czasami przynosi korzyści. Dlaczego tak się dzieje?

No właśnie, jednym przynosi korzyści, innym nie. Możemy mówić o pozytywnych stronach wojny i działań zbrojnych. Jeśli popatrzymy na Niemcy hitlerowskie na przykład, oszacowano, że między 1934 i 1944 rokiem PKB Niemiec rosło w bardzo szybkim tempie, mniej więcej 4% w ciągu roku. To jest bardzo wysoki wskaźnik związany właśnie z rozwojem przemysłu zbrojeniowego. To jest ten istotny aspekt prowadzenia wojen, kiedy alokacja kapitałów jest przenoszona właśnie w stronę przemysłu zbrojeniowego i innych przemysłów, hutnictwa na przykład, które wspierają rozwój przemysłu zbrojeniowego. Dzieje się to jednocześnie kosztem innych gałęzi przemysłu, no niezwykle ważnych dla przeciętnego obywatela, który w jakiś sposób jest poszkodowany, bo nie są zaspokajane jego potrzeby.

Słynne hasło „armaty zamiast masła”.

No więc właśnie. I teraz mamy właśnie przykład Niemiec, ale jednocześnie w momencie, kiedy Niemcy przegrały wojnę, to ich PKB poleciało na łeb na szyję. Kraj był zrujnowany. W tym samym wojennym czasie świetnie rozwijał się przemysł amerykański, i to nie tylko zbrojeniowy. Amerykanie zaspokajali wtedy potrzeby żywnościowe Europy, a przynajmniej niektórych jej krajów, a więc rozwijało się rolnictwo, rozwijał się przemysł chemiczny, który pracował dla rolnictwa, ale także dla innych gałęzi przemysłu. To jest kolejny pozytywny aspekt wojny, podejmowano szereg prac naukowo-badawczych, które miały doprowadzić do zbudowania coraz lepszych metod zwalczania przeciwnika, ale jednocześnie dzięki temu rodziły się nowe gałęzie produkcji, powstawały pracownie, angażowano bardzo wielu naukowców, którzy wykonywali pewne działania niby z całą pewnością dla armii, dla wojska, w celach militarnych, ale potem okazywało się, że te wszystkie

działania są przydatne w cywilnym życiu. No i mamy wynalazki, osiągnięcia, które pojawiły się tuż przed II wojną światową – bo szczególnie II wojna światowa jest warta zauważenia w tym aspekcie – albo też same działania wojenne wymusiły, że tak powiem, znalezienie rozwiązań, które potem były bardzo przydatne w życiu cywilnym dla wszystkich obywateli. Można tutaj mówić np. o lotnictwie, a więc wynalazek radaru. Dzisiaj nie wyobrażamy sobie komunikacji lotniczej czy żeglugi morskiej bez radaru. To właśnie II wojna światowa sprawiła, że to urządzenie osiągnęło prawie doskonały charakter. Jeśli mówimy o lotnictwie, Amerykanie zbudowali kabinę ciśnieniową dla swoich superfortec B-29, dzięki czemu mogły one przelatywać na bardzo wysokich pułapach nienarażone na ogień artylerii przeciwnika. Dzisiaj nie wyobrażamy sobie samolotów, które latają na wysokości ponad 10 tysięcy metrów bez kabin stwarzających takie możliwości. Brytyjczycy zbudowali system OBO, czyli system naprowadzania bombowców na cel, który właściwie był prawnikiem dzisiejszych systemów ILS, które naprowadzają samoloty przy lądowaniu w trudnych warunkach pogodowych. Silnik odrzutowy. Wszystkie dzisiaj czy prawie wszystkie samoloty pasażerskie są napędzane silnikami odrzutowymi. To są także prace z okresu II wojny światowej, trochę Brytyjczyków, ale przede wszystkim Niemców, którzy nawet wprowadzili w 1944 roku odrzutowiec Me 262 do działań wojennych, ale to już o niczym nie mogło zadecydować. Przemysł raketowy, też Niemcy, od Wernhera von Brauna, twórcy rakiety V1, V2, pierwszej rakiety balistycznej, następnie twórcy amerykańskiego programu kosmicznego, od pierwszych rakiet aż do lądowania Amerykanów na Księżycu. Energetyka jądrowa, owszem, budowana w celu zabijania, jako broń masowa. Mieliśmy przykłady dwukrotnego użycia bomby atomowej przez Amerykanów w Japonii, ale z drugiej strony zastosowana do celów pokojowych w energetyce. Można by tu jeszcze wiele innych przykładów przytoczyć. W przemyśle tworzyw sztucznych popularny poliuretan to także wynalazek II wojny światowej, a jeszcze nylon – Amerykanie, czy ogólnie alianci, lądując w Normandii, używali spadochronów zrobionych z nylonu, który był reklamowany jako wytrzymały jak stal, a cienki jak pajęczyna. Bardzo szybko przemysł odzieżo-

wy się nim zainteresował, no i zaraz po wojnie, jeszcze pod koniec wojny, pończochy damskie wykonane z nylonu były krzykiem mody. Napój „Fanta”, dzisiaj tak popularny, to także receptura niemiecka, niemieckiej gałęzi Coca-Coli. Okazało się, że po wybuchu wojny wszystkie potrzebne produkty importowane z Ameryki po prostu już nie mogły docierać do Niemiec, dlatego Niemcy wymyślili coś takiego, co potem Coca-Cola przejęła jako swój napój. Chciałbym tu wspomnieć jednak o Polakach, którzy także przyczynili się do powstania pewnych istotnych konstrukcji, wynalazków, które miały zastosowanie wojskowe, ale także potem były wykorzystywane w życiu cywilnym. Józef Kosacki zbudował doskonały aparat do wykrywania min, a tak naprawdę do wykrywania metali w ziemi. Polski inżynier, który był w Anglii w tym czasie, wygrał konkurs, jeśli tak można powiedzieć, z innymi konstruktorami. Jego konstrukcja okazała się najlepsza. Trzeba też wspomnieć o Henryku Magnuskim, który przebywał w Stanach Zjednoczonych, kiedy wybuchła II wojna światowa. Pracował w firmie, która od 1947 roku nazywa się Motorola, i tam zaprojektował i zbudował przenośną radiostację, czyli to, co dzisiaj się nazywa walkie-talkie. Amerykanie nadali konstrukcji tę popularną nazwę. Możemy mówić, że są to pewne pozytywne konsekwencje II wojny światowej. Mało tego, musimy popatrzeć na rozwój medycyny, a więc penicylina. Aleksander Fleming odkrył bakteriobójcze działanie penicyliny jeszcze przed wybuchem II wojny światowej w 1928 roku, ale nikt poważnie tego jeszcze nie traktował i nie wykorzystywał. Dopiero w czasie II wojny światowej Amerykanie uruchomili masową produkcję tego lekarstwa, które uratowało setki, nawet tysiące żołnierzy amerykańskich czy w ogóle alianckich. Są to zatem pewne dobre strony, w cudzysłowie, wojny. Gdyby nie wojna, może kiedyś oczywiście też te wynalazki by się pojawiły. Ale znacznie później. Wojna wymuszała jednak przyspieszenie technologiczne.

Wydaje się, że im straszniejsza i dłużej trwająca wojna, tym większy jej wpływ na technologię, co nie brzmi jednak zbyt optymistycznie. I wojna światowa też niesamowicie przyspieszyła rozwój np. motoryzacji. Konstrukcje, które przed wojną

były bardzo prymitywne, w ciągu kilku lat walk zostały udoskonalone, nastąpił rozwój produkcji czołgów, rozwój produkcji samochodów. Po wojnie to już był zupełnie inny przemysł.

Rozwój lotnictwa, no owszem, bracia Wright dokonywali pierwszych przelotów przed I wojną światową, ale to właśnie zastosowanie lotnictwa w działaniach wojennych, a następnie udoskonalanie samolotów sprawiło, że okres międzywojenny był czasem gwałtownego rozwoju pasażerskich lotów. Również – jak Pan Profesor wspomniał – przemysł samochodowy zmienił swoje oblicze w okresie międzywojennym. A II wojna światowa, jeszcze okropniejsza, jeszcze straszniejsza, czego ludzie nie przewidywali, bo I wojnę światową nazywali Wielką Wojną. II wojna światowa okazała się jeszcze gorsza dla ludzi i z o wiele gorszymi skutkami, również w sensie gospodarczym, ale też bardzo ważnym aspektem są straty demograficzne, które każda wojna niesie ze sobą. Do tej pory właściwie nie wiemy, ile ludzi zginęło w czasie I wojny światowej, II wojny światowej. Podaje się szacunkowe dane między 40 a 50 milionów, ale tak naprawdę nikt tego dokładnie nie wie. My ponieśliśmy ogromne straty, zbliżające się do sześciu milionów istnień ludzkich. Ostatnie przeliczenia mówią, że poniżej sześciu milionów, ale i tak to są straszne liczby. Wojna to nie tylko straty w sensie zabitych żołnierzy, oficerów, giną też osoby cywilne, wiele osób zostaje kalekami, wiele osób cierpi, i to jest rozciągnięte w czasie na różnego rodzaju urazy. To także dramat przesiedleń. Ludzie są przemieszczani z miejsca na miejsce. Szacuje się, że po II wojnie światowej około 60 milionów ludzi zostało usuniętych ze swoich dotychczasowych miejsc przebywania. Dotyczy to ludności polskiej, dotyczy Niemców, także innych narodowości. Również dzisiaj jesteśmy świadkami tego, jak w toczących się wojnach ludzie migrują, ludzie uciekają, ludzie są zmuszani do zmiany miejsca zamieszkania. Mamy takie konflikty, o których mało co się dzisiaj mówi, zwłaszcza w obliczu wojny na Ukrainie czy wojny na Bliskim Wschodzie. Tych konfliktów lokalnych, ale również będących tragediami ludzi jest dużo więcej. Mamy wewnętrzny konflikt zbrojny w Sudanie, gdzie toczy się walka między różnymi grupami o opanowanie terenów roponośnych. Tam tysiące ludzi

jest wyganianych po prostu ze swoich dotychczasowych miejsc zamieszkania.

Tam trudno mówić o pozytywnych skutkach wojny.

Oczywiście, że tak. Popatrzmy na Syrię, już po prostu przyzwyczailiśmy się do tego, że kraj ten jest objęty wojną, właściwie już nie wiadomo, kto z kim tam walczy, słyszymy, że Izrael czasami bombarduje, ktoś tam bombarduje, ale nikt nie uświadamia sobie, że Syria przed wybuchem tego konfliktu wewnętrznego liczyła około 21 milionów mieszkańców, w tej chwili została tam połowa tej liczby, czyli państwo straciło połowę swoich obywateli, około 400 tysięcy ludzi zginęło. Takich przykładów na pewno jest dużo więcej. Odtworzenie tego zasobu po wojnie wymaga sporo czasu. Przemysł stosunkowo łatwo odbudować, aczkolwiek i tu mamy różnego rodzaju trudności, bo infrastruktura ulega zniszczeniu, odbudowa infrastruktury też rozciąga się w czasie, utrudnia reaktywację przedsiębiorstw. Powrót wskaźnika demograficznego do stanu sprzed wojny jest jednak z reguły o wiele trudniejszy i znacznie bardziej czasochłonny. Przykładowo Niemcy w czasie II wojny światowej straciły około 10% swoich mieszkańców, a powrót do stanu przedwojennego nastąpił dopiero na początku lat 50., więc przez cały ten czas Niemcy jeszcze borykały się z bardzo poważnymi problemami natury demograficznej, a pamiętajmy, że tak naprawdę każde takie zdarzenie wiąże się z tragedią ludzką.

Dzisiejsze wojny pewnie przynoszą takie same skutki, tylko są to wojny lokalne, wojny, o których czasami nawet nie słyszymy, ale widzimy ich konsekwencje w postaci chociażby setek tysięcy migrantów zmuszonych do opuszczenia swoich siedzib. To jest najbardziej widoczny symbol tych współczesnych wojen, oprócz tego, że możemy je oglądać w telewizji czy w Internecie. Natomiast na pewno nadal wojny przynoszą dramaty, przynoszą straty, a jakie korzyści można znaleźć dla takich wojen jak w Sudanie czy w Izraelu, to trudno sobie wyobrazić. Brak tutaj tego bezpośredniego przełożenia, jak na przykład Bretton Woods, jednak po II wojnie światowej udało się stworzyć nowoczesny system finansowy, który przez kilkadziesiąt lat zabezpieczał funkcjonowanie wymiany handlowej. Tę wymianę można było

poszerzyć i ułatwić, natomiast dzisiejsze wojny, często wojny lokalne, takich efektów pozytywnych nie pokazują.

No właśnie. Z jednej strony jest presja ludnościowa, to widzimy teraz w związku z wojną na Ukrainie. Zakłada się, że Rosja razem z Ukrainą produkuje mniej więcej 1/4 pszenicy w skali całego świata. Pamiętamy i doświadczamy też tego, jak wielkim problemem w związku z działaniami Rosjan stała się kwestia eksportu ukraińskiego zboża przez Morze Czarne. Nie wiem, czy została rozwiązana kwestia zaminowania tych szlaków handlowych przez Rosjan i sprawa tranzytu pszenicy, ale dlaczego o tym mówię? Dlatego, że mówiono nam, iż brak tej pszenicy w krajach azjatyckich, w Afryce może spowodować wzrost presji migracyjnej, z którą Europa sobie absolutnie w tej chwili nie radzi, a właśnie taka wojna, która toczy się daleko od kontynentu afrykańskiego, może sprawić, że presja migracyjna będzie jeszcze większa.

Jeszcze *a propos* innych wojen, II wojna światowa z pewnością przyczyniła się do wzrostu procesów integracyjnych Europy Zachodniej. To jest bardzo ważny pozytywny aspekt. Konflikt był niszczycielski dla wszystkich stron, bo i Francja poniosła znaczne straty, i Niemcy oczywiście, a jednocześnie kraje te zrozumiały, że takie wojny to jest wzajemne wyniszczanie się i że do niczego nie prowadzą, a drugi aspekt to relacje ze Stanami Zjednoczonymi. I wojna światowa, a jeszcze bardziej druga uczyniły Stany Zjednoczone mocarstwem, również w aspekcie gospodarczym. Europa zaś stała się ich zakładnikiem w sensie zależności kredytowej. Skutkiem tego polityka niektórych przywódców europejskich obrała kierunek na stworzenie silnej Europy, która by mogła się przeciwstawić polityce Stanów Zjednoczonych. Stąd te dążenia integracyjne, a więc powstanie Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali w 1951 roku, to był taki zaczyn, który doprowadził do utworzenia Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej w 1957 roku, a w końcu na mocy traktatu z Maastricht w 1992 roku do powstania Unii Europejskiej. Można zatem powiedzieć, że Unia Europejska jest długofalowym skutkiem tego wielkiego konfliktu.

Podsumowując, trzeba jednak na pewno podkreślić, że mimo że wojny przynoszą pewien postęp technologiczny, potrafią też dać nauczkę, bardzo kosztowną, bardzo brutalną. Historia

gospodarcza raczej pokazuje, że lepiej wojen unikać niż korzystać z ich pozytywnych niekiedy efektów.

Absolutnie tak, bo na pewno być może dłużej byśmy pracowali nad pewnymi pozytywnymi aspektami naszego życia, gdyby nie wojna, ale żadnej tragedii, która jest związana z jakąkolwiek wojną, nie da się niczym zrekompensować.

Dziękuję bardzo, Panie Profesorze. Naszym gościem był Professor Piotr Franaszek, historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dziękuję bardzo.

 Paweł Grata

 Andrzej Pieczewski

CO KIEDYŚ NAPĘDZAŁO I CO NAPĘDZA DZIŚ POLSKĄ GOSPODARKE?

PAWEŁ GRATA: Dzień dobry. Witam w kolejnej rozmowie z cyklu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy”. Realizujemy ją w ramach projektu pod tym samym tytułem finansowanego w programie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego Społeczna Odpowiedzialność Nauki. Naszym gościem jest Pan Profesor Andrzej Pieczewski z Uniwersytetu Łódzkiego, ekonomista, z którym będziemy rozmawiali o tym, co napędza, co napędzało, co będzie napędzać polską gospodarkę. To kolejna lekcja o tym, czego uczy nas historia gospodarcza. Panie Profesorze, jak by Pan w tej krótkiej rozmowie scharakteryzował czynniki, które stanowiły siły napędowe polskiej gospodarki na przestrzeni wieków i jak to wygląda dzisiaj?

ANDRZEJ PIECZEWSKI: Pan Profesor dał mi bardzo trudne zadanie, gdyż to, co napędzało i napędza polską gospodarkę, ma mnóstwo czynników – od typowo ekonomicznych, popytowo-podażowych, technologicznych, politycznych po militarne, klimatyczne nawet. To bardzo trudne zadanie. Z góry przepraszam, że pewnych rzeczy w tej krótkiej rozmowie nie będę w stanie ująć. Od razu zaznaczę też, że to pytanie jest równoznaczne z pytaniem, co hamowało polską gospodarkę, dlatego w swojej wypowiedzi

będę i hamulce, i akceleratory oczywiście wspominał. Nie chcę jakoś sięgać daleko, ale z takich megatrendów, których echa do dziś są wyczuwalne w kraju, to – może Państwa zdziwią – wiek X i chrzest Polski. Przyjęcie chrześcijaństwa z Zachodu, a nie ze Wschodu, nie z Grecji, nie ortodoksyjnego chrześcijaństwa, tylko w wersji zachodniej, ustawiło nas na pewnej ścieżce rozwoju na wieki, na stulecia. Wraz z przyjęciem chrześcijaństwa nastąpiła recepcja feudalizmu, zachodniego prawa, zwyczajów. Przez kolejne stulecia, tak gdzieś do XIII wieku, zanikały struktury plemienne, zastępowane nowocześniejszymi, wtedy feudalnymi. Kolejnym etapem wyróżniającym się w historii gospodarczej Polski był wiek XIV do XV, kiedy importujemy ludzi, kolonistów z Europy Zachodniej, z Saksonii, ale też z Niderlandów. Jest również import zachodnich instytucji, prawa. Dzięki temu Polska – można powiedzieć – na trwałe łączy się z kulturą zachodnią, z kulturą zachodniomaterialną, jej sposobami gospodarowania, pewnymi strukturami gospodarczymi, wtedy jeszcze feudalnymi oczywiście.

Ale na owe czasy nowoczesnymi.

Ale na owe czasy nowoczesnymi. Ten import ludzi i instytucji zachodnich miał swoje wymierne pozytywne skutki. Wspomnę oczywiście XIV wiek, Europa Zachodnia pogrążona w epidemii dżumy, pogromy Żydów, nasi królowie przyjmują społeczność żydowską, a wraz z nią nastąpił też import kapitału ludzkiego. Było to na tyle dobre na owe czasy, że w następnym stuleciu i w kolejnym Polska przeżywała rozkwit cywilizacyjny, stając się potęgą militarną, polityczną na krańcach cywilizacji zachodnioeuropejskiej. W wieku XIV i XV zaczynają się natomiast dziać już w polityce polskiej rzeczy, które diametralnie przestawiają tory rozwoju Polski. A mianowicie, jeżeli w poprzednich wiekach rozwijaliśmy się w takim samym kierunku jak Europa Zachodnia, to od wieku XV ten kierunek okazał się przeciwny. Zmiany zaczęły się w polityce, to właśnie świadczy o tym, jak polityka jest ważna dla gospodarki. Nasz król Ludwik Węgierski, a byliśmy wtedy monarchią dziedziczną, nie posiadał potomka męskiego i poprosił szlachtę, aby jego córka dziedziczyła tron. Szlachta się zgodziła w zamian za przywileje, wtedy król ogłosił słynny przywilej koszycki, zwalniający szlachtę z dużej części

podatków. Następnie córkę Jadwigę poślubił Jagiełło, ksiązę, stając się królem polskim, i obdarował szlachtę kolejnymi przywilejami. Szlachta rosła w polityczną siłę. Wkrótce Polska stała się monarchią elekcyjną i szlachta już sama wybierała królów. Zmonopolizowała w ten sposób władzę, podporządkowując sobie wszystkie inne warstwy społeczne, szczególnie chłopów, ale też mieszczan, miasta straciły niezależność. Szlachta zaczyna też zmiany na wsi, zwiększa pańszczyznę, ogranicza wolność chłopów. Przypominam, mamy wówczas wiek XVI, rośnie zapotrzebowanie na polskie zboże. Na Zachodzie przybiera na sile tzw. impuls popytowy – szlachta eksportuje zboże, bogaci się, wykorzystuje tanią, powiem, niewolniczą niemalże siłę roboczą w postaci chłopów. I dzieje się coś takiego, że Zachód idzie już w kierunku defeudalizacji, gospodarki towarowo-pieniężnej, kapitalizmu handlowego, natomiast wschód Europy i Rzeczpospolita obiera kurs na refeudalizację, pogłębienie stosunków feudalnych. Pieniądz nie ma takiego znaczenia w obiegu jak na Zachodzie, prowadzona jest gospodarka naturalna. Te zjawiska ustawiły Polskę na tory pozornego rozwoju, a w zasadzie już pewnego schyłku gospodarczego i, na koniec, w wieku XVIII, politycznego w postaci rozbiorów. W czasie, gdy na naszych terenach panowali zaborcy, do Europy wkracza nowoczesność.

Tylko pytanie, gdzie?

Generalnie w przestrzeni publicznej panuje pogląd, że nasze zapóźnienie wynika z tego, że byliśmy pod zaborami i to zaborcy wstrzymywali postęp. Jest to dyskusyjne, gdyż polska szlachta, czyli politycznie panująca warstwa, była bardzo konserwatywna i nie chciała zrezygnować ze swoich przywilejów. Wreszcie w XIX wieku mamy wolność osobistą chłopów i uwłaszczenie chłopów, czyli nadanie ziemi prawowitym właścicielom, i mamy początki kapitalizmu. Muszę dodać, że jeżeli chodzi o Europę, to ziemie polskie były jednymi z ostatnich, na których dokonano uwłaszczenia. Do świata kapitalistycznego weszliśmy także jako jedni z ostatnich.

Ale mamy przykład pana rodzinnej Łodzi.

Tak, tak. Oczywiście również podczas zaborów rozwijał się przemysł, i to dość prężnie. Każdy zabór miał swoją specyfikę. W za-

borze pruskim należy wyróżnić oczywiście przemysł śląski – wydobywczy i hutniczy, w Poznaniu – przemysł maszynowy. Jak Pan wspominał, istotny był też rozwój Łodzi, wielkiego miasta fabrycznego, czy okręgu łódzkiego z miastami satelickimi. To był wielki okręg przemysłowy włókienniczy, który stał się największym ośrodkiem produkcji włókienniczej na ziemiach carskiego imperium. Motorem napędzającym postęp w XIX wieku były zatem z pewnością zmiany instytucjonalne: uwłaszczenie chłopów, danie wolności, no i początki kapitalizmu. Dekonstrukcja ustroju feudalnego, to był największy impuls, plus jeszcze oczywiście otwarcie przez pewien czas wielkiego rynku rosyjskiego w zaborze rosyjskim. Każda z naszych dzielnic zaborczych miała dostęp do większego rynku zaborcy.

Na początku XX wieku Polska odzyskuje niepodległość. Wreszcie nie możemy narzekać, że nas zaborcy hamują. Ale... Jest wiele „ale”.

Tak. Ocena II RP jest bardzo trudna, gdyż udało się państwo stworzyć od początku, scalić, ujednoczyć prawo, walutę, na pewno wielki szacunek dla tego ogromnego wysiłku. Okres dwudziestolecia międzywojennego był trudny. Sam początek to jest wojna polsko-bolszewicka.

Straty z I wojny światowej.

Tak, ogromne.

Demontaże, rabunki.

Tak, nie mieliśmy szczęścia. W I wojnie światowej główny front wschodni przechodził przez nasze ziemie, niosąc ogromne straty, zaraz po uzyskaniu niepodległości wybuchła wojna polsko-bolszewicka, następnie powstania śląskie, potem wielka inflacja. Kilka lat spokoju i przyszedł Wielki Kryzys, największa katastrofa gospodarki kapitalistycznej w dziejach, który dotknął bardzo nasz kraj. Jeżeli chodzi o hamulce, uważam, że niedokonanie w pełni reformy rolnej wstrzymywało nasz kraj w rozwoju, gdyż byliśmy krajem rolniczym. Ponad 70% ludzi mieszkało na wsi, żyło z rolnic-

stwa. Rolnictwo było głównym kontrybutorem dochodu narodowego, wypracowując ponad 50% jego wartości. Wieś polska była przeludniona, biedna, panowało bezrobocie, szacuje się, że 4 miliony osób było bezrobotnych na wsi. A obok leżała odłogiem ziemia majątków, byłych majątków szlacheckich. Co się stało? No niestety przewrót majowy, który ograniczył demokrację w Polsce, w 1926 sprawił, że lobby ziemiańskie było na tyle silne politycznie, że zdołało wstrzymać reformy agrarne, reformę rolną. Przez to wieś polska nadal tkwiła w uśpieniu. Niewątpliwie do sukcesów należy to, co nakręcało gospodarkę, czyli budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego, takie typowe keynesowskie inwestycje antykrzysowe. Budowa Gdyni, to wszyscy znamy. I tutaj znowu polityka zaważyła na tym, jak potoczyły się losy gospodarcze naszego kraju. II wojna światowa, ogromne straty w kapitale ludzkim, ogromne straty w kapitale materialnym i zaraz po wojnie wychodzimy ze zmienionymi granicami i Sowietci fundują nam eksperyment polityczno-gospodarczy i społeczny w postaci realnego socjalizmu. Co nakręcało gospodarkę, a co hamowało w okresie PRL-u? PRL był tworem dziwnym, na modłę idei Marksa, a w zasadzie praktyki Lenina i Stalina. Stworzono całkowicie inny ustrój niż gospodarka rynkowa. Początkowo ten system wprowadził reformę rolną, dokonał tego, czego nie dokonano w międzywojniu, a mianowicie zlikwidował analfabetyzm w Polsce. Natomiast model sowiecki na krótką metę tylko sprawił, że gospodarka się rozwijała. W zasadzie mówimy o pierwszych kilku latach po wojnie czy pierwszej dekadzie z grubsza, choć to też jest na wyrost. Potem niestety prowadził do stagnacji, był nieefektywny, popełniał wszystkie grzechy socjalistycznej gospodarki: pracochłonność, energochłonność. W gospodarce rynkowej, kapitalistycznej mamy niewidzialną rękę rynku, która świetnie dopasowuje popyt do podaży...

Łączy zasoby ze sobą, przedsiębiorców, kapitał i tak dalej.

W socjalizmie zaś mieliśmy niewidzialną rękę socjalizmu, która potrafiła wszystko zniszczyć. Ten okres – mimo początkowego rozwoju i sukcesów w walce z analfabetyzmem – oceniany jest przez historyków gospodarczych jako czas, który nie pchnął Polski do przodu. To

było widać po transformacji systemowej, kiedy nasz przemysł, który wyszedł z socjalistycznego inkubatora, okazał się mocno przestarzały w porównaniu do tego, co działo się już na świecie.

Przychodzi transformacja – powrót do wolnego rynku i znowu, co hamuje, a co wspiera? Czy znowu przejdziemy do instytucji?

Tak, niewątpliwie. I nie dlatego, że zajmuję się ekonomią instytucjonalną. Polska w drugiej połowie XX wieku przeszła dwie radykalne transformacje systemowe – przewrócenie wszystkiego do góry nogami. Tak jak komunizm zlikwidował rynek i wprowadził socjalistyczne porządki, tak transformacja lat 90. bardzo szybko obaliła porządki socjalistyczne i przywróciła w Polsce kulturowo nam bliższy kapitalizm, ustroj oparty na własności prywatnej i na wolności osobistej. Recepcja komunizmu w Polsce nie szła za dobrze, nawet Józef Stalin rzekł, że nauczyć Polaków komunizmu to jak osiodłać krowę. Bardzo ciężko. Druga transformacja – w kierunku rynku, wolności, demokratycznego ustroju politycznego też była bardzo bolesna. Autorem – jak wiemy – był profesor Leszek Balcerowicz, a sama transformacja ze względu na szybkość i radykalizm wprowadzenia została nazwana terapią szokową. Po szoku transformacyjnym i kryzysie transformacyjnym nasze wskaźniki produkcji, wzrostu PKB szły już tylko w górę i obecnie mówimy o cudzie gospodarczym naszego kraju, dla którego nie znajduję precedensu w dawnej czy w bliższej historii Polski. W krótkim czasie, 30 lat, zdołaliśmy bardzo zbliżyć się do krajów zachodnich, jeżeli chodzi o poziom dochodu, nowoczesność.

Zaryzykuję tezę, że ta obecna sytuacja – oczywiście z uwzględnieniem wszystkich różnic, też wynikających z chronologii – jest bardzo podobna do tego, o czym Pan mówił wcześniej. Ten XIV–XV wiek, kiedy Polska przyjmowała nowoczesny zachodni feudalizm i nadrabiała zapóźnienia, bo jest dżuma, jest kryzys XIV wieku. Dziś trochę jak wówczas znowu są czynniki, które nas wspierają, i znowu jesteśmy po tej zachodniej stronie cywilizacji. Wschodnie zwyczaje zostały po raz kolejny odrzucone, wschodnie instytucje. I do tego dochodzi jeszcze kolejny czynnik – integracja europejska.

Tak, oczywiście. Pan Profesor świetną analogię zauważył do XIV wieku. Nie byłoby takiego sukcesu bez integracji Polski z Unią Europejską. W okresie transformacji – trzeba to podkreślić – społeczeństwo polskie, jak i politycy wszystkich opcji byli zgodni co do jednego. Idziemy na Zachód, integrujemy się z Zachodem, musimy wejść do NATO, musimy wejść do struktury europejskiej. To pozwoliło nam dość zgodnie działać w tym kierunku. Jak wiadomo, gdzie pięciu Polaków, tam sześć zdań, ale w tym wypadku akurat gdzie pięciu Polaków, zdanie było jedno, kierunek jest na Zachód. Proces akcesyjny do Unii nie tylko oczywiście dał nam pewne fundusze na modernizację, ale wymusił też na naszym kraju import nowoczesnych instytucji z Unii Europejskiej, nowoczesnego prawa na każdym poziomie. To sprawiło, że nasz kraj cały czas się modernizował i cały czas się modernizuje. Po wejściu do Unii oczywiście otrzymaliśmy dostęp do ogromnych funduszy, do Funduszu Spójności, z którego korzystaliśmy w pełni. Pozwoliło to na modernizację infrastruktury w niemal każdej dziedzinie życia. Wkroczyliśmy na wielki rynek Unii Europejskiej, nasza wiarygodność jako kraju na arenie międzynarodowej zdecydowanie wzrosła. Przyciągnęło to inwestycje korporacji międzynarodowych, nośników nowoczesnej organizacji, technologii i dzięki temu nasz kraj przez te 30 lat modernizuje się i osiąga ogromne sukcesy. Można powiedzieć, doganiamy ten rdzeń najbogatszych krajów Europy. Oczywiście to jeszcze potrwa, ale i tak już skok jest niesamowity i mówi się o naszym kraju jako o liderze gospodarczego rozwoju w regionie.

Brzmi to bardzo optymistycznie, ale czy rzeczywiście nie ma żadnych hamulców, żadnych czynników, które mogłyby zakłócić ten proces?

Oczywiście, że są. Generalnie to bardzo dobrze, że znaleźliśmy się po tej stronie, no nie chcę powiedzieć muru, ale obecna sytuacja geopolityczna chyba uprawnia mnie do takiego stwierdzenia. Znaleźliśmy się wśród krajów cywilizacyjnie nam bliższych, wśród krajów, które stanowią jedno z centrów cywilizacyjnych świata. Są hamulce, zagrożenia, jak działalność Moskwy, są też wewnętrzne, czysto ekonomiczne czy demograficzne. Nasze społeczeństwo się

starzeje, braki w sile roboczej będą musiały być w jakiś sposób uzupełniane. Jakość usług publicznych w Polsce ma niski poziom w porównaniu do krajów Zachodu, więc jest dużo do zrobienia. Znowu podkreślę wagę polityki. O ile o gospodarce polskiej mówimy jako o wielkim sukcesie, o tyle polska polityka czy polska demokracja jest w rankingach instytucjonalnych określana jako wadliwa. Świat polskiej polityki jest jeszcze nie takiej jakości, jak powinien być.

Czy można postawić tezę, że sukces gospodarczy, sukces transformacyjny odbył się pomimo tego, że ten świat polityki jest taki, jaki jest?

Generalnie punktem wyjścia moich rozważań jest dojrzała zachodnia demokracja. Do tego nam daleko. Natomiast poziom, na jakim jesteśmy, też nie jest zły, nie jest tragiczny. Absolutnie. Kultura polityczna naszego świata, polityków, ale i obywateli polskich nie jest jednak tak wysoka. Nie jesteśmy jeszcze społeczeństwem obywatelskim na wysokim poziomie. Mnóstwo Polaków nie głosuje, mnóstwo Polaków uważa, że i tak ktoś za nich decyduje. Są to nawyki z poprzedniego systemu albo i z poprzednich epok nawet. To nie jest zachowanie godne obywatela. Interesujemy się polityką, na pewno głosujemy, jeśli będą wybory, wyrażamy swoje uczucia, niezadowolenie. Twórzmy społeczeństwo obywatelskie. To na pewno w długim okresie dobrze wpłynie na gospodarkę. Znamienne, że ostatni Nobel z ekonomii został przyznany trzem profesorom ze Stanów Zjednoczonych, którzy badali właśnie wpływ świata polityki na długookresowy rozwój gospodarczy.

Można zatem podsumować, że ten potencjał jest duży, bo sukces już został osiągnięty, a jeszcze mamy duże rezerwy w sferze instytucji. Jeżeli te rezerwy zostaną wykorzystane – chociaż widać, że jednak łatwiej zmienić gospodarkę niż mentalność ludzką – to rzeczywiście czynniki napędzające będą coraz silniejsze. Możemy tak podsumować?

Oczywiście, dodam jeszcze tylko, że im dłużej będziemy w tym zachodnim kręgu, czyli w Unii Europejskiej, tym będziemy się

głębiej modernizować – nie tylko w takich twardych, że tak powiem, aspektach: ekonomicznych, politycznych, ale też w sferze mentalności. Będziemy się bardziej westernizować. Widać to po najmłodszym pokoleniu, że te 30 lat wolności, samodzielności, demokracji zrobiły dobrze.

To kolejne czynniki, które będą napędzać polską gospodarkę.

 Paweł Grata

 Andrzej Pieczewski

MONOPOLE W GOSPODARCE

PAWEŁ GRATA: Dzień dobry, witam w kolejnej rozmowie z cyklu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy”, będącej efektem realizacji projektu finansowanego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach programu Społeczna Odpowiedzialność Nauki. Projekt realizuje Zakład Historii Gospodarczej i Społecznej Instytutu Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego. Naszym gościem jest Pan Profesor Andrzej Pieczewski reprezentujący Uniwersytet Łódzki. Będziemy rozmawiali o monopolach w gospodarce. Zgodnie z założeniami naszego projektu i naszych rozmów chcemy przedstawiać różne ważne procesy i zjawiska w gospodarce z perspektywy historii, z perspektywy doświadczeń historii gospodarczej, ale równocześnie pokazywać, jak te doświadczenia wpływają na współczesną nam rzeczywistość gospodarczą i jak mogą wpływać na przyszłość. Z Panem Profesorem będziemy rozmawiali o monopolach, czyli o zjawisku, które jest dosyć dziwne w gospodarce rynkowej, bo powstało w gospodarce liberalnej, a równocześnie wolnemu rynkowi szkodzi. Czym jest monopol, Panie Profesorze?

ANDRZEJ PIECZEWSKI: Najprościej ujmując, monopol jest to sytuacja, w której na rynku mamy jednego dostawcę. To jest taka modelowa definicja. W praktyce o monopolu mówimy, jeśli jakieś przedsiębiorstwo posiada większość rynku. Z monopolem związane są dwa pojęcia – barier wejścia i różnicowania produktów. Bariery wejścia to są wszystkie czynniki, które utrudniają wejście do

danej branży konkurencji dominującego przedsiębiorstwa. Dzieje się tak dlatego, że produkty są niejednorodne, zróżnicowane, no i wówczas przedsiębiorstwo je produkujące ma większe szanse kształtowania cen. Może od razu przeciwstawię temu pojęciu monopolu pojęcie konkurencji. W zasadzie w teorii ekonomii mamy pojęcie doskonałej konkurencji. Jest to oczywiście wyidealizowana sytuacja, kiedy na rynku mamy nieskończoną ilość dostawców, producentów i nieskończoną ilość odbiorców, konsumentów. Cenę ustala wówczas rynek, nie ma marek, produkty nie wyróżniają się, są jednorodne. W takich warunkach cena jest wynikiem gry popytu i podaży, zatem żadna ze stron – ani producenci, ani konsumenci – nie ma możliwości jej regulacji, narzucania etc. To jest oczywiście sytuacja modelowa, rzeczywistość jest troszkę inna, producentów nie jest nieskończona liczba, mamy marki różnych produktów, no i oczywiście mamy sytuację, a współczesny rynek jest tego przykładem, kiedy w wielu, wielu branżach dominują pewni producenci.

Kiedy monopole – w tym rozumieniu oczywiście – pojawiły się w gospodarce?

Tak, ponieważ możemy sięgać do średniowiecza i powiedzieć, że na przykład gildie kupieckie czy cechy rzemieślnicze w miastach były takimi monopolami ustalającymi cenę. Natomiast jeżeli chodzi o gospodarkę współczesną, bardziej kapitalistyczną, monopole pojawiły się w ostatnim ćwierćwieczu XIX wieku. Do tego czasu istniała gospodarka wolnokonkurencyjna, w której działało bardzo wielu producentów i – tak jak Pan Profesor zauważył – paradoksalnie w łonie tego wolnego rynku pewne procesy doprowadziły do powstania w określonych branżach liderów, którzy dominowali na danym rynku i zaczęli tym rynkiem sterować. Mam na myśli po prostu narzucanie ceny. Może dopowiem, że w sytuacji wolnej konkurencji przedsiębiorstwo, jak i konsument są cenobiorcą. Cena jest nadana przez grę popytu i podaży. W sytuacji zmonopolizowania rynku to przedsiębiorstwo dyktuje cenę, jest cenodawcą. No i wtedy oczywiście może więcej. Zwykle cenę podnosi, produkcję obniża – jest to w tej sytuacji naturalna praktyka – i uzyskuje tak zwane zyski monopolisty. Tracą na tym konsumenci, czyli my, ponieważ płacimy o wiele więcej za produkt niż w sytuacji, gdyby

branża, z której on pochodzi, działała na rynku konkurencyjnym, bez liderów, bez dominujących przedsiębiorstw.

Powiedział Pan, że monopole się pojawiły w końcu XIX wieku. W jaki sposób? Jak do tego doszło?

Już wyjaśniam. Posłużę się takim przykładem. Wyobraźcie sobie Państwo kraj wielkości Polski. Mamy, założmy, 100 producentów butów. Jest XIX wiek. Małe, średnie fabryczki. Cena jest wówczas dana przez rynek. Przedsiębiorstwa konkurują ze sobą, konkurują cenowo. Jest presja na obniżkę kosztów, żeby obniżyć cenę, żeby pozyskać klientów. Jest to mordercza walka na rynku. W trakcie tego procesu niektóre przedsiębiorstwa upadają, silniejsze je przejmują i stają się coraz większe i większe. Mija 30 lat i mamy ten sam kraj w końcówce XIX wieku, na rynku działa pięciu producentów butów, dalej walczą, prowadzą wojny cenowe ze sobą, aż w końcu wpadają na genialny pomysł, że lepiej się, mówiąc kolokwialnie, dogadać. I mamy do czynienia z pierwszymi porozumieniami cenowymi. Takim porozumieniem podstawowym jest kartel, gdzie ustalano najniższą cenę sprzedaży, czyli już tę cenę narzucano konsumentowi, rynkowi...

I dodamy, że uczestnicy... deklarują sobie nawzajem, że taniej butów sprzedawać nie będą.

Tak, to jest podstawa tej zmowy cenowej, że poniżej tej ceny żaden z producentów nie zejdzie. Jeśli współpraca się dobrze układała, nikt z kartelu nie wychodził, kartel działał, przynosił wszystkim – mam na myśli producentów, nie konsumentów – zyski. Monopolizacja szła dalej, a mianowicie zakładano syndykat, czyli już wspólne biuro sprzedaży, podział rynków, nawet kapitałowo te przedsiębiorstwa wymieniały się, nawzajem kupowały udziały, stając się powoli jednym przedsiębiorstwem. Następnie mamy trusty, tu już przedsiębiorstwa są w ściślejszym związku, dalej holdingi, gdzie już jest jeden właściciel.

Wspólny właściciel dla wszystkich przedsiębiorstw.

No i na końcu mamy koncern, gdzie już jest to na pewno jedno wielkie przedsiębiorstwo, jeden właściciel, mimo że poszczególne firmy mogą mieć odrębną osobowość prawną.

Mogą się inaczej nazywać, ale...

Tak. I ten proces właśnie – paradoksalnie, nie myślę tu pojęć, rynkowy, czyli walki konkurencyjnej, która sprawia, że wygrywają najsilniejsi i najsilniejsi rosną w siłę – doprowadził w ostatnim ćwierćwieczu XIX wieku do tego, że kapitalizm wolnokonkurencyjny płynnie przeszedł w kapitalizm monopolistyczny.

Gdzie ten proces rozwijał się na największą skalę? Na jakich terenach?

Rozwijał się oczywiście tam gdzie rozwijał się kapitalizm, czyli w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wymownym i znanym przykładem jest przedsiębiorstwo Davida Rockefellera, czyli Standard Oil Company, przedsiębiorstwo wydobywające ropę naftową i handlujące nią. Rockefeller stopniowo wykupywał takie podobne przedsiębiorstwa, aż doszedł do tego, że władał ponad 90% rynku ropy w Stanach Zjednoczonych.

Proces monopolizacji, który trwa przez kilkadziesiąt lat, rzeczywiście zaczyna zagrażać wolnemu rynkowi. Łatwo sobie wyobrazić, że jeżeli tych monopolii i karteli będzie coraz więcej – tutaj można by wspomnieć o zjednoczonych Niemczech będących państwem karteli, które monopolizują coraz więcej rynków zbytu – to może to doprowadzić do całkowitej likwidacji rynku.

Tak. I ten proces został dostrzeżony nie tylko przez konsumentów, którzy musieli płacić więcej za produkty. Zauważyli to ekonomiści i już od końca XIX wieku wprowadzano prawo antymonopolowe. Państwo czuło potrzebę ingerowania w to, co robią te ogromne przedsiębiorstwa, kontrolowania ich działalności i cen ich produktów, czy nazbyt nie łupią klientów, kontrolowania połączeń przedsiębiorstw, żeby nie było gigantów, bo one naprawdę mają ogrom-

na siłę ekonomiczną i przez to wpływają na politykę. Tak jak Pan Profesor wspominał, w Niemczech właśnie w czasie, gdy dochodził do władzy Hitler, związki władzy, polityki i biznesu, tego wielkiego – monopolistycznego, były ściśle. Dlatego od końca XIX wieku najpierw w Stanach Zjednoczonych, potem w innych krajach zachodnich wprowadzano tak zwane prawo antymonopolowe. aby te praktyki monopolistyczne ukrócić oraz chronić konsumentów i wolny rynek. Wszak wiemy wszyscy, że wolny rynek ma niezwykle dobre właściwości dla gospodarki. Pierwsze prawo antymonopolowe, czyli tzw. ustawę Shermana z 1890 roku, uchwały oczywiście Stany Zjednoczone. Obecnie w każdym zachodnim kraju jest pakiet ustaw antymonopolowych. W Polsce obecnie obowiązuje ustawa z 2007 roku o ochronie konkurencji i konsumentów, działa urząd antymonopolowy – Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów (UOKiK).

Dzisiejszy stan prawny jest pod tym względem dość stabilny, ponieważ mamy też uregulowania europejskie, przepisy krajowe muszą być z nimi spójne. Natomiast zadam takie pytanie, czy ustawa Shermana i inne akty ustawodawcze końca XIX, początku XX wieku były skuteczne?

Na pewno nie przywróciły wolnej konkurencji z połowy XIX wieku. Do tego już nie było powrotu i prawdopodobnie nie będzie. Obecnie rynki są bardzo zmonopolizowane, a mówiąc ściślej, zoligopolizowane, gdyż z czystym monopolem jednak mamy rzadko do czynienia. Natomiast bardzo często mamy do czynienia z sytuacją, kiedy daną branżę, dany rynek opanowuje kilka przedsiębiorstw, i zdarza się to niemal w każdym obszarze rynku.

Ten proces zaczął się dawno temu, na przełomie XIX i XX wieku, kiedy wielkie koncerny dzieliły między siebie nawet rynki światowe.

Oczywiście, oczywiście. Mówiłem o wadach monopoli z punktu widzenia konsumenta, czyli płacimy więcej za te produkty. Natomiast mają monopole jedną zaletę. Z uwagi na ogromną koncentrację kapitału to w nich właśnie odbywa się obecnie postęp techno-

logiczny. Czyli technologia, wysoka technologia wiąże się i będzie prawdopodobnie się wiązać właśnie z dużym kapitałem, z oligopolistycznymi rynkami, wielkimi przedsiębiorstwami.

Ponieważ badania naukowe wymagają wielkich nakładów.

Tak.

I znowu wracamy do XIX-wiecznych Niemiec, gdzie wielkie ówczesne koncerny czy kartele tworzyły wielki laboratoria. Niemcy są miejscem, gdzie zaczęły się poważne badania naukowe na styku biznesu, polityki i nauki. B +R to wynalazek niemiecki i wynalazek monopoli.

Powiem tak, spontaniczny – amerykański, a taki trochę pod kontrolą – niemiecki, jak to tradycja niemiecka nakazywała i nakazuje.

W XX wieku oprócz monopoli prywatnych w pewnych okresach dużą rolę odgrywają monopole państwowe. Skąd się to wzięło? Nadal mamy gospodarkę rynkową.

Oczywiście. Jeżeli chodzi o rodzaje monopoli, to skupiliśmy się na tych powstających naturalnie w łonie gospodarki rynkowej, ale są też monopole naturalne, na przykład wodociągi w mieście. To takie obszary, gdzie naturalnie jest dla wszystkich lepiej, gdy jedno przedsiębiorstwo obsługuje daną branżę, daną usługę. Są monopole państwowe, jak Pan wspominał. W tym wypadku państwo z jakichś powodów – albo dla zapewnienia sobie dochodów skarbowych, albo dla kontroli strategicznych dziedzin gospodarki – postanawia zmonopolizować wybraną dziedzinę poprzez nacjonalizację przedsiębiorstw dla jej pełnej kontroli, zarządzania nimi, lub też po prostu dając monopol jakimś przedsiębiorstwom na określoną produkcję czy usługi. Tu świetnym przykładem jest międzywojenna Polska, w której Skarb Państwa, żeby zagwarantować sobie pewne dochody, już w 1919 roku ustalił monopol spirytusowy, potem monopol tytoniowy, loteryjny, zapalczany, dużo było tych monopoli.

Monopol solny również. I tutaj jeszcze warto wspomnieć, że zaangażowanie państwa w monopolizację rynku było po części efektem gospodarki wojennej, bo mamy I wojnę światową,

kiedy państwo starało się koncentrować działania na celach związanych z prowadzeniem wojny, i mamy II wojnę światową, kiedy wyglądało to bardzo podobnie. Przykład jeszcze innego monopolu państwa – gospodarka realnego socjalizmu. Tutaj też monopol stał się czymś jakby naturalnym.

Tak, tak. Tutaj monopol na zarządzanie gospodarką przejęło państwo. Państwo socjalistyczne, działając zgodnie z doktryną marksistowską, która uważała rynek za wielkie zło, całkowicie wyeliminowało czy próbowało wyeliminować ten rynek i ustanowić monopol na zarządzanie gospodarką poprzez centralne planowanie, poprzez regulacje cen i płac. Znacjonalizowano w tym celu przemysł, czyli państwo stało się właścicielem środków produkcji, na szczęście nie udało się skolektywizować rolnictwa, ale tylko w Polsce, byliśmy wyjątkowym krajem.

I to też interesujące, ponieważ z jednej strony odrzucano rynek, a z drugiej strony państwo tworzyło monopole w zasadzie takie same jak na rynku.

To jest zadziwiające. Nawet jeszcze cofnę się, jeśli chodzi o socjalizm, do Związku Sowieckiego, przecież przedsiębiorstwa sowieckie, które budował Lenin, a potem Stalin, kopiowały masową produkcję amerykańską, czyli te wielkie kombinaty socjalistyczne wzorowano właśnie na amerykańskich korporacjach, dążąc do koncentracji produkcji, mechanizacji, automatyzacji, budowania linii montażowych.

Ale też bariera wejścia na rynek. Nikt na tym rynku nie mógł się pojawić, bo państwo decydowało o tym, co będziemy produkować, gdzie będziemy produkować i jaki będzie podział rynku.

I dla kogo, tak.

I dla kogo, czyli to pełna monopolizacja. Ale wróćmy do gospodarki rynkowej, która jest nam bliższa i w której żyjemy. Zasygnalizował Pan różnice między monopolem XIX-wiecznym czy z początku wieku XX a monopolem współczesnym. Może rozwińmy ten temat. Jak te współczesne monopole

funkcjonują, zważywszy, że napotykają ograniczenia w postaci ustawodawstwa antymonopolowego?

Przede wszystkim te dziewiętnastowieczne monopole uczyły się jeszcze. Obecnie jesteśmy na etapie dojrzałej gospodarki oligopolistycznej. Koncentracja kapitału w tych przedsiębiorstwach jest jeszcze większa niż w XIX wieku. Może nawet sobie nie zdajemy sprawy, ale naprawdę w różnych dziedzinach, branżach mamy różne firmy o różnej osobowości prawnej. Konsumentowi może się wydawać, że to konkurencja, a czasami one należą do jednego właściciela, czyli konkurencja jest pozorna. Przykład z naszego kraju – ponad 90% rynku takiego napoju jak piwo należy do trzech koncernów. To samo jest na innych rynkach spożywczych, nie wspominam o rynkach zaawansowanej elektroniki. To są bardzo zoligopolizowane rynki. Na przykład w produkcji procesorów w zasadzie liczą się dwie, trzy firmy. Procesory produkuje Intel, AMD. To jest większość rynku na świecie. Procesory do małych urządzeń, czyli do naszych smartfonów, to Samsung. Samochody. Mamy mnóstwo marek, a koncernów kilka. Koncentracja produkcji, oligopolizacja rynku jest ogromna.

Warto też wspomnieć, że często jest to długotrwały proces, bo o ile procesory to może krótsza historia, o tyle rynek samochodowy to m.in. słynny niemiecki koncern, który ma wiele różnych marek narodowych, że tak powiem, ale one istnieją też już bardzo długo. I tutaj pojawia się pytanie: co dalej? Bo mimo tego, że mamy regulacje, mimo tego, że jeżeli Orlen przyjmuje PGNiG, to musi być zgoda odpowiednich instancji krajowych i europejskich, ale i tak je przyjmuje – no ewentualnie sprzeda kilkaset stacji komuś innemu – to jednak ten proces postępuje. Coraz głośniej mówi się o tym, że wielkie koncerny, wielkie oligopole są potężniejsze niż niektóre państwa.

Tak.

Mają niezwykle wpływy polityczne. Co będzie dalej, Panie Profesorze?

Poruszył Pan bardzo istotną kwestię siły politycznej, dosłownie – politycznej, koncernów, możliwości ich wpływu na politykę dzięki oczywiście ogromnym pieniądzom, ogromnemu kapitałowi, jaki posiadają. Nie chcę tu snuć predykcji, powiem tak, rozwój jest obecnie oczywiście związany z wysokimi technologiami. Te z kolei są skorelowane z ogromnym kapitałem, więc tu chyba nie unikniemy koncentracji produkcji, koncentracji kapitału. Ważne będą właśnie te regulacje prawne, aby po prostu jakoś okiełznać ich siłę, nie tylko ekonomiczną, ale wpływ na świat polityki.

Bo trochę to może wyglądać tak, że te regulacje, instytucje kontrolne, antymonopolowe tak naprawdę tylko pudrują rzeczywistość. Natomiast ich realny wpływ na to, co się dzieje, jest niewielki.

Tak, na pewno ciężko się będzie przeciwstawić temu zjawisku. Tu są oczywiście potrzebne regulacje, najpierw sprawdzone w najbardziej zaawansowanych cywilizacyjnie krajach, natomiast na pewno nie cofniemy się do tego idyllicznego kapitalizmu, typowo wolno-konkurencyjnego z XIX wieku.

W którym to konsument decydował, kupując bądź też nie jakieś produkty. O mediach mówimy czwarta władza. Czy monopole to piąta władza?

Myślę, że nie głośno o tej władzy, ale ma istotny wpływ na to, co się dzieje na świecie.

Zwłaszcza, że również w świecie mediów ta koncentracja jest bardzo duża. W ten sposób, analizując powstawanie i dalsze losy monopoli, dochodzimy do dosyć pesymistycznych wniosków, Panie Profesorze. Czy może inaczej Pan to ocenia?

Pozwolę sobie nie oceniać. No po prostu... Po prostu jest, jak jest. Rządy muszą i my, konsumenci, musimy monitorować sytuację, bo z jednej strony oczywiście rynki oligopolistyczne nie są korzystne dla konsumentów, a z drugiej, tak jak powiedziałem tu już chyba dwukrotnie, postęp technologiczny odbywa się właśnie w ramach

tych wielkich korporacji. One mają pieniądze na badania i rozwój. Bez nich ten postęp nie byłby taki, jaki jest teraz.

Czyli podsumowując, można powiedzieć, że ceną postępu, ceną tego, że żyje nam się coraz lepiej, że żyjemy coraz nowocześniej, mamy dostęp do coraz bardziej wyrafinowanych technologii, jest dalsza monopolizacja.

Tak. Jeszcze w dobie cyfryzacji, w dobie Internetu, w dobie big data i sztucznej inteligencji te obszary monopoli mogą przenieść się nawet, że tak powiem, w sferę sieci internetowej. Zresztą mamy już taką sytuację. Facebook, Instagram, etc. Platformy, z których korzystają setki milionów ludzi na całym świecie, są w stanie zebrać mnóstwo danych o użytkownikach. To z kolei pozwala na pewne predykcje zachowań konsumenckich. Tak że coraz bardziej przestajemy jako konsumenci wybierać.

Jesteśmy kierowani?

Może aż takich teorii spiskowych bym tu nie snuł. Ale oczywiście te wielkie korporacje mają wpływ na kreowanie naszych gustów czy potrzeb.

Później sami już nie wiemy, czy to nasze decyzje, czy zasugerowane. Dziękuję, Panie Profesorze, za rozmowę o monopolach.

 Paweł Grata

 Sławomir Kamosiński

CZYM JEST MARKA W GOSPODARCE I JAKĄ W NIEJ PEŁNI ROLĘ?

PAWEŁ GRATA: Dzień dobry, witam w kolejnym podcaście z cyklu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy”. Jest to podcast realizowany w ramach projektu Ministerstwa Edukacji i Nauki w programie Społeczna Odpowiedzialność Nauki, którego autorem i kierownikiem jest dr Jarosław Kinal z Uniwersytetu Rzeszowskiego. Moim gościem jest prof. dr hab. Sławomir Kamosiński, kierownik Katedry Ekonomii Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, ekonomista, historyk gospodarczy, człowiek o niezwykle szerokich zainteresowaniach naukowych, który będzie nam dzisiaj mówił o tym, czym jest marka w gospodarce i jaką w niej pełni rolę. Panie Profesorze, pojęcie marki jest bardzo znane, popularne, wymieniane w wielu kontekstach. Ale nie do końca wszyscy rozumieją, na czym ono polega. Co Pana zdaniem znaczy marka dla gospodarki?

SŁAWOMIR KAMOSIŃSKI: Marka jest pojęciem powszechnie używanym. Można powiedzieć, że omarkowaliśmy sobie dzisiaj świat i właściwie wszystko stało się marką. Ale chciałbym przytoczyć tutaj definicję profesora Philipa Kotlera, który wskazał, że marka jest to pozycjonowanie przez producenta produktu czy też samego producenta tam, gdzie chciałby on, aby się znajdował w naszej świadomości, w naszej głowie. Czyli nasz mózg ma działać jak typowa przeglądarka komputerowa i pozycjonować pewne produkty, pewne brandy, z którymi mamy do czynienia na co dzień.

Zwróćmy uwagę, że bardzo często odruchowo sięgamy po określoną markę, kierując się albo doświadczeniem przeszłości, albo opinią osoby, która już kiedyś z niej korzystała. Sięgamy też bardzo często do tego, co jest modne, co akurat jest na topie i topowa marka staje się dla nas najwyższą pozycjonowaną w naszym umyśle. Część znawców tematu podkreśla, że marka pozycjonuje się przez to, że ma czytelne, łatwe do zapamiętania logo. Część marek pozycjonuje się w naszej głowie przez slogany, teksty reklamowe, które łatwo wpadają w ucho, i dzięki temu jesteśmy w stanie uchwycić tę istotę, która jest dla nas najważniejszym czynnikiem popytowym, która jest w danym momencie najważniejsza. Tak więc marka dzisiaj to jest zagadnienie bardzo szerokie, zagadnienie, które obejmuje sferę grafiki, komunikacji językowej, komunikacji leksykalnej, z naciskiem na to pozycjonowanie w naszym umyśle.

O ile dobrze zrozumiałem, to można to pojęcie odbierać pejoratywnie. Pozycjonowanie kojarzy mi się z manipulowaniem naszym odbiorem produktu za pomocą marki.

Oczywiście, przecież cały przemysł reklamy, marketing został zbudowany na tym, aby manipulować naszą świadomością, naszymi uczuciami i budować głód popytu. Gdyby nie ryzyko, które podejmuje producent wytwarzający określone produkty, nie byłoby marketingu, bo to przecież producent krzyczy: mam produkt, informuje o tym produkcie, a my jako klienci podejmujemy ryzyko zakupu. Ryzyko zmniejszamy czy minimalizujemy przez to, że rozpoznajemy producenta, staje się on dla nas znajomym, przyjacielem, z którego produktów czy usług korzystamy. Stąd też właśnie ta manipulacja naszą świadomością.

Ale z drugiej strony przyjaciel, partner to ktoś, kto chce nam sprzedać dobry produkt, kto chce dać nam zaspokojenie naszych potrzeb, czyli pojęcie marki możemy też odbierać pozytywnie. Marka sama w sobie zawsze jest chyba przez społeczeństwo odbierana pozytywnie.

Marka w społeczeństwie jest odbierana pozytywnie też z tego powodu, że bardzo często podnosi nasz prestiż społeczny. Przynależymy do pewnej grupy, używając pewnych, jak mówimy, marko-

wych produktów. To nas wyróżnia. To sprawia, że stajemy się częścią określonej społeczności, a my mamy też zakodowane w sobie takie poczucie przynależności do stada, do pewnej grupy. Stąd bierze się to omarkowanie świata. Musimy też pamiętać, że marka to nie tylko producent i produkt fizyczny, ale marka to też osoba czy miejsce, np. marka polityka, marka kraju, marka miasta. Omarkowany jest cały świat, w którym żyjemy.

Marka, brand, znak towarowy. Czy te wszystkie pojęcia są jednoznaczne? Czy może jednak się czymś różnią?

Znak towarowy to jest jakiś zastrzeżony element, który wykorzystuje producent do oznakowania swoich produktów. Bardzo często ten znak towarowy staje się logo producenta, które następnie spotykamy na produktach nabywanych w sklepie czy też korzystając z określonego rodzaju usług. Musimy też pamiętać – wspomina o tym Filip Kotler – że jeśli chcemy rozkładać markę na części pierwsze, to powinniśmy zwrócić uwagę, że obok logo mamy jeszcze muzykę, mamy słowo, mamy kolory. Te wszystkie elementy budują markę. Kolor kojarzy nam się bądź z ciepłem, bądź z chłodem, w zależności od tego skojarzenia dobierany jest do produktu bądź usługi i tego, co producent pragnie nam przekazać przez swoją markę, jakie elementy użytkowe produktu wyeksponować.

Motywnym przewodnim naszych spotkań jest próba odpowiedzi na pytanie, czego uczy nas historia gospodarcza. Dlatego musimy sięgnąć do przeszłości i zapytać, kiedy marki się pojawiły, kiedy nabrały tego dzisiejszego znaczenia – obrazu produktu pozycjonowanego w naszych umysłach. Od kiedy możemy mówić o takich nowoczesnych, współczesnych markach?

Na pewno możemy o nich mówić z chwilą narodzin epoki przemysłowej, ale jeżeli tak byśmy sięgali do historii, to zauważmy: czy np. sól z Wieliczki, nawet sama Wieliczka nie była swoistą marką wtedy, kiedy ta sól służyła do konserwacji żywności? Wieliczka kojarzyła się z tym, że zabezpiecza pokarm na dłuższy czas. W epoce przemysłowej takim symbolem, który pokazuje, jak marka się rozwija, jest na pewno koncern Henry'ego Forda i działania tzw. marketingu 1.0. Według Kotlera jego istotą jest to, że produkt

jest w centrum zainteresowania, ten produkt chcemy sprzedać. Henry Ford powiedział, że każdy może marzyć o samochodzie w każdym kolorze. Ważne, żeby był czarny, a więc eksponowano znaczenie produktu.

Bo czarny był samochód Forda.

Bo czarny był samochód Forda i tylko taki. Natomiast zwróćmy uwagę, że ta potrzeba sygnowania, znakowania produktów była żywa już w epoce przedindustrialnej, bo przecież to Anglicy proponowali *made in...*, *wykonano w...*, żeby wskazać kraj producenta. W ten sposób realizowała się idea marek, wyróżniania się spośród innych producentów. Tendencje te istniały właściwie od zawsze, a w epoce przemysłowej, kiedy mamy do czynienia z produkcją masową, znaczenie marketingu, promocji wyraźnie się wzmacnia.

Tutaj należy chyba wspomnieć, że duży wpływ na znaczenie marki miał też rozwój samego marketingu, a więc działań promocyjnych.

Dokładnie tak, ta idea promowania produktów, promowania pewnych miejscowości, promowania usług nie wywodzi się z epoki przemysłowej, ale sięgamy znowu do wcześniejszych epok. Sięgamy np. do Wierzyńka, sama marka Wierzynek Krakowski to czasy Kazimierza Wielkiego, a więc wyraźnie widzimy, że coś, co się kojarzyło z pewnym luksusem, nazywano odimiennie, opatrywano nazwami nawiązującymi do miejscowości i w ten sposób budowano pierwsze marki. Warto też zwrócić uwagę, że rzemieślnicy w miastach też niejako się pozycjonowali. Mieliśmy w miastach ulicę Stolarską, Rzeźnicką, Krawiecką i tam mogliśmy znaleźć – nie było przecież planów miast – specjalistów z danego segmentu produkcji rzemieślniczej, a więc tam też spotykaliśmy już pewne marki. Ta marka krzyku, niektórzy badacze podkreślają, że pierwsza propaganda to jest właśnie krzyk wywodzący się ze strachu, ja chcę to sprzedać, podjąłem ryzyko, więc podejmuję krzyk, chcę poinformować klientów, że mój produkt jest godny zainteresowania i godny sprzedaży. Zwróćmy uwagę na dzisiejsze zachowania cho-

ciażby na bazarach z warzywami, jak zmienia się w ciągu dnia cena, a także jak sprzedawcy zaczynają nas zachęcać do zakupu danego produktu. Ten najprostszy marketing, marketing słowa, marketing przekonywania, jest tam nieustannie obecny. Taka udokumentowana marka, o której możemy mówić, to na przykład marka zakładu, który wytwarza dzwony – Felczyńscy. Wielka tradycja na południu Polski. Zakład istnieje po dzień dzisiejszy od początków XIX wieku.

Możemy powiedzieć, że te wczesne marki, te, które powstawały nawet w wiekach średnich – można przykłady pewnie ze starożytności przywołać, chociażby Ksenofont pisał o tym, że należy promować i budować zajazdy, żeby ściągać turystów do Aten – powstawały bardziej w sposób samorzutny. Natomiast w okresie industrialnym, w okresie produkcji masowej mamy już do czynienia z celową działalnością na rzecz wypromowania marki.

Przede wszystkim, wtedy kiedy mamy do czynienia z produkcją masową, musimy już podejmować badania rynku, znaleźć sposób na to, aby pozyskać klientów. To jest ten najważniejszy element. Do klienta najłatwiej dotrzeć poprzez perswazję, poprzez słowo, ale także poprzez obraz. Jesteśmy w większości wzrokowcami, obraz wyraźnie trafia do naszej świadomości, buduje prestiż danego produktu i producenta. Ważne jest też to, jakimi wartościami, jakimi cechami odróżniał się dany producent na rynku od innego producenta, bo to decydowało o tym, czy klient podejmie ryzyko zagłosowania pieniędzmi na dany produkt, czy też odrzuci ten produkt. Świadoma promocja na pewno związana jest zatem z epoką przemysłową, wiekiem XIX, drugą połową wieku XIX i całym wiekiem XX, no i obecnie ten efekt również widzimy.

I też z ryzykiem, bo mówimy o rzemiośle. Rzemieślnicy mieli ograniczony rynek, na który dostarczali ograniczoną ilość towarów, natomiast produkcja masowa to jest ryzyko związane z koniecznością sprzedaży tej produkcji, stąd też tego typu działania. Proszę powiedzieć, jaki wpływ mają marki na rozwój, wzrost, ekspansję gospodarki narodowej, jak suma marek obecnych w danej gospodarce ma się do rozwoju gospodarki?

Na pewno marki mają ogromny wpływ na rozwój gospodarki, na wysokość PKB, na wzrost sprzedaży, a także na to, jak postrzegamy dany kraj na arenie globalnej konsumpcji. To jest związane z tym, że marki po pierwsze dają prestiż, po drugie pozwalają nawet – użyję tego słowa stereotypowo – klasyfikować dany kraj jako specjalistę w zakresie jakiejś produkcji, jakichś usług. Bo mamy kraje, które specjalizują się w usługach turystycznych, i mamy kraje, które słyną z tego, że wytwarzają świetne maszyny, świetne urządzenia. Marki mają też to do siebie, że potrafią przenikać do naszej świadomości i stają się częścią naszego języka. Bardzo często słyszymy, że ktoś sięga po Boscha, i zastanawiamy się, czy bierze do rąk jakąkolwiek wiertarkę, czy sięgnie po jakieś urządzenie tej firmy. Prosty slogan „DAS Auto” natychmiast kojarzymy z marką określonego samochodu. A więc te marki mają ogromny wpływ na wzrost gospodarczy, na wzrost eksportu, pozwalają na specjalizację eksportową danego kraju i dają też szansę na pozyskanie lojalnych klientów, a nie ma nic ważniejszego dla producenta, który organizuje promocję marki, jak pozyskanie wiernych klientów, oni zaś często stają się ambasadorami marki.

Nawiązując do relacji między markami a gospodarką narodową, zastanówmy się, co było wcześniej, jajko czy kura, czyli czy najpierw są dobre marki, czy najpierw jest silna gospodarka?

Na pewno silne marki budują silną gospodarkę. Najpierw musi pojawić się producent, ten który podejmie ryzyko, coś zaoferuje i jeżeli dany produkt się sprawdza, staje się produktem markowym, a jednocześnie jednym z ogniw napędzających gospodarkę. Czyli najpierw jest producent i jego marka oraz wzrost gospodarczy, który obserwujemy dzięki właśnie temu, że on skutecznie pozyskał klientów i zdobył określony segment rynku, a także zdołał rozszerzyć ten segment rynku na kolejne kraje.

To bardzo ważna konstatacja w kontekście tego, o czym rozmawiamy, że to marki budują potęgę gospodarki. Tutaj możemy chyba podać przykład Japonii czy później Korei Południowej.

Ale także, jeżeli sięgniemy wcześniej do historii, wystarczy spojrzeć na Szampanię – obszar rolniczy we Francji, który nam się kojarzy z pewną wyrafinowaną konsumpcją i podnosi gospodarczo znaczenie tego regionu i znaczenie kraju, sytuując go jako producenta dobrego wina, dobrego trunki. Jeżeli spojrzymy na rynek samochodowy czy rynek produktów elektronicznych w drugiej połowie XX wieku, zauważymy, że wyróżnia się na nim Japonia, która buduje swój prestiż, opierając się na markach. Podobnie promuje się niemiecki rynek motoryzacyjny i urządzeń technicznych. To są elementy, na które warto zwracać uwagę, gdy mówimy o markach i sile gospodarki danego kraju.

Czy same marki wystarczą, żeby budować siłę gospodarczą kraju?

No właśnie, to jest kwestia bardzo skomplikowana, ponieważ wydaje mi się, że każdy konsument buduje w swojej świadomości pewien stereotypowy obraz kraju. I bardzo często jest tak, że łączymy pochodzenie produktu z danym krajem. Jeśli mamy pozytywne skojarzenia z krajem, który słynie z produkcji dobrych maszyn, dobrych urządzeń, dobrych samochodów, to korzystając jeszcze ze wzmocnionego przekazu innych osób, tak zwanych przyjaciół, jesteśmy w stanie kierować nasz wybór właśnie na marki tego kraju. Czyli dobry wizerunek danego kraju, uznawanego za kraj piękna, kraj kosmetyków, kraj dobrych produktów rolnych, dobrych samochodów, dobrych usług turystycznych, sprawia, że wszelkie marki, które ten kraj oferuje, stają się pożądanymi na wolnym rynku przez klientów.

Swego rodzaju sprzężenie zwrotne. Kiedy siła gospodarki jest zbudowana przez mocne marki, to każda nowa marka, która się pojawia w obrębie danej gospodarki, może być a priori uznana przez konsumentów za wiarygodną.

Tak, za wiarygodną, za godną zaufania, za którą stoi pewna solidność wyniesiona ze stereotypowego postrzegania danego kraju, danego producenta. Mamy przecież niezawodność, prawda? Mamy solidność, uczciwość, rzetelność... także ekologię, dzisiaj bardzo

mocno akcentowaną przez wielu producentów po to, aby sięgnąć do naszych portfeli, do naszej świadomości, żebyśmy głosowali pieniędzmi na określoną markę.

Czy możemy na to popatrzeć *a rebours*, czyli jeżeli państwo nie ma mocnej gospodarki, a konsumenci nie ufają produktom z tego kraju, to nawet najlepsza marka nie będzie w stanie się wybić?

Ja to obserwuję na przykładzie polskiej gospodarki po 1988 roku, kiedy zaczęliśmy w Polsce budować wolny rynek. Spotkałiśmy się wówczas z taką przedziwną sytuacją – Polacy zaczęli odchodzić od rodzimych marek, które kojarzyli z czasem komunizmu. Bardzo często starano się o nich zapomnieć, marginalizowano je i co ciekawe, nowi prywatni producenci świadomie odchodzili od polskich nazw. Podam przykład jednej firmy, która użyła polskiej nazwy i chciała się sprzedawać jako polska marka posługująca się polską nazwą. Przegrała na rynku, dopiero gdy sięgnęła do nazwy portugalskiej, klienci zwrócili na nią uwagę. Wydaje mi się, że wiele polskich marek, ukrywając się za tym X, końcówką X, starało się ukryć polskie korzenie. Sytuacja zmieniła się po pierwszym, drugim roku, kiedy wzrosła stopa życiowa naszych konsumentów, zaczęliśmy zarabiać więcej. Zauważono wówczas interesujące zjawisko powrotu do polskich marek, jak Wólczanka czy Vistula. One się pojawiły i chętnie do nich wróciliśmy, a przecież te marki bardzo często kojarzyły się z okresami Polski Ludowej. Natomiast niezmiennie, i to pokazuje też doświadczenie historyczne, Polacy ufali markom, które powstały w dwudziestoleciu międzywojennym i wcześniej w XIX wieku. Wedel zawsze kojarzył nam się z luksusem i proszę zauważyć, że w Polsce Ludowej Wedel był pozycjonowany jako producent wyrobów cukierniczych bardzo wysoko. Nawet gdy komuniści próbowali nazwać Wedla „Zakładami 22 lipca”, to i tak trzeba było powrócić do pierwotnej nazwy ze względu na to, że pozycjonowano Wedla właśnie w świadomości Polaków jako markę luksusową. Po 1988 roku Wedel przetrwał jako producent słodczy i ta marka również cały czas w naszej świadomości istnieje.

Tutaj można by też wspomnieć o działających w Europie Środkowej, w dawnych państwach socjalistycznych, producentach samochodów, których marki do dzisiaj przetrwały, na przykład czeskiej Skody, czy też wróciły na rynek, jak rumuńska Dacia.

Dokładnie, w tej sympatii do czeskiej Skody istotny jest element ciągłości historycznej. Czesi zbudowali silną pozycję marki Skoda. Nawet jeżeli ona cieszyła się w czasach komunizmu mniejszą sympatią z różnych przyczyn, to jednak na polskim rynku wciąż wyróżniało posiadacza to, że miał skodę. Tak samo Dacia, która wspierana przez francuskiego producenta, nadal jest wysoko pozycjonowana i korzysta z historycznego doświadczenia przeszłości. Sympatia do dawnych marek to interesujące zjawisko, wymagające poszerzonych badań i nie możemy go kwitować tylko tym, że wzrosła siła nabywca. Tutaj jeszcze jest coś głębiej osadzonego w naszej świadomości, nasze przywiązanie do tradycji czy też pozycjonowanie ze względu na to, że żyliśmy obok danej marki.

A obecność producenta, obecność marki na giełdzie papierów wartościowych, jak wpływa na jej postrzeganie i funkcjonowanie wśród konsumentów?

Zdecydowanie lepiej, spójrzmy na przykład jednego z producentów gier komputerowych, który poprzez umiejętną kilkumiesięczną promocję gry potrafił znacznie podnieść ceny akcji i w momencie, kiedy doszło do promocji danej gry, ceny nieco zmniejszyły się. A więc widzimy tu spiralę nakręcania głodu popytu przez współczesnych producentów, którzy wykorzystując techniki marketingowe pojawiania się zajawek, eksponowania fragmentów danych produktów, pokazywania gwiazd, które grają w danym filmie, prezentacji motywu muzycznego potrafią budzić w nas potrzebę sięgnięcia do marek, potrzebę popytu. W ten sposób minimalizują swoje ryzyko, ale zarazem zauważamy, że klienci, chcąc nabyć dany produkt, siłą rzeczy wpływają na ceny akcji firm na giełdzie papierów wartościowych.

Tak, tylko musimy pamiętać, że tego typu działanie, jeżeli nie jest poparte odpowiednią jakością i nie jest to sprawdzalne, kończy się

źle. A co można by powiedzieć jeszcze o tych wielu markach PRL-owskich, powstających po II wojnie światowej, o ich funkcjonowaniu w gospodarce rynkowej?

Zadziwiającym zjawiskiem było to, że właściwie PRL nie chciał zbudować marek. Specjalnie nikomu na tym nie zależało, nie prowadzono zbyt dużej promocji. Dopiero w latach 70. nastąpiła pewna zmiana, bardziej starano się promować marki na rynkach zachodnich, w kraju mniej z uwagi na niedobory. Rzecz charakterystyczna, że do naszego języka współczesnego przeniknęły marki PRL-owskie, których już praktycznie nie ma albo produkują w ograniczonym zakresie. Wielokrotnie słyszę na przykład, że jeżdżę rometem, gdy ktoś jeździ skuterem, czyli romet PRL-owski przetrwał do naszych czasów i rozciągamy tę nazwę na skuter produkcji włoskiej, japońskiej czy chińskiej... to pokazuje siłę zakorzenienia i wysokie pozycjonowanie marki w naszej świadomości, ta leksykalna warstwa gdzieś tam zostaje. Podobnie wspomniany Wedel, zniknęły nam niestety marki motoryzacyjne w Polsce z uwagi na wiele czynników ekonomicznych. Tutaj to jest niejako osobna dyskusja, dlaczego nie mamy dzisiaj silnych marek samochodów osobowych. Zbudowaliśmy za to silnego producenta autobusów, który pod Poznaniem radzi sobie doskonale – ta marka jest rozpoznawalna w całej Europie.

A jak by Pan określił proporcje między markami, które wypromowane zostały jeszcze w czasach poprzedniego systemu, a tymi współczesnymi, a równocześnie między markami, które konsekwentnie od początku były polskie, a tymi, które próbowały się chować za pięknymi, obco brzmiącymi nazwami?

Jeśli chodzi o rynek marek, to dla mnie takim fenomenem jest rynek marek kosmetycznych. Rozwinął się w latach 80. i wypromowane wówczas marki przetrwały w większości do dziś, ciesząc się ogromnym zaufaniem klientów. Osiągają nawet takie sukcesy, jak wpisywanie na szereg list produktów luksusowych, marek luksusowych. To jest jedna kategoria. Druga kategoria to marki związane z producentami z czasów socjalizmu – na rynku odzieżowym

Bytom, Wólczanka – które przetrwały epokę minioną i znajdują się dziś w segmencie średniej jakości. Są wreszcie marki nowe, które powstały po 1989 roku, ich siłą jest świeżość i to, że od 30 lat potrafią skutecznie zawładnąć naszą wyobraźnią i trafiają w nasze gusta, bo to jest przede wszystkim istotne dla producenta. Bardzo pocieszające jest też to, że naszą specjalnością stają się gry komputerowe, segment marek producentów gier komputerowych jest bardzo mocny na współczesnym rynku. I to jest też ta wartość dodana, którą mamy z tego okresu transformacji.

Mówiąc o grach komputerowych, warto wspomnieć jeszcze o jednej rzeczy, która ma duży wpływ na kreowanie marek. Chciałem tutaj dotknąć problemu związków kapitałowych producentów z koncernami medialnymi i promowania marek, często nawet sztucznego, właśnie tylko dlatego, że koncern medialny jest współwłaścicielem koncernu producenta gier czy też współwłaścicielem sieci kin.

Zawsze było tak i będzie, że jeżeli mamy silnego ekonomicznie brata, który wspiera nas kapitałowo, to siłą rzeczy będzie nas promował i będzie dbał o to, aby docieranie do klienta było płynne. Z tego korzysta wielu producentów gier komputerowych. Proszę zwrócić uwagę, że mają oni jedną cechę – zdecydowali się od razu na wyjście na rynki światowe. Nie pozostali na rynku polskim, tylko wchodząc na rynki globalne, automatycznie zyskali klientów na całym świecie i ich produkty stały się niejako markami globalnymi.

Czyli można by podsumować, że marka jako element życia gospodarczego na pewno jest zjawiskiem pozytywnym, ale równocześnie, mówiąc o marce, musimy pamiętać, że jest to narzędzie zdobywania klienta, pozycjonowania się wśród wytwórców i sprzedaży tego, co akurat wyprodukowali.

Marka sprawia, że konsumpcja stała się kolorowa. I to, że konsumpcja stała się kolorowa, jest też ogromną przyjemnością dla nabywców, a z drugiej strony kolorowa konsumpcja doprowadziła świat do rzeczozmęczenia. Mamy takie pojęcie, wszyscy prawdo-

podobnie jesteśmy rzeczozmęczeni. Każdy może to pojęcie inaczej odbierać. Niemniej skoro pojawiło się w języku potocznym, warto się nad nim zastanowić. Ten kolorowy świat konsumpcji, kolorowy świat marek i rzeczozmęczenie gdzieś tam w kątku czyhające i pytające: co dalej, konsumenci?

 Paweł Grata

 Sławomir Kamosiński

CZY PAŃSTWO MOŻE BYĆ MARKĄ I CZY ISTNIEJĄ MARKI NARODOWE?

PAWEŁ GRATA: Dzień dobry Państwu, witam w kolejnym podcaście z serii „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy”. Moim gościem jest Pan Profesor Sławomir Kamosiński z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, kierownik tamtejszej Katedry Ekonomii, a więc osoba jak najbardziej kompetentna, by rozmawiać o historii gospodarczej. Ekonomista, historyk gospodarczy, specjalista w zakresie marek, znaków towarowych oraz historii przemysłu. W trakcie dzisiejszej rozmowy chciałbym poruszyć problem marek narodowych, marek terytorialnych, marek lokalnych, a więc czegoś, co jest produktem, ale nie do końca. Jest czymś znacznie szerszym niż produkt, a więc czymś, z czym każdy z nas może się identyfikować, niezależnie od tego, czy jest przedsiębiorcą, czy konsumentem. Chciałbym, żeby Pan Profesor trochę nam o tym opowiedział i wyjaśnił kolejną z zagadek współczesnej historii gospodarczej, a więc czym są marki narodowe, jak powstawały, jak funkcjonują, jaka jest przed nimi przyszłość. Zacznę od najprostszego pytania. Czy państwo może być marką i czy istnieją marki narodowe?

SŁAWOMIR KAMOSIŃSKI: Gdy pojawia się pytanie, czy państwo może być marką, odpowiadam: zdecydowanie tak. Państwo może być, co więcej, państwo jest marką. Państwo jest marką, region jest marką, jeżeli będziemy rozszerzać interpretację. Marką

jest także gmina, miasto. Pojawiła się nawet w marketingu taka osobna gałąź: marketing terytorialny. Marketing terytorialny stawia sobie za cel przede wszystkim pozycjonować państwa, pozycjonować regiony i pozycjonować miasta oraz inne miejscowości w świadomości konsumentów, w świadomości mieszkańców, potencjalnych mieszkańców, przedsiębiorców i potencjalnych przedsiębiorców. Dlaczego podejmuje się tego typu działania? Między innymi z tego powodu, że jeżeli mieszkamy w regionie, który ma dobry wizerunek, zbudowany na swojej tożsamości, to istnieje większe prawdopodobieństwo, że zechcą pojawić się u nas producenci, usługodawcy, a także turyści. To pozycjonowanie regionów, miast, gmin czy państw sprowadza się bardzo często do tego, że budując pozytywny wizerunek danego miejsca w odbiorze mieszkańców czy potencjalnych mieszkańców, stwarzamy dobre warunki lokalizacyjne dla przedsiębiorców i mieszkańców. Dlaczego jest to tak ważne? Dlatego, że przedsiębiorcy przynoszą regionowi, państwu, miastom określone dochody, ale tak samo i mieszkańcy. Mieszkańcy budują przecież kapitał społeczny, kapitał ludzki, sprawiają, że miasto odżywa, ponieważ miasto zwiększa gamę oferowanych usług dla osób, które w nim mieszkają bądź też zechcą w nim zamieszkać. Stąd też tak ważne jest, aby łączyć marketing terytorialny z marketingiem związanym z produkcją, usługami i tymi tak zwanymi markami narodowymi, regionalnymi czy lokalnymi. One mają kolosalne znaczenie dla klientów, tym bardziej że dzisiaj w globalizującym się świecie zauważamy nową tendencję – duża grupa klientów odchodzi od marek globalnych w kierunku marek lokalnych. Chcą być mocno osadzeni w środowisku lokalnym. Dlatego możemy odszukać w każdym regionie i w każdym mieście wielu drobnych producentów, którzy są wybitnymi markami lokalnymi tylko na wąskim rynku i zaspokajają potrzeby ograniczonego obszaru, mają grupę lojalnych klientów, którzy są ambasadorami tych marek. I to, że coraz częściej skracamy łańcuchy dostaw i sięgamy do tego, co powstaje tuż obok nas, wydaje mi się pięknym zjawiskiem.

Czyli można powiedzieć, że marka terytorialna, marka narodowa jest również produktem, takim samym jak towar wytworzony w zakładzie przemysłowym czy usługa. Idąc tym tropem,

możemy mówić o pozycjonowaniu, o tym, że marka może się sprzedąć, ale nie musi.

Oczywiście każda marka, każdy brand to jest pewne ryzyko. Proszę zauważyć, jak próbują sprzedać swój wizerunek kraje alpejskie, kraje położone w Tatrach, kraje, które oferują wypoczynek słoneczny. Pojawia się coraz więcej reklam, które zachęcają nas do odwiedzenia danych obszarów. W ten sposób widzimy, że rodzi się prawdziwa konkurencja. Zauważmy też jeszcze jedno bardzo charakterystyczne zjawisko. Coraz więcej regionów w Polsce, chyba już wszystkie, ale także miast ma swoje logo. Odchodzi się często od tradycyjnych herbów, a kreuje logo. Dlaczego miasta rezygnujące z tradycyjnych herbów albo równolegle mają herb i logo? Dlatego, że herb często jest mniej zrozumiały dla współczesnego konsumenta. Łatwiej miasto rozpoznamy po logo, tym bardziej że logo pięknie wygląda w Internecie, łatwiej się sprzedaje, zapewnia lepszy odbiór wzrokowy i jest zwyczajnie łatwiejsze do zapamiętania. Stąd też te marki miast, marki regionów zaczynają się zachowywać tak jak typowe logotypy produktu albo producenta, który pojawia się na rynku i oczekuje na klienta.

Państwo alpejskie to przykład bardzo wyrazisty, bo łatwo sobie skojarzyć pozytywnie reklamę takiej marki z miłym spędzaniem czasu, z wysokim poziomem życia, z zamożnością, po prostu dobrobytem. Natomiast czy można by pokazać przykłady odwrotne, kiedy marki jakichś państw czy regionów nie do końca się sprzedają, czy nie są w stanie się sprzedać z różnych względów?

Dla mnie interesującym z badawczego punktu widzenia przykładem jest Afryka, jej pozycjonowanie w świadomości globalnej. Dlaczego? Dlatego, że zaczynamy spoglądać na Afrykę jako kontynent warty poznania, warty odkrycia, nie tylko z uwagi na surowce naturalne, ale także ze względu na osobliwą kulturę, egzotyczne miejsca, potrawy, zwierzęta. Dla społeczności globalnej Afryka jest miejscem, którego eksploracja daje nowe doznania, nowe przemyslenia, nową wiedzę. Uczymy się jej, a to jest też jeden z elementów, który sprawia, że marki pozycjonujemy, że do

marek chętnie sięgamy. To przeżycie, emocje w kontakcie z produktem czy z danym miejscem.

Oczywiście możemy wskazać Koreę Północną jako markę, która sama w sobie jest w pełni negatywna. Trudno znaleźć tutaj elementy pozytywne. Mówimy na przykład o osi zła w skali globalnej, tam sytuujemy państwa, które odpowiadają za wojny, za terroryzm, ale ich eksploracja może mieć drugi aspekt. Część osób powie, że to politycy tworzą negatywny wizerunek danego państwa, ale są też tam ludzie, którzy budują lokalną kulturę, lokalną tradycję, lokalne obyczaje i oni bardzo często są jakby na uboczu tej wielkiej polityki. Mamy też marki pozytywne kojarzące się z wakacjami, z wypoczynkiem, z dobrobytem. Tutaj wskazaliśmy kraje europejskie. Możemy zwrócić uwagę np. na Polskę, jak ładnie pozycjonują się miejscowości nadmorskie, które kojarzą nam się ze słońcem, falami, i równocześnie miejscowości górskie, które budzą pozytywne emocje związane ze śniegiem, ale też i letnim wypoczynkiem. Więc każde miejsce promuje się dzięki temu, że oferuje nam coś specyficznego. Obecnie na przykład bardzo popularna stała się turystyka kulinarna. To jest kolejny element, który sprawia, że pewne regiony zyskują na znaczeniu. Proszę zauważyć, jeżeli jedziemy na Podlasie, poznajemy kuchnię podlaską, w Wielkopolsce kuchnię wielkopolską. Nie wstydzimy się nazwać już ziemniaka pyrą w Wielkopolsce, bo to jest pewna tożsamość tego regionu, pewna tradycja, na której budujemy określone emocje u klientów odwiedzających region. Podobnie jest w innych krajach. Zobaczmy, jak pięknie zostało sprzedane jako produkt Loch Ness czy zamek w Bawarii, który stał się symbolem jednej z wytwórni filmowych. A więc także osobliwości architektoniczne będą budować marki, stając się magnesem przyciągającym turystów i dostarczającym pozytywnych emocji poznawczych, które z kolei sprawiają, że będziemy dany obszar polecali i zachęcali do jego odwiedzenia. To jest właśnie tajemnica marketingu terytorialnego, tej odnogi marketingu ogólnego.

Nawiązując do Loch Ness, można powiedzieć, że marka terytorialna, marka narodowa nie do końca musi mieć odzwierciedlenie w faktach. W gospodarce marketing musi mówić praw-

dę o produkcji i ewentualnie zachęcać do sięgnięcia po niego. Natomiast tutaj o potworze słyszemy, ale nikt go nie widział. Drugi przykład, bardzo podobny, zamek Bran w Rumunii w Transylwanii, gdzie być może hrabia Dracula nigdy nie był, ale jest to zamek Draculi i ściąga tysiące, setki tysięcy turystów z całego świata.

Dokładnie. Zwróćmy uwagę, że bardzo często te opowieści, legendy stają się zaczynem pozytywnego wizerunku danego miejsca. To jest rzecz bardzo charakterystyczna, że my jako konsumenci lubimy emocje, lubimy pozytywne doznania, lubimy niesamowite sytuacje. Bardzo często, żeby spotęgować niejako te nasze emocje, buduje się sztuczną przestrzeń w formie parków rozrywki, które zajmują powierzchnię nawet małego miasteczka. To po to, żebyśmy czuli się tam jak dzieci i doświadczyli komfortu obcowania z pewną marką.

Często te marki próbujemy też przejmować, bo znamy przykłady chociażby parków miniatur będących odzwierciedleniem słynnych ogrodów, Bukareszt potrafił zbudować własny Łuk Triumfalny, bardzo podobny do tego paryskiego, a więc ten marketing terytorialny nie boi się sięgać po cudze...

Nie, nie boi się. Gdy wymyślono slogan „kocham Nowy Jork”, miasto to było przecież jednym z najbardziej niebezpiecznych w kraju, ale proszę zauważyć, powtarzane wielokrotnie, eksponowane na koszulkach, czapczkach hasło „kocham Nowy Jork” zmieniło obraz tego miasta. Oczywiście szło to w parze z działaniami władarzy Nowego Jorku. Zwróćmy także uwagę: „kocham Nowy Jork” było inspiracją dla „zakochaj się w Warszawie”; Bydgoszcz zaprasza, abyś był jej gościem, czyli tworzymy atmosferę... Rzeszów – stolica innowacji, z czego...

...wielu przez lata się śmiało.

Ale to jest właśnie ten element nawiązujący w Rzeszowie do Centralnego Okręgu Przemysłowego, gdzie przecież trafiała duża część nowoczesnych rozwiązań technicznych, i też do przemysłu lotni-

czego, który bardzo mocno rozwinął się w Rzeszowie, szczególnie po 1988 roku. Dlatego to jest w pełni uzasadnione hasło: „Rzeszów stolicą innowacji”. Zwróćmy uwagę, że każde miasto ma swoje hasło, gotyk na dotyk. Często w miastach za marką chowa się jakaś twarz. Zwróćmy uwagę na Toruń – Kopernik. Przy okazji miasta smakują. Proszę zauważyć zapach kawy, zapach pierników, konsumpcję pierników. Ziemniak, czyli pyra, nawet mamy pomnik pyry w Poznaniu. To są elementy, które wypełniają przestrzeń, budują narrację o miejscu i dlatego chętnie tam jedziemy, żeby danego miejsca doświadczyć.

A propos tej stolicy innowacji czy Centralnego Okręgu Przemysłowego – marka musi trafić na swój czas. Tutaj mógłbym podać przykład Centralnego Okręgu Przemysłowego. Na początku lat 90. w Sejmie pojawił się pomysł odbudowy Centralnego Okręgu Przemysłowego, przywrócenia jego istnienia mocą odpowiednich przepisów prawnych. Wtedy upadł, nie było na to odpowiedniego czasu. To był okres dezindustrializacji, załamania gospodarczego, kryzysu potransformacyjnego. Natomiast na początku XXI wieku, gdy ta gospodarka zaczęła inaczej wyglądać i zaczęły się pojawiać rodzime marki, powstała Dolina Lotnicza, która wprost nawiązuje do tradycji COP-u.

Zwróćmy uwagę, że w dwudziestoleciu międzywojennym budowaliśmy Centralny Okręg Przemysłowy – piękną markę. Centralny – bo tu lokuje się przemysł. To też była pewna kopia tego, co robiono w Stanach – Złoty Trójkąt. Tam Złoty Trójkąt, tu Centralny Okręg Przemysłowy. To podnosiło też prestiż mieszkańców regionu: mieszkam w Centralnym Okręgu Przemysłowym, jadę do Centralnego Okręgu Przemysłowego czy osiedlam się w Centralnym Okręgu Przemysłowym. Na to też należy zwrócić uwagę, na warstwę leksykalną. Dolina Lotnicza, to też jest piękne określenie, podnoszące prestiż. To tutaj powstają samoloty, bo tutaj jest klaster Dolina Lotnicza.

No i to nawiązanie do Doliny Krzemowej.

Przed wszystkim.

Symbolu nowoczesności, rozwoju, modernizacji, to też buduje markę. Ale dlaczego o tym odpowiednim czasie wspomniałem? Chciałbym zapytać, jaki wpływ na budowanie marek lokalnych, marek narodowych mają uwarunkowania – polityka krajowa, polityka międzynarodowa, procesy globalizacji, procesy innowacji technologicznych. Jak to wpływa na marki? Przecież mówimy, że marki to są często produkty tradycyjne, nawiązujące do tradycji, do Kopernika, do Wieliczki, do pyrów poznańskich, właśnie okresu międzywojennego, a tutaj mamy cały czas zmieniający się świat.

Świat pędzi do przodu, niewątpliwie, ale zwróćmy uwagę na chociażby to imię żeńskie Mercedes, które zrosło się z marką samochodu, i długą historię motoryzacji niemieckiej. Proszę zauważyć, że Mercedes jako samochód jest pozycjonowany bardzo wysoko w świadomości konsumentów i stał się też wizytówką, marką narodową Niemiec. On się sprzedaje jako niemieckie auto oferujące komfort i bezpieczeństwo dla tych, którzy dbają o niezawodne rozwiązania techniczne. A więc mamy tę bezpośrednią zależność między marką kraju, marką regionu a marką producenta, który gdzieś tam zaczyna wytwarzać określone produkty. Marketing terytorialny jest tak istotny, bo jeżeli zbudujemy dobry wizerunek regionu, to chętnie przyjdą do niego producenci, dlatego że już mają jeden ważny cel osiągnięty w kreowaniu własnej marki: z dobrego regionu się wywodzi, który rozpoznają klienci, który się dobrze kojarzy klientom, który dysponuje odpowiednim zapleczem badawczym, odpowiednimi zasobami ludzkimi, kapitałem społecznym. I my z tych zasobów czerpiemy i dzięki temu możemy powiedzieć, że nasz produkt jest dobry, bo jest z Podlasia, bo jest z Podkarpacia, bo jest ze Śląska, z Wielkopolski. Opieramy się zatem na pewnym stereotypie wizerunkowym, na osiągnięciach danego regionu, bo przecież każdy z nas do pewnego stopnia posługuje się w ocenach stereotypem i to przenosimy na marki. Jeżeli jest dobry wizerunek, to jako producent mamy połowę sukcesu w kieszeni.

Tak, te stereotypy były wyraźnie widoczne w kontekście oceny polskiej gospodarki po 1989 roku. Do dzisiaj, oceniając marki

narodowe, poszczególne gospodarki, poszczególne państwa czy regiony, kierujemy się stereotypami.

No przede wszystkim proszę zwrócić uwagę na stereotyp, który zawładnął świadomością całej Europy Zachodniej – „polnische wirtschaft”. Prawda, że krzywdzący dla nas, bo przecież poszukuje się polskich fachowców. I teraz jak trudno jest zmienić w świadomości wielu obywateli Europy Zachodniej ten stereotyp? Z drugiej strony zauważmy, że też mamy taki stereotyp dotyczący chińskich produktów.

Chińszczyzna.

Tak, chińszczyzna, czyli wizerunkowo ten produkt pozycjonujemy niżej niż np. produkt francuski, niemiecki, belgijski czy szwedzki. A więc stereotyp odgrywa ogromną rolę w wyborze konsumentkim i w codziennym życiu, obcowaniu z markami.

A z drugiej strony istnieje pozytywny stereotyp niemieckiej solidności czy japońskiej niezawodności albo szwajcarskich zegarków.

Dokładnie. To sprawia, że chcielibyśmy ten kraj poznać. Zadajemy sobie pytanie, jak oni to osiągnęli, i próbujemy dociec tych cech społeczeństwa, narodu czy państwa, które sprawiły, że im się udało zbudować tak solidne, pożądane w całej Europie marki, a nawet szerzej, marki globalne.

Tak, chcemy się tego dowiedzieć i to jest już zadanie dla historii gospodarczej, bo żeby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego państwa skandynawskie zbudowały taką znakomitą markę swojej organizacji społecznej i swoich produktów, to trzeba sięgnąć głębiej.

Trzeba sięgnąć też do pewnych wartości, do przyjętych zachowań społecznych, które kształtują się przez tradycję, przez podporządkowywanie sobie przyrody, przez doświadczenie historyczne. Ta tożsamość narodowa w dużej mierze rzutuje na nasze zachowania na rynku, na postrzeganie marek, na ocenianie tychże marek. Złe

doświadczenie z okresu PRL-u sprawiło, że odpychaliśmy te marki przez pierwszą dekadę transformacji, by później do nich wrócić i uznać, że jednak dobrze jest być w otoczeniu własnych marek, prawda?

Marek, który można było naprawić, udoskonalić i sprzedać.

Dokładnie tak. Czyli odżył sentyment do nich jako produktu, który służył mojej babci, mojej mamie przez 40 lat, a więc ja chcę mieć to samo. Tu zaczyna się tzw. lojalność konsumencka. I też jest zauważalne w społeczeństwie polskim coś takiego, że stajemy się coraz częściej ambasadorami marek krajowych, marek lokalnych. Nie wstydzimy się ich na arenie międzynarodowej. Uważamy, że mamy dobre, solidne marki. Przykład chociażby marek lokalnych. Jakże często, proszę zauważyć, turyści przyjeżdżający do nas z Europy Zachodniej czy z innych krajów, innych kontynentów sięgają właśnie po to, co lokalne. Tego szukają, bo to odróżnia dany region, to pokazuje bogactwo jego produkcji, bogactwo smaków, dziedzictwo kulturowe, na którym oparta jest tożsamość danego regionu, danego społeczeństwa.

Ja to dostrzegam nawet w relacjach z Panem Profesorem, bo każde nasze spotkanie zaczyna się tym, że Pan Profesor stara się przywieźć jakiś regionalny produkt z Kujaw.

No dokładnie tak jest. Właśnie też jestem wielkim fanem tego, co lokalne, tego, co jest produkowane najbliżej mnie, najbliżej mojego miejsca zamieszkania, mojego miejsca pracy, bo to daje satysfakcję. Zawsze mam wrażenie, że głosując pieniędzmi na markę lokalną, pokazuję, że jestem aktywnym mieszkańcem, który utożsamia się z regionem, z miastem, w którym pracuje, i miejscem, w którym mieszka. To jest właśnie ta wartość dodana, którą chcę oddać mojemu regionowi. Podejrzewam, że chyba wielu z nas jest takimi lokalnymi patriotami marek gospodarczych.

Nawiązując do tej ostatniej kwestii, zapytam, jak można by krótko scharakteryzować ewolucję sposobu prowadzenia marketingu terytorialnego. Jak on się zmieniał? Gdzieś tam kiedyś się pojawił jako proste przełożenie solidności danej gospodarki

na markę państwa. Dzisiaj tak łatwo tego nie można przełożyć, świat się zmienił. W czasach globalizacji tego nie da się zrobić, w czasach wspólnego rynku też nie da się tego zrobić. Jak to się zmieniało Panie Profesorze?

Marketing terytorialny, budowanie marek lokalnych, regionalnych to jest na pewno proces bardzo złożony i jeżeli spojrzymy na genezę marketingu, możemy śmiało powiedzieć, że jego załączki pojawiły się już w starożytności. Starożytni Ateńczycy kolonizowali Italię i musieli znaleźć jakiś mit założycielski. Dlatego o obszarach, które kolonizowali na południu Italii, bardzo często mówiono, że przybył tam Ateńczyk, poślubił piękną kobietę, dzięki której założyli miasto. Mity założycielskie w tym marketingu były potrzebne po to, żeby zasiedlać, zaludniać tereny. Stany Zjednoczone prowadziły przecież w XIX wieku bardzo intensywny marketing terytorialny na ziemiach polskich zaboru austro-węgierskiego, zaboru rosyjskiego, próbując ściągnąć do siebie ich mieszkańców. Potrzebna była siła robocza. Dzisiaj marketing terytorialny ma nieco inną rolę. Z jednej strony chodzi o to, żeby budując pozytywny wizerunek państwa, regionu, miasta, pomóc w kreowaniu silnych, rozpoznawanych przez klientów marek. Z drugiej strony ten marketing terytorialny dąży do tego, aby mieszkańcy, czyli klienci – powiedzmy – wewnętrzni danego miasta, regionu czuli dumę z dorobku gospodarczego, z dorobku kulturalnego, z dorobku historycznego, z tradycji historycznej miejsca zamieszkania, pracy, nauki i wypoczynku. To jest taka ewolucja, że dzisiaj szukamy emocji będących niewidzialnymi nićmi, które nas łączą, i sprawiają, że wrastamy w dany region. To samo dzieje się z przedsiębiorcami. Jeśli przedsiębiorca dobrze się czuje w swoim regionie, to na przykład w nazwę swojej firmy może wkomponować nazwę miasta i pojawia się firma X z miasta takiego a takiego. To jest ten element łączenia regionu, miasta i producentów.

Bardzo wyraźnie widać to przejście od promowania Mercedesa do promowania regionu i drobnych wytworów z tego regionu pochodzących, ściśle z nimi identyfikowanych, bo samochód kojarzy nam się z państwem, natomiast regiony już z konkretnymi produktami, które są unikatowe w skali kraju czy w skali

całej Europy. Ale jeszcze jedna ważna sprawa, o której chyba warto wspomnieć w kontekście współczesnego marketingu terytorialnego. Tutaj nie wystarczy sam marketing, muszą za nim iść odpowiednie działania polityczne, odpowiednie działania gospodarcze i odpowiednie pieniądze. Dlaczego Polska miała w latach 90. wielkie trudności ze ściąganiem inwestorów zagranicznych? Bo brakowało infrastruktury, a bez zaplecza infrastrukturalnego żaden region nie może się promować, bo po prostu nikogo nie zachęci.

W marketingu terytorialnym jest nawet przyjęta zasada, że władarze lokalni muszą o krok wyprzedzać potrzeby mieszkańców i potrzeby przedsiębiorców. Jeżeli będziemy krok do przodu z budową infrastruktury, z przygotowywaniem zaplecza dla działalności gospodarczej, dla dobrego miejsca zamieszkania, edukacji, to wówczas mamy szansę na sukces, na związanie wielu producentów z naszym regionem, z naszym miejscem. To właśnie brak infrastruktury i trudności w komunikacji odpychają, budują negatywny wizerunek. Infrastruktura jest elementem podstawowym i dlatego zawsze władarze miasta muszą być o krok przed potrzebami mieszkańców i przedsiębiorców.

A co z sytuacją, kiedy jakieś negatywne zjawiska w gospodarce czy w polityce danego państwa czy regionu są na tyle znane opinii publicznej, że wpływają negatywnie na postrzeganie tego państwa, na markę tego państwa? Przypomnijmy tutaj kryzys gospodarczy w Grecji i jego przyczyny. Jak to wpłynęło na markę Grecji jako kraju słońca, turystyki, wypoczynku, wspólniejszej historii, tradycji, miejsca, które warto odwiedzić?

To jest też ciekawa kwestia, ponieważ Grecy zawsze słynęli z turystyki, z pięknych plaż, ciepłego morza, czyli oferty wypoczynkowej. Raczej nie zwracaliśmy uwagi na typowe greckie produkty, takie marki, które są w naszej świadomości mocno zakorzenione. Prędzej rozpoznajemy Grecję po Akropolu, niż po markach określonych produktów. Bardzo często jest tak, że pogrążenie się kraju w kryzysie finansowym nie ma przełożenia na to, jak postrzegamy ten kraj jako miejsce wypoczynku, turystyki i relaksu po pracy.

Kiedyś pozwoliłem sobie na zbadanie, jak klęski żywiołowe wpływają na promowanie miejsc. I co się okazało? Badając wówczas Polskę, doszedłem do wniosku, że wielu przedsiębiorców publicznych, którymi są burmistrzowie czy prezydenci miast oraz wójtowie, starało się klęskę żywiołową, na przykład powódź, przekuć w sukces, w sukces komercyjny, zachęcając ludzi do odwiedzenia danego miejsca. Na kanwie informacji o tym, że była powódź, dawano ludziom otuchę, że ściągamy turystów, że to miasto żyje, że ono potrafi szybko podnieść się z klęski żywiołowej. Przykład charakterystyczny – Sandomierz, podkreślano, że Sandomierz Górny, jego turystyczna część, jest miastem otwartym – zapraszamy. I zarazem w tym Sandomierzu znalazła się wówczas w przestrzeni publicznej wystawa, która pokazywała, jak miasto mocno cierpiało w okresie klęski powodzi, to też budzi emocje, buduje związek uczuciowy z miejscem, które odwiedzamy.

Czyli można powiedzieć, że marka terytorialna ma swoją moc. Nawet kryzysy, nawet klęski żywiołowe nie potrafią tego zdusić, jeżeli rzeczywiście to jest silna marka, głęboko zakorzeniona w opinii publicznej czy w społeczeństwie. A proszę jeszcze odpowiedzieć na pytanie – oczywiście nie proste, trudne do kwantyfikacji – jaki wpływ mają marki – o ile w ogóle mają – na tożsamość narodową, na kulturę narodową?

Zdecydowanie tak. Marki budują, są częścią kultury narodowej. Bardzo często znajdujemy odniesienia w dziełach kultury właśnie do tego, co zrobiły marki, do dobrego wizerunku danego kraju. Zauważmy, jak chociażby szampan wrósł w tradycję świętowania czegoś. Szampanem świętujemy sukcesy, które odnieśliśmy. Pojawienie się w języku potocznym wielu nacji europejskich pojęcia ukutego od nazwy regionu sprawia, że staje się ono silnym czynnikiem tworzącym kulturę. Tak samo tę kulturę budują dzieła literackie, które bardzo często wyrastają z pewnego doświadczenia historycznego. I proszę zauważyć, że filmy czy gry komputerowe również zawdzięczają swój sukces osobliwościom krajobrazów, kultury, pomnikom danego miejsca. Weźmy chociażby tę najsłynniejszą polską grę Wiedźmin. Zyskała sławę dzięki temu, że w przestrzeni tej gry zaistniały właśnie polskie krajobrazy, te siel-

skie polskie puszcze, polskie budynki przełomu wieków XIX–XX, i to urzekło klientów, właśnie ta inność od tego, co postrzegamy na co dzień.

Czyli marka jako przedmiot marketingu i fenomen mający na celu pozycjonowanie produktu, w tym wypadku miejsca, państwa, regionu, jest niezwykle ważną częścią naszej rzeczywistości – rzeczywistości trzeciej dekady XXI wieku.

Stała się wręcz nieodłączną jej częścią i nie zapominajmy, że bez dobrego wizerunku miejsca nie zbudujemy dobrego miejsca do pracy, wypoczynku i zamieszkania. To jest ważne, żeby iść zawsze o krok przed potrzebami mieszkańców. Takie przesłanie przekazmy włodarzom miast.

 Paweł Grata

 Krzysztof Popiński

CZY EDUKACJA JEST BEZPŁATNA I CZY ZAWSZE TAK BYŁO?

PAWEŁ GRATA: Witam w kolejnej rozmowie z cyklu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 pytań na trudne czasy”. Dziś moim gościem jest pan dr Krzysztof Popiński z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Będziemy rozmawiać o edukacji. Rozmowa jest częścią realizacji projektu finansowanego w ramach programu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego Społeczna Odpowiedzialność Nauki. Projekt ma na celu przybliżenie tego, jak historia gospodarcza może nam pomagać odpowiadać na trudne pytania współczesności. Tematem dzisiejszej rozmowy jest kwestia, czy edukacja powinna być bezpłatna, dlaczego, jak to wyglądało dawniej, a jak wygląda dzisiaj. Panie Doktorze, co to znaczy „bezpłatna edukacja”?

KRZYSZTOF POPIŃSKI: Bezpłatna edukacja to w takim najprostszych, najbardziej powszechnym poczuciu – może nawet bardziej niż zrozumieniu – edukacja, za którą rodzice i uczniowie nie płacą. Ale oczywiście jest to pewna umowna sytuacja, ponieważ zawsze wszystko kosztuje i jeśli nie płaci za edukację uczeń czy rodzic, to te koszty ponosi ktoś inny.

Tak, bezpłatna edukacja to takie trochę słowo klucz, hasło, można powiedzieć, że zastępcze w stosunku do tego, o czym tak naprawdę będziemy mówili. Historia gospodarcza, historia gospodarowania to też historia pieniędzy, historia kosztów. Tak jak Pan wspomniał, bezpłatna edukacja zawsze kogoś kosztuje, zawsze ktoś za nią płaci. Bezpłatna edukacja to edu-

kacja powszechna, możemy chyba tak to ująć, ponieważ właśnie z upowszechnieniem edukacji w historii pojawiło się pojęcie edukacji bezpłatnej.

Tak, te dwie cechy są ze sobą absolutnie powiązane i można w pewnym uproszczeniu powiedzieć, że upowszechnienie, wręcz wprowadzenie na pewnych szczeblach obowiązkowego kształcenia dla dzieci i potem też młodzieży wiązało się z wprowadzeniem bezpłatności. Albo inaczej – nie można było nakazać obowiązkowego kształcenia szerokim masom społecznym, których na to kształcenie nie byłoby stać, a jednocześnie leżało ono w interesie państwa. W związku z tym kolejne państwa podejmowały zobowiązanie, żeby te podstawy systemu edukacyjnego pokrywać ze swoich dochodów.

Powiedział Pan „w interesie państwa”. Gdzie był ten interes? Dlaczego państwa decydowały się na to, żeby ponosić tak wielkie koszty zapewnienia wszystkim bezpłatnej edukacji?

No tutaj zawsze będą się pojawiać dwa główne zespoły powodów, dla których należałoby ponosić koszty kształcenia szerokiego społeczeństwa, mimo że być może każdy powinien się kształcić na własny rachunek. Jeden to interes gospodarczy państwa, jego rozwój gospodarczy, techniczny, cywilizacyjny. W XIX i XX wieku szczególnie mocno akcentowano postulaty bezpłatnej nauki. Zaczęła się realizacja umasowienia czy wręcz upowszechnienia wykształcenia, aby społeczeństwo mogło efektywnie uczestniczyć w działalności gospodarczej dla własnego dobra, ale też dla gospodarki. I to było niezbędne. Oczywiście jest też ten drugi powód – z tak zwanego nurtu sprawiedliwości społecznej. Myślę, że one są w jakiś sposób powiązane ze sobą. Nie można ich też odrywać od siebie. Myślę, że jeśli coś jest sprawiedliwe, to nie znaczy, że jednocześnie nie może być też korzystne ekonomicznie.

Mówimy o XIX wieku, to też jest pewien paradoks, chociaż łatwo wytłumaczalny. Naszym celem jest pokazywanie procesów, które zachodziły w historii gospodarczej, i analizowanie, jak to się stało, że dzisiaj mamy stan, o którym będziemy mó-

wili w dalszej części naszej rozmowy. Wiek XIX to wiek dominacji doktryny liberalnej, która mówi, że każdy musi dbać o siebie, każdy musi dbać o swój interes i zabezpieczać swoje potrzeby, a równocześnie to wtedy właśnie państwo idzie w kierunku zaoferowania swoim obywatelom, więcej nawet – wymuszenia na nich edukacji. Jak połączyć te dwa, wydawałoby się, przeciwstawne podejścia?

Tutaj rzeczywiście są dwa, co najmniej dwa modele podejścia do organizacji systemu edukacji. Jest model liberalny, a jak liberalny, to oczywiście anglosaski, w którym edukacja jest częścią odpowiedzialności społecznej obywatela, indywidualnej zdolności, przedsiębiorczości, odpowiedzialności w wymiarze wykształcenia swoich dzieci, wykształcenia siebie samego czy swoich pracowników, podniesienia ich kompetencji, ale na swój koszt. Natomiast drugi model zrodził się w Europie kontynentalnej, w państwach takich jak Niemcy, kraje skandynawskie, ale też Francja i szereg innych wysoko rozwiniętych krajów, które przeżywając industrializację, przyspieszając procesy uprzemysłowienia, jednocześnie wprowadzały powszechne systemy edukacyjne, ponieważ uznały, że jest to potrzebne, wręcz niezbędne do osiągnięcia zakładanych celów politycznych, społecznych i gospodarczych.

Tak, bo musimy pamiętać, że jednymi z pierwszych krajów, które wprowadziły przymus szkolny, były państwa skandynawskie. Nie miały zasobów, nie miały złóż węgla, nie miały rudy żelaza, miały bardzo ograniczone możliwości rozwoju rolnictwa, a równocześnie bardzo szybko, bo jeszcze w końcu XIX wieku, dołączyły do grona najbogatszych państw na świecie.

Dokonało się to m.in. dzięki temu, co potem nazwano kapitałem ludzkim. Kapitał ten w bardzo wysokim stopniu składa się z wykształcenia, wykształcenia osiągniętego też w ramach powszechnego, obowiązkowego systemu edukacji, uwzględniającego te wszystkie dziedziny wiedzy i rodzaje umiejętności, które będą przydatne w gospodarce oraz w życiu społecznym i państwowym.

Tak, tylko musimy wziąć pod uwagę, jakiego poziomu kształcenia dotyczyła powszechna edukacja w wieku XIX.

Właściwie można powiedzieć, że do początku XX wieku, do okresu międzywojennego, obejmowała ona niemal wyłącznie kształcenie na poziomie podstawowym. Trzeba też wiedzieć, że to był proces, który się dokonywał w niejednakowym tempie na różnych obszarach, w różnych krajach w odmienny sposób. Niemniej jeśli spojrzeć z szerszej perspektywy, to widać, że miał on jeden kierunek – dążenie do systemu edukacji opartego na powszechnym, obowiązkowym i bezpłatnym nauczaniu. Mówimy tu o okresie, kiedy dotyczyło to tylko wykształcenia podstawowego, i to się dokonywało stopniowo przez całe dziesięciolecia. Na początku treścią edukacji były tylko podstawowe umiejętności, które dzieci mogły opanować w pierwszych dwóch latach nauki. A gdzieś pod koniec XIX wieku, od lat 80., kiedy ten system się upowszechniał, to już była mowa o szkole podstawowej w dzisiejszym rozumieniu, czyli do trzynastego, czternastego roku życia, do którego państwo zapewniało – także w interesie własnym – możliwość edukacji.

W interesie własnym, w interesie gospodarki.

Tak. Wręcz na zamówienie świadomych kręgów gospodarczych, oczekujących siły roboczej, która by podolała nowym trendom technicznym, technologicznym, oczekujących efektywnych pracowników na miarę swojej epoki.

I świadomych pracowników, bo wystarczy tutaj przypomnieć chociażby sytuację z okresu powojennego w Polsce, kiedy masowe przemysłowienie zderzało się z barierą nieprzygotowania robotników, którzy byli niewykwalifikowani, migrowali ze wsi i nie byli zdolni do podjęcia pewnych zajęć. Ale do tego może wrócimy za chwilę, natomiast pytanie, kiedy bezpłatna edukacja zaczęła obejmować starsze grupy wiekowe?

Bezpłatną edukację na poziomie średnim, a także szkolnictwa wyższego należy wiązać z drugą połową XX wieku, po II wojnie światowej. Wtedy upowszechniła się, ale też wcale nie wszędzie. Taki model realizowały prekursorskie kraje w zakresie upo-

wszechnienia i bezpłatności kształcenia w ogóle, czyli Niemcy i kraje skandynawskie. One wprowadziły po 1945 roku bezpłatne szkolnictwo średnie oraz szkolnictwo wyższe, jakkolwiek istniały też oczywiście w tym modelu instytucje, które nie były bezpłatnymi szkołami publicznymi, lecz prywatnymi i płatnymi placówkami edukacyjnymi. Anglosasi inaczej podchodzili do tej kwestii, zwłaszcza Stany Zjednoczone. Ciekawe, że nawet wewnątrz Zjednoczonego Królestwa poszczególne kraje różnie ten problem rozwiązały, i tak w Anglii mamy płatne uczelnie, a w Szkocji publiczne, bezpłatne, co też stało się powodem, dla którego stosunkowo duża liczba polskich studentów trafiła po 2000 roku właśnie do uczelni szkockich.

W polskich realiach wiek XIX to czas zaborów. I tutaj można by też wskazać na zasadnicze różnice, jakie wtedy między poszczególnymi zaborami w aspekcie dostępu do edukacji występowały.

Tak. To jest dziedzictwo, z którym odrodzona Polska w 1918 roku musiała się zmierzyć. Niosło ono ze sobą ogromne zróżnicowanie systemu edukacji w poszczególnych zaborach. Mieliśmy obszar byłego zaboru pruskiego, w którym stopień skolaryzacji był bardzo wysoki.

Ale kształcenie w języku niemieckim...

Tak, oczywiście. Państwo pruskie, prowadząc politykę edukacyjną, jednocześnie dążyło do germanizacji i stworzenia polskojęzycznych poddanych, jak to sobie określali, czy później obywateli, którzy zostaliby zasymilowani przez niemiecką większość. Stąd językiem szkolnym był język niemiecki. Natomiast w zaborze rosyjskim upowszechnienie szkolnictwa na poziomie podstawowym było bardzo niskie, więc po 1918 roku w Polsce konieczne było nadrobienie w możliwie szybkim czasie ogromnych zaległości tego zaboru. Miały bowiem one wymierne konsekwencje dla zapóźnienia cywilizacyjnego, uniemożliwiały procesy naprawcze. Ich wyrazem był powszechny niemalże analfabetyzm na wschodnich obszarach Rzeczypospolitej. Te różnice były zatem bardzo, bardzo duże. Skoro już jesteśmy przy Polsce w tym czasie, to powiedzmy, że w roku 1919 wprowadzono ustawowo obowiązkowe,

powszechne, bezpłatne szkolnictwo na poziomie podstawowym, ale w realiach polskich dążenie do takiego ujednoczenia – które zresztą z dużym skutkiem zostało do końca dwudziestolecia przeprowadzone – było konieczne i to się udało. Natomiast szkolnictwo średnie i wyższe pozostało niedostępne dla mas, dla tych, którzy nie dysponowali odpowiednim zabezpieczeniem finansowym.

Czyli pozostawało w zasadzie do wybuchu wojny czymś raczej elitarnym, a nie powszechnym. Po wojnie zaś zmienia się system. Komuniści zdobywają w Polsce władzę. Równocześnie na Zachodzie, gdzie upowszechnia się bezpłatne szkolnictwo średnie i w wielu krajach bezpłatne szkolnictwo na poziomie wyższym, budowane jest państwo dobrobytu, *welfare state*, które wynika z rekomendacji jeszcze z czasów wojny, i rzeczywiście ten zasięg wsparcia państwowego dla potrzeb edukacyjnych jest bardzo wysoki. A co się dzieje w państwach tzw. obozu demokracji ludowej, państwach socjalistycznych?

Mamy tutaj do czynienia z rewolucją w systemie edukacji, rewolucją w zakresie skolaryzacji społeczeństwa na różnych stopniach. Narosło sporo mitów związanych z tamtą epoką, bo władze PRL poczytywały sobie za sukces likwidację analfabetyzmu, który tak naprawdę został właściwie w znacznym stopniu, jeśli nie zlikwidowany, to zminimalizowany już w okresie międzywojennym właśnie poprzez wprowadzenie i konsekwentne stosowanie obowiązkowej edukacji na poziomie podstawowym. Władza ludowa podniosła obowiązkowość do 18 roku życia i uczyniła bezpłatną naukę w szkołach zawodowych i średnich, ułatwiła też dostęp do szkolnictwa wyższego, wręcz próbowała stosować preferencje w studiach wyższych dla osób pochodzenia robotniczego, chłopskiego, a w najbardziej dogmatycznych okresach nie dopuszczać do studiowania kandydatów z innych grup społecznych, zwłaszcza na samym początku, kiedy jeszcze istniały środowiska, które stanowiły o strukturze przedwojennej Rzeczypospolitej. I to się niewątpliwie dokonało, kiedy mówimy o wymiarze ilościowym, formalnym, natomiast jeśli skierować tę dyskusję także na poziom jakościowy, no to z tym niestety było znacznie słabiej.

I też jeszcze jedna ważna uwaga. Mówi Pan o szkolnictwie zawodowym. To rzeczywiście jest bardzo ważne, bo okazuje się, że po 1989 roku szkolnictwo zawodowe zostało zdemontowane i dzisiaj go brakuje. Są podejmowane próby jego odbudowy, natomiast w socjalistycznym modelu edukacji szkolnictwo zawodowe zostało rozbudowane w sposób nieadekwatny do potrzeb. Większość młodzieży trafiała do szkół zawodowych.

Tak i lepiej na tym wychodziła niż młodzież podejmująca trud studiów. To takie paradoksy systemu PRL-owskiego, w którym długotrwała nauka powodowała, że kiedy się już przystępowało do pracy, nawet jako inżynier, to się znajdowało w gorszej sytuacji płacowej i stażowej niż ktoś, kto po trzyletniej szkole zawodowej, czasami tylko dwuletniej, jako wykwalifikowany robotnik już od dobrych paru lat rozwijał swoją karierę zawodową, dochodził do jakiegoś poziomu zarobków i pozycji w zakładzie pracy. Ten system właśnie paradoksalnie podważał efekty kształcenia na poziomie wyższym, no bo nie bardzo wiedziano, co zrobić z absolwentami szkół wyższych, nie potrafiono ich efektywnie zagospodarować.

Równocześnie jednak Polska Zjednoczona Partia Robotnicza rządziła w imieniu klasy robotniczej, czyli budowanie ilościowej klasy robotniczej też było chyba istotne w tworzeniu tego systemu.

Ideologia przesłaniała wówczas częstokroć pragmatyzm i w imię tej ideologii zapominano o podstawowych zasadach zarządzania, produkcji, o podstawach ekonomii, żeby nie wspomnieć o innych elementach rzeczywistości politycznej czy społecznej.

Pan zajmuje się w badaniach naukowych rozwojem szkolnictwa wyższego w XX wieku. Jak można by ilościowo scharakteryzować postęp w tym względzie w stosunku do okresu międzywojennego i jak to się ma do tego, co jest dzisiaj?

Jeśli odnieść skok ilościowy, jaki dokonał się w szkolnictwie wyższym po 1945 roku, do okresu międzywojennego, to można mówić o dziesięciokrotnym wzroście liczby studentów, kilkukrotnym liczby uczelni i ich rozmiarów. Zmiany rozmiarów szkolnictwa,

jego dostępności były zatem gigantyczne, tyle tylko, że nie bardzo przekładało się to potem na oczekiwane efekty gospodarcze, bo ta wzrastająca liczba osób z wykształceniem wyższym, też pożądanym wówczas, technicznym, nie przekładała się na wyniki gospodarcze. Z kolei po 1990 roku też mieliśmy sytuację wielokrotnego wzrostu liczby studentów – do ponad dwóch milionów w szczycie około 2008 roku. To jest skok ośmiokrotny w stosunku do maksymalnego poziomu w czasach PRL z końca lat 70. Ten skok ilościowy przyniósł jednak po 1990 roku zauważalne zmiany jakościowe. Integracja z Unią Europejską, ze światem Zachodu, współpraca ze światem nauki, komercjalizacja, urynkowanie uwarunkowań funkcjonowania szkolnictwa wpłynęły pozytywnie na jakość tej rozbudowy. Ona nie była zarządzana odgórnie bez względu na potrzeby, tak jak w czasach PRL. Po 1990 roku w coraz większym stopniu to rynek decydował, ilu i jakich specjalistów potrzebujemy, a wcześniej to określały plany rozwoju społeczno-gospodarczego oparte na przesłankach politycznych, ideologicznych.

Kolejna ważna różnica to pojawienie się uczelni niepublicznych po 1989 roku.

No tak, pojawiły się ponownie uczelnie płatne oraz możliwość studiowania na uczelniach państwowych odpłatnie, myślę tu o studiach niestacjonarnych. Przybyli też w większej liczbie, choć dopiero po 2000 roku, studenci zagraniczni, ci też płacą na wybranych kierunkach czasem dość wysokie czesne. I rzeczywiście obecnie mamy takie dwa systemy. Jeden finansowany w przeważającej części przez państwo, to są uczelnie państwowe, i drugi to uczelnie prywatne, opierające się na czesnym, ale ewentualnie także pozyskujące dodatkowe środki z innych źródeł. W chwili obecnej czy to w Polsce, czy gdzie indziej na świecie trudno byłoby znaleźć system, w którym funkcjonują wyłącznie oparte na dotacjach państwowych uczelnie państwowe i wyłącznie na czesnym uczelnie prywatne. W tej chwili mamy taki stan szkolnictwa, w którym jeden i drugi typ uczelni starają się pozyskiwać dodatkowe środki i często funkcjonalnie aż tak bardzo się od siebie nie różnią, tylko oczywiście właściciel jest różny. No i są też różne inne konsekwencje tego, które z tych uczelni dominują w danym systemie. Czy dominuje jednak szkolnictwo publiczne, czy prywatne.

Właśnie tutaj wracamy do podstawowego pytania. Bezpłatne szkolnictwo na różnych poziomach. Kto za to płaci? Jaki jest wiodący model finansowania szkolnictwa na różnych szczeblach? Bo inaczej będzie to wyglądało w szkolnictwie wyższym, a inaczej w szkolnictwie na poziomie podstawowym.

Uczelnie czy szkoły niższego szczebla to instytucje finansowane z budżetu państwa, z podatków bezpośrednich, pośrednich. Ale nie tylko, ponieważ współcześnie uczelnie, także publiczne, uzupełniają swoje finansowanie o zupełnie wcześniej niedostępne źródła. Aplikują o różnego rodzaju granty, czy to naukowo-badawcze, czy też dydaktyczne, krajowe czy międzynarodowe. Tutaj bardzo istotną rolę odgrywają środki Unii Europejskiej, w wypadku na przykład naszego obszaru. Jest też także obszar, w którym w segmencie tych zasadniczo bezpłatnych uczelni są jednak też koszty studiów przeliczane na studiujących z racji niemożności zapewnienia im bezpłatnego zamieszkania, warunków socjalnych czy też niezbędnych pomocy naukowych, podręczników. W idealnym bezpłatnym systemie tym wszystkim zajmuje się państwo, natomiast ten idealny system występuje rzadko i częstokroć bezpłatne studia całkiem nieźle potrafią kosztować. A jeśli chodzi o uczelnie, które się utrzymują z chesnego, to one także dążą do zaistnienia czy rozwoju na rynku edukacji przez budowanie swoich wizerunków nie tylko jako firm zarabiających pieniądze, ale też stawiających na edukację. W związku z tym też aplikują o różne środki, występują do sponsorów, rozbudowują system własnych stypendiów czy ulg dla studiujących. To taki mniej oczywisty, bardziej wymieszany niż kiedyś system.

Tutaj nasuwa się też ciekawa konstatacja. W XIX wieku państwa rozwinięte, rozwijające się, uprzemysławiające, myślące o przyszłości wprowadzały przymusową edukację, czasem nawet wbrew woli rodziców, zwłaszcza na wsiach. Dzisiaj wartość edukacji w świadomości społecznej jest tak wysoka, że wielu rodziców chętnie płaci za wykształcenie swoich dzieci, za lepsze wykształcenie, za takie, które będzie dawało większe szanse na rynku pracy.

Wydaje się, że tutaj klasa średnia jest właśnie tą grupą społeczną, która przykłada ogromną wagę do kształcenia swoich dzieci i wy-

daje na szeroko rozumianą edukację znacznie więcej, niż powinna w ramach jakiegoś racjonalnego podziału dochodu budżetu domowego, ale nadaje temu tak wysoki priorytet, że rezygnuje z wielu innych dóbr. Inwestuje w przyszłość swojego potomstwa. To jest docenienie roli edukacji dla sukcesu indywidualnego, rodzinnego czy też społecznego, to jest coś, co w naszych czasach bardzo wzrosło. Chyba wydaje się też, że mimo wszystko dokonuje się pewne upowszechnienie i pomoc państwa w sferze edukacji, może nie jest ona taka bezpośrednia, ale na przykład bardzo taką ciekawą formą jest w Polsce, nazywane kiedyś bonami, dofinansowanie indywidualne, indywidualnej decyzji edukacyjnej, jest formą realizacji upowszechniania i pomocy państwa w zakresie edukacji.

Tak właśnie. Kiedyś przymus, dzisiaj pomoc. Stwarzanie równych szans. Dzisiejsze zasady sprawiedliwości społecznej to właśnie stwarzanie równych szans. Państwa demokratyczne, państwa otwarte na swoich obywateli starają się te szanse wyrównywać. A co będzie w przyszłości? Jak Pan widzi przyszłość bezpłatnej edukacji czy edukacji jako takiej i jej relacji z kosztami?

Myszę, że to w ogóle się wiąże z tym, jaka jest przyszłość państwa. Zmniejszająca się liczba dzieci i młodzieży w oczywisty sposób będzie wpływać na system edukacji. Niby powinna zmniejszyć jego koszty i zwiększyć możliwości jakościowego podniesienia jej poziomu, zwrócenia większej uwagi na indywidualne nauczanie, bardziej zróżnicowane, a z drugiej strony państwo będzie miało mniej dochodów, bo mniej podatników będzie uiszczać podatki. Czy będzie je stać na wyrafinowaną, rozbudowaną politykę w zakresie edukacji i wielu innych dziedzinach, to tutaj ekonomiści, demografowie, socjologowie martwią się o to.

Może się okazać, że ta bezpłatna edukacja będzie też mniej wartościowa.

Może być takim zawieszonym przywilejem, który w praktyce będzie tylko częściowo lub w małym stopniu realizowany. Tego się trzeba najbardziej obawiać. Bo jeśli chodzi o świadomość potrzeby,



wynikającą nie tylko z poczucia sprawiedliwości społecznej, ale także z zysku państwa i gospodarki, to ta świadomość stale rośnie. Tylko kto za to zapłaci? Czy rodzice, którzy chcą przecież płacić bardziej niż kiedyś, bo są bardziej zdeterminowani, żeby zapewnić przyszłość swoim dzieciom przez edukację? Czy państwo, które też widzi w tym interes, ale które będzie miało problem z bilansowaniem swojego budżetu? To jest to wyzwanie, z którym w przyszłości trzeba będzie się zmierzyć.

Można więc wyprowadzić taki wniosek, że kiedyś bezpłatna edukacja to był krok ku nowoczesności, a dzisiaj, kiedy ta nowoczesność przyszła, ale nastąpiły też zmiany demograficzne, może się okazać, że bezpłatna edukacja niekoniecznie przetrwa.

Ta edukacja, która była tworzona na początku XIX wieku, była stosunkowo tania. Prowadził ją emerytowany podoficer, który był pierwszym nauczycielem, ksiądz czy pastor, który po prostu na marginesie właściwie swojej kapłańskiej działalności uczył także dzieci, natomiast później te systemy edukacji rozwijały się, rozbudowywały, komplikowały i coraz bardziej kosztowały. Przypomnijmy także, że przyszłość edukacji to są właśnie koszty związane z rozwojem technologii, która daje fantastyczne możliwości, ale też jest niesłychanie droga. Tak że dzisiejsza szkoła w jakiegokolwiek postaci będzie coraz bardziej kosztowna.

I chyba tutaj postawimy kropkę. Perspektywy są dosyć niejednoznaczne, ale na pewno bezpłatna edukacja jest czymś, co buduje społeczeństwo i pokazuje drogę, że warto inwestować w edukację i warto inwestować w wiedzę. Naszym gościem był pan doktor Krzysztof Popiński. Dziękuję Panu bardzo za rozmowę.

Dziękuję bardzo.

 Jarosław Kinal
 Joanna Jaroszyk

SKĄD SIĘ WZIĘŁY MEDIA I JAKĄ ROLE ODGRYWAJĄ W ŻYCIU SPOŁECZNYM I GOSPODARCZYM?

JAROSŁAW KINAL: Dzień dobry Państwu, mam dzisiaj przyjemność poprowadzić jeden z podcastów realizowanych w ramach projektu „Czego uczy nas historia gospodarcza? 12 rozmów na trudne czasy”. Moim gościem jest Pani Doktor Joanna Jaroszyk z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Będziemy rozmawiać o genezie mediów i ich wpływie na życie społeczne. Zacznijmy od prostego pytania. Skąd się wzięły media?

JOANNA JAROSZYK: Najprościej ujmując, z potrzeby informacji. To jest potrzeba, która towarzyszy ludzkości właściwie od zarania. Potrzeba dotarcia do informacji, dzielenia się informacją, potrzeba wymiany opinii. Dopóki nie rozwinęły się media, i to do stadium masowego, dostęp do informacji był swego rodzaju przywilejem ograniczonych grup osób. Tę podstawową potrzebę zaspokoili dopiero media w postaci najpierw gazet, potem środków masowego przekazu, takich jak radio, telewizja, nie mówiąc o stadium, w którym obecnie się znajdujemy, czyli ekspansji nowych mediów, dzięki którym toniemy wręcz w morzu informacji, czasami mamy problem z odpowiednią ich selekcją.

No właśnie, Pani Doktor, czy technologia wpłynęła znacząco na rozwój mediów?

Oczywiście, że tak, zwłaszcza jeżeli spoglądamy na to, w jaki sposób konsumujemy dziś media. Nie tak dawno gazety zamieszczały tzw. dodatki telewizyjne. I odbiorca siadał w fotelu, czasami sobie nawet zakreślał programy, które chciał obejrzeć. Jeszcze wcześniej, w latach 80., gdy pojawiał się w programie jakiś telewizyjny fenomen, chociażby pierwsza emitowana w Polsce telenowela, czyli *Niewolnica Isaura*, miasta i wsie całkowicie się wyludniały, ponieważ telewidzowie musieli zasiąść przed ekranami i obejrzeć odcinek. Jeżeli zaś tego nie zrobili, to ta możliwość tak naprawdę przepadała. W tej chwili konsumujemy media zupełnie inaczej. Możemy sobie wybrać miejsce i czas, w którym obejrzymy odcinek telenoweli czy zapoznamy się z jakimiś informacjami. Mamy różne źródła tych informacji, tak naprawdę telefon już jest takim źródłem. Możemy oglądać, możemy czytać, możemy słuchać podcastów, tak że te realia się zmieniły w sposób absolutnie nieporównywalny.

Tak, rozwój technologii spowodował jednak przeładowanie informacyjne. Kiedyś czekało się cały dzień na gazetę, pół dnia na informacje, wiadomości w telewizji, w radiu co godzinę, a teraz te informacje docierają w ciągu kilku milisekund. Jak Pani to skomentuje?

Mamy problem z selekcją informacji, ponieważ wraz z ich natłokiem pojawia się kłopot odróżnienia prawdy od fałszu. To zjawisko dezinformacji, które wciąż przybiera na sile, jest poważnym kłopotem związanym właśnie z tym, że jest tyle różnych kanałów, którymi ta informacja do nas dociera.

To prawda, ale też patrząc historycznie, mieliśmy gazety proksiężące i antyksiężące, więc zastanawiam się, czy to zjawisko dezinformacyjne jest takie nowe na naszym rynku medialnym.

Samo zjawisko oczywiście nie jest nowe. Natomiast kiedyś jednak dużo łatwiej było odróżnić informację pochodzącą chociażby z kanałów rządowych od informacji, która docierała do nas ze źródeł antyrządowych. Tutaj ten podział był dosyć jasny. W takich ustrojach politycznych, gdzie informacja podlegała kontroli, odbiorca też miał możliwość łatwego odróżnienia przekazów, które

miały wymiar czysto propagandowy, od tych, które docierały z innych źródeł. W tej chwili to się wszystko zaciera i tu jest problem.

No właśnie, bo współcześnie propagandę ubiera się w mit niezależnych mediów. To jest spory problem i dlatego chciałbym poprosić Panią o przedstawienie kilku kamieni milowych w rozwoju mediów i w rozwoju propagandy.

Kamienie milowe w rozwoju mediów są ściśle związane z postępem technologicznym, ponieważ oczywiście możemy twierdzić, że na przykład Herodot czy Tacyt, czy inni starożytni kronikarze to byli pierwsi dziennikarze, i doszukiwać się źródeł dziennikarstwa w starożytnym Rzymie, natomiast *de facto* rozwój dziennikarstwa i mediów we współczesnym tego słowa znaczeniu nastąpił dopiero wraz z upowszechnieniem prasy drukarskiej. Ten rewolucyjny na tamte czasy wynalazek druku Gutenberga sprawił, że można było tysiąc razy szybciej skopiować tekst aniżeli za pomocą ręcznego przepisywania przez skrybę. Natomiast na rozwój pierwszej gazety trzeba było czekać kolejne 100 lat, tak że początek XVII wieku to jest moment, w którym pojawiają się pierwsze gazety, natomiast ich rozkwit nastąpił w epoce oświecenia i wtedy też rodziły się pierwsze idee dziennikarstwa i koncepcje gazet. Kolejny kamień milowy to jest wiek XIX, który zresztą nie bez kozery nazywany jest złotym wiekiem dziennikarstwa, kiedy w związku chociażby z industrializacją, z pojawieniem się klasy średniej nastąpiło na przełomie lat 30. i 40. XIX wieku może nie do końca umasowienie prasy, ale znaczne rozszerzenie grona odbiorców. Pierwsze gazety miały bowiem charakter bardzo elitarny. Ponadto upowszechnienie edukacji w XIX wieku i likwidacja analfabetyzmu, przynajmniej w naszej części świata, sprawiły, że to oddziaływanie prasy było dużo większe. Zaczęto się zastanawiać nad tym, w jaki sposób zmniejszyć koszty prasy, tak żeby ona docierała do jeszcze szerszej grupy odbiorców. W drugiej połowie XIX wieku pojawiła się prasa jednopensowa, groszowa, która spowodowała, że gazeta mogła dotrzeć do jeszcze większej rzeszy odbiorców. Wyodrębnianie się gatunków dziennikarskich, telegraf, czyli znowu przyspieszenie przesyłu informacji. To było też na pewno rewolucyjne, jeżeli chodzi o rozwój prasy i dziennikarstwa. Wiek XX przyniósł kolejne wynalazki – telewizję, no

i wreszcie Internet. Wszystkie one wpłynęły na tempo przekazywania informacji i doprowadziły do sytuacji, w której obecnie się znajdujemy.

Przejdźmy do kolejnego tematu. Mamy taki dość ciekawy paradoks, bo media kształtują społeczeństwa, ale też społeczeństwa kształtują media. W jaki sposób to się odbywa?

Tutaj istnieje bardzo wiele koncepcji. Niewątpliwie media wpływają na społeczeństwa. Pierwsza rzecz, selekcja informacji. To media decydują, o czym będziemy rozmawiać, czyli jakie informacje będą przekazywane, następnie w jaki sposób będziemy o tym rozmawiać, czyli sposób narracji, interpretacji tych zdarzeń. I to jest niewątpliwym wpływ mediów. Oczywiście im więcej jest tych kanałów, tym trudniej dokonać selekcji informacji. Natomiast z jakiegoś powodu dyskutujemy na taki temat, a nie na inny. A przecież tyle rzeczy wokół nas się dzieje. Jeżeli chodzi o wpływ społeczeństwa na media, to trzeba zauważyć, że informacja też jest towarem i w związku z tym przedsiębiorstwa medialne, które no właśnie są przedsiębiorstwami, czyli prowadzą działalność nastawioną na zysk, muszą dostosować się do gustów odbiorców. To ma oczywiście też negatywne skutki, mianowicie, może się to odbywać kosztem jakości informacji. Mówi się, że media dążą do tego, żeby nas zabawić na śmierć, czyli prymat rozrywki, elementów sensacyjnych nad elementami czysto informacyjnymi.

To prawda, a teraz chciałbym zapytać o rolę mediów w kształtowaniu sukcesów ekonomicznych albo ich związek z porażkami na przykład wielkich firm, które upadały po publikacji prasowej.

Właściwie trudno o taką jednoznaczną ocenę, bo możemy się zastanowić, dlaczego w jednym przypadku kampania medialna wymierzona w jakieś przedsiębiorstwo czy ujawnienie skandalu przyczynia się do upadku, a w innym właściwie nie odnosi żadnego skutku. To samo dotyczy wpływu na decyzje polityczne. Też mamy mnóstwo przykładów informacji czy krytyki ze strony mediów pod adresem działań rządu czy polityków, które nie wiążą się z dymisjami, z jakimiś zmianami, natomiast znamy z historii sytu-

acje, kiedy informacje medialne, zazwyczaj poprzedzone jakimś rzetelnym śledztwem, sprawiły, że np. prezydent musiał ustąpić z urzędu, np. chociażby afera Watergate.

Zastanawiające, że niekiedy ten wpływ jest, a niekiedy takiego rezonansu społecznego czy reakcji ze strony władz nie ma. I to jest wątek, który należałoby jeszcze głębiej zbadać. Ciekawa była np. sytuacja z pierwszych dni wojny Rosji z Ukrainą z 2022 roku, kiedy to media – w większości oczywiście social media, nie media głównego nurtu – same rozpropagowały informacje o tym, że zniknie benzyna ze stacji benzynowych, że nie będzie możliwości dostarczenia pieniędzy do bankomatów, co spowodowało zbiorową panikę i pewne też tąpnięcia ekonomiczne. Banki musiały bowiem zmienić swój system logistyczny. Dostawcy paliwa musieli zmienić tempo dostaw paliwa, żeby odpowiadać na potrzeby konsumentów. Jednocześnie kontrakcja informacyjna. Znowu w mediach, że nic takiego złego się nie stanie. A kolejki, ja pamiętam listy kolejkowe, które liczyły po 100 czy 150 miejsc, żeby wybrać pieniądze z bankomatu.

Zgadza się. W ogóle pieniądź lubi ciszę i dlatego szum medialny czy informacje o kłopotach w firmie mogą się przełożyć na to, że na przykład cena akcji danej firmy zacznie spadać, co bezpośrednio wpłynie na kondycję czy przyszłość firmy. Tak to też oczywiście działa.

Stereotypy medialne powodują też, że mniej ufamy bankom, bo media bardzo często pokazują, że np. w tych bankach lokata jest niżej oprocentowana od pożyczki, więc sobie liczymy, jak to wygląda. Również social media, niezauważalni influencerzy, których kiedyś mogliśmy nazwać od Leviego liderami opinii, teraz przechodzą na funkcje dziennikarskie, quasi-medialne i w jakiś ten sposób oddziałują na gospodarkę, na nasze wybory konsumenckie. Ostatnio natknąłem się na informacje mówiące, że 80% komentarzy i opisów produktu jest nieprawdziwych, generowanych przez użytkowników, którzy nigdy ich nie testowali. To też pokazuje ogromną moc mediów w naszych codziennych wyborach dotyczących odkurzacza, suszarki, mleka, batonika czy napoju na imprezę.

Oczywiście. Reklama dźwignią handlu, no to nie jest hasło, które wczoraj wymyślono.

A reklama zajmuje coraz więcej miejsca w mediach, bo też muszą się z czegoś utrzymywać.

Zgadza się.

Mieliśmy ekonomię, przejdźmy do tematów społecznych. Czy media są czwartą władzą, czy media służą wyłącznie wspieraniu trzech pierwszych władz?

To jest bardzo trudne pytanie. Oczywiście idea trójpodziału władzy i upowszechnienie systemu demokratycznego doprowadziły do wykształcenia się idei mediów jako czwartej władzy, która będzie formą sprawowania kontroli społecznej nad władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. I oczywiście wiemy, że to jest teoretycznie możliwe, ale tylko jeśli będą spełnione odpowiednie warunki, czyli jeżeli funkcjonujemy w realiach demokracji. Aczkolwiek badania pokazują, że wcale nie jest tak, że tam, gdzie są wolne media, od razu ta demokracja będzie funkcjonowała lepiej. Też nie jest powiedziane, że media koniecznie muszą demokrację popsuć, ale takiego przełożenia niestety bezpośredniego nie ma. Natomiast jeżeli chodzi o drugą część pytania, czyli powiązanie z tą pierwszą, drugą, trzecią władzą, to to jest dosyć niebezpieczne stawianie mediów w niekomfortowej roli. Co prawda w myśl nadal obowiązującej w Polsce ustawy prasowej z 1984 roku media mają służyć społeczeństwu i państwu, ale jest to taki powszechnie obśmiewany koncept, ponieważ jest albo albo. Zresztą to wynika z pewnych zasad etycznych, deontologicznych, media przede wszystkim mają służyć społeczeństwu, mają bronić społeczeństwo przed zakusami władzy. Natomiast niewątpliwie każda władza bardzo chętnie przejęłaby kontrolę nad mediami. W systemie demokratycznym jest to ograniczone poprzez konstytucyjne gwarancje swobody wypowiedzi, wolności tworzenia przedsiębiorstw państwowych, natomiast w systemach autorytarnych czy w systemach totalitarnych już tych ograniczeń nie ma i faktycznie wtedy media pełnią funkcję tuby propagandowej reżimu.

Mamy przykład Korei Północnej, gdzie najwyższy przywódca zna się na wszystkim, wizytuje jednego dnia farmę drobiu i uczy rolników czy hodowców, jak hodować kury, a na drugi dzień jedzie do fabryki rakiet precyzyjnych i kalibruje rakiety, żeby miały jak najmniejszy rozstrzał.

Oczywiście, kreowanie wizerunku ojca narodu, który wie najlepiej, to jest przykład znany z wielu reżimów, wielokrotnie opisywany. Także w takich systemach kluczową rolą dla władzy jest poddanie mediów bardzo ścisłej kontroli za pośrednictwem chociażby cenzury prewencyjnej czy różnych publikacji obligatoryjnych, za pomocą kontroli dostępu do zawodu dziennikarza – tych narzędzi jest rzeczywiście bardzo wiele.

Czy można współcześnie kontrolować dostęp do zawodu dziennikarza?

Współcześnie nie – w systemie demokratycznym oczywiście, tutaj to zastrzeżenie jest bardzo istotne – ponieważ środowisko dziennikarskie jest bardzo niechętne jakiegokolwiek regulacji. Były takie pomysły, przy okazji chociażby nowelizacji prawa prasowego pod koniec lat 80., żeby wprowadzić wymóg, zgodnie z którym dziennikarzem mogłaby być tylko osoba, która ma wykształcenie wyższe. No i podniósł się wielki krzyk, wielki sprzeciw środowisk dziennikarskich, które absolutnie nie chcą poddania tego zawodu jakiegokolwiek kontroli. Natomiast w systemach czy w reżimach autorytarnych ta kontrola oczywiście występuje. Ja się zajmuję też prasą i mediami hiszpańskimi, podam więc przykład z historii Hiszpanii z czasów reżimu generała Franco, kiedy warunkiem dostępu do zawodu dziennikarza było ukończenie odpowiedniej szkoły dziennikarstwa i wpis do rejestru. Paradoksalnie, jak się okazuje, po latach, to miało taki też efekt uboczny w postaci dobrze wykształconych dziennikarzy, którzy mieli ten warsztat bardzo dobrze opanowany.

Może to jest jakaś recepta?

Ja bym się nie odważyła tego rekomendować.

Pozostajmy przy dziennikarzach. Kim historycznie był i kim współcześnie jest dziennikarz? Jakie cechy, jakie umiejętności powinien posiadać? Czy jest to tylko skryba, który opisuje rzeczywistość, czy komentator, który kształtuje jakąś narrację? Kim był, kim jest dziennikarz? Bo to, wydaje mi się, są dwie różne postacie, dwie różne idee.

Ja bym tak tego nie ujęła, ponieważ idea tego zawodu polega na tym, że dziennikarz to jest ktoś, kto zawodowo zajmuje się informowaniem w taki czy inny sposób. Oczywiście w czasach rozkwitu dziennikarstwa był to zawód elitarny. Do dziś mamy tego reminiscencje w postaci pojęć czy idei, jak misja dziennikarstwa, szczególnie misja, szczególnie rola, szczególnie rola zasad etycznych, które powinny dziennikarza prowadzić. Mamy cały zestaw cech, którymi powinien dysponować dziennikarz. Natomiast problemem tego zawodu, i to nie od dziś, nie od wczoraj, jest postępująca prekaryzacja. Mamy zatem jakby dwa światy. Mamy świat gwiazd dziennikarstwa i mamy świat tych *media workers*, zatrudnianych często na umowach śmieciowych, cywilno-prawnych, którzy są słabo opłacani, nie mają żadnych gwarancji pracowniczych, co też się odbija na jakości ich pracy. Powstało mnóstwo opracowań i analiz na temat zawodu dziennikarza i tego, w jaki sposób jego sytuacja życiowa, bytowa, niepewność przekłada się na jakość wykonywanej pracy.

Ja też pamiętam czasy, kiedy legitymacja dziennikarska dawała pewne przywileje. Dziś chyba nie jest już ona kluczem otwierającym wszystkie drzwi.

Nie jest kluczem otwierającym wszystkie drzwi, tak samo jak przynależność do stowarzyszeń dziennikarskich, która nie jest obligatoryjna. Dziennikarze nie są korporacją, nie mają obowiązku przynależności do stowarzyszenia takiego czy innego, zresztą tych stowarzyszeń jest pewnie kilka co najmniej. Ma to swoje plusy i minusy, ponieważ przynależność do korporacji daje też pewien rodzaj ochrony ze strony tejże korporacji, jeżeli ona w sposób prawidłowy funkcjonuje. Z drugiej strony, jeżeli nigdzie nie przynależymy, teoretycznie mamy większy zakres swobody i wolności, na

czym przecież dziennikarzom też bardzo zależy, ale z drugiej strony, możemy liczyć tylko na siebie.

To prawda.

Zmieniły się też przepisy. Prawo prasowe do pewnego momentu ustanawiało przywilej informacyjny dla dziennikarzy, czyli oni mieli pierwszeństwo w dostępie do informacji. W tej chwili przepisy są skonstruowane w ten sposób, że każdy obywatel ma prawo dostępu do informacji publicznej i dziennikarze nie są tutaj uprzywilejowani.

To dobrze czy źle?

To dobrze, to dobrze. Oczywiście niewiele to zmieniło w praktyce, ponieważ dziennikarze zawodowo zajmują się pozyskiwaniem i rozpowszechnianiem informacji, natomiast każdy obywatel – i to jest chyba też idea państwa demokratycznego, które funkcjonuje na zasadach jawności, równości – ma prawo dostępu do tej informacji.

Ale wtedy każdy obywatel, mając odpowiednie umiejętności i narzędzia, może stać się dziennikarzem.

Nie mamy definicji dziennikarza. My nie wiemy, kto to jest dziennikarz. Takich funkcjonujących w teorii, w nauce określić jest bardzo dużo. Natomiast ujmując kwestię w sposób możliwie prosty, moglibyśmy powiedzieć, że dziennikarzem jest ten, kto w takim charakterze został zatrudniony, na przykład osoba, która prowadzi w sposób profesjonalny, zawodowy działalność informacyjną, ale również np. autor bloga ukazującego się regularnie, który zajmuje się przekazywaniem informacji i opinii. On również będzie dziennikarzem, co pociąga za sobą szereg obowiązków prawnych.

Tego trzeba mieć świadomość.

Tak, każde medium – bo nie ma znaczenia, czy ono funkcjonuje w sieci, czy jest drukowane – powinno być zarejestrowane, z czego niewiele osób zdaje sobie sprawę, ale orzeczenia sądowe o takiej treści już istnieją. Jeżeli ktoś blog o takim charakterze prowadzi, no to siłą rzeczy staje się dziennikarzem.

Właśnie zaczęliśmy od „lub czasopismo”, to kiedyś bardzo ważne dwa słowa, które tak naprawdę zmieniły orientację wyborczą na polskiej scenie politycznej. Mamy kilka takich przykładów działań mediów, które zmieniły decyzje społeczeństw. Zmieniły nawet funkcjonowanie społeczeństwa. *Wojna światów* Orsona Wellesa, która była zwykłym nagraniem radiowym, czytanką, spowodowała atak paniki w stanie Nowy Jork. Mamy *Wojnę futbolową* Kapuścińskiego, za pomocą której media podkreśliły dwa antagonistyczne narody. Mamy w końcu Watergate, mamy właśnie to słynne „lub czasopisma”. Jak media wpływały na duże wydarzenia historyczne?

No właśnie, to, że my jesteśmy w stanie wyliczyć może nie na palcach jednej ręki, ale na wszystkich palcach, które posiadamy, ten wpływ, oznacza, że on może jest troszeczkę przeceniany. Wszystko zależy od okoliczności, ja mam takie wrażenie. Mówiłam już, że niekiedy zupełnie bez echa przechodzą jakieś informacje medialne, innym razem rzeczywiście wywierają określony wpływ. Tutaj moglibyśmy podać przykłady informacji czy śledztw dziennikarskich, których ujawnienie spowodowało jakieś działania, choćby kwestia przedstawiona w filmie *Spotlight*, czyli śledztwo dziennikarski przeprowadzone w Bostonie, które ujawniło skalę pedofilii w kościele, co też przełożyło się potem na konkretne decyzje. Afera Watergate, która wiadomo, jaki miała efekt, pociągnęła za sobą zmiany legislacyjne obligujące służby specjalne do działań charakteryzujących się większą jawnością i przejrzystością. Również działalność medialna czy praca dziennikarzy i reporterów podczas wojny w Wietnamie zmieniła postrzeganie tego konfliktu czy stosunek społeczeństwa do tej wojny. Rzeczywiście to są takie przełomowe momenty, ale musi istnieć sprzyjający klimat społeczny, żeby te informacje padły na właściwy grunt. Takie jest moje przekonanie. bo mamy przykłady ujawniania wielu nieprawidłowości czy afer, które nie przynosi jakichś większych rezultatów.

A jednocześnie mamy przykłady dziennikarzy, którzy stawali się gwiazdami. Kim Philby czy Ernest Hemingway zaczęli przecież jako korespondenci wojenni. Harald „Kim” Philby to jeden z największych agentów sowieckich, którzy działali

w Wielkiej Brytanii. Ernest Hemingway, wybitny pisarz. Oni zaczęli od dziennikarstwa.

Zgadza się, ta siła jest niesamowita, ja jeszcze przywołam tutaj przykład Hiszpanii. Co prawda republikanie, obrońcy Republiki tę wojnę przegrali, natomiast okazali się moralnymi zwycięzcami dlatego, że mieli po swojej stronie światową opinię publiczną, m.in. dzięki działalności wybitnych reporterów, wybitnych dziennikarzy, którzy relacjonowali w sposób prorepublikański przebieg działań wojennych. Wielkie postaci dziennikarstwa mają z pewnością wpływ na odbiór pewnych wydarzeń. Oriana Fallaci też przecież taki wpływ wywierała.

Media pokazują nam zdarzenia w pewnej perspektywie, nadają swoją narrację. Tutaj też musimy pamiętać, że pod pozorem czystej informacji bardzo często kryją się pewne utajone interesy. Mogą to być oczywiście interesy narodowe, wynikające z etnocentryzmu, albo po prostu interesy narodowe wynikające z pewnej strategii promocji naszego kraju, naszego narodu, naszej gospodarki. To też jest dość interesujące zagadnienie.

Zgadzam się z tym, że trudno powiedzieć, na ile w tej chwili państwo ma możliwość kreowania tej agendy informacyjnej. Oczywiście za pośrednictwem mediów, które w jakimś stopniu kontroluje, jak najbardziej. Niemniej jednak znajdujemy się obecnie w takim stadium rozwoju mediów, w którym mają one charakter ponadnarodowy, koncerny medialne służą interesom... właśnie, pytanie – czyim interesom? Nie są to zapewne interesy państwa.

Dlatego też, jak mówił Marshall McLuhan, bardzo ważna jest rola mediów publicznych – dobrze kierowanych, dobrze zarządzanych, niezależnych mediów publicznych, które dbają o interes społeczności.

Tak, z tym, że mediów publicznych, które działają w sposób niezależny, jest bardzo niewiele. Nasze doświadczenia nie są najlepsze. Pokusa władzy do podporządkowywania sobie mediów jest olbrzymia i tak naprawdę brakuje odpowiednich mechanizmów

prawnych, które by zagwarantowały tę niezależność. Jeżeli zaś nie mamy mechanizmów prawnych, to tak naprawdę jesteśmy uzależnieni tylko i wyłącznie od dobrej woli rządzących.

No tak, a z drugiej strony przykład Stanów Zjednoczonych, gdzie publiczny PBS ma bardzo szcątkową oglądalność, bo te media zostały wrzucone na wolny rynek i to stanowi poważny problem. Zawsze widz wybiera to, co jest atrakcyjne, a nie to, co jest misyjne. Chociaż misja też czasem może być atrakcyjna. Na koniec, Pani Doktor, proste pytanie. Jaka przyszłość czeka media?

Różne wizje się snuje, wizje bardzo pesymistyczne, wizje optymistyczne, co nie jest też niczym nowym. Jak się radio pojawiło, no to dla gazet było to odczytywane jako zagrożenie istnienia. Okazało się, że współistnienie jest możliwe, podobnie jak z telewizją. Potem się pojawił Internet, wówczas również dały się słyszeć głosy, że właściwie jest to koniec mediów tradycyjnych, przede wszystkim prasy. No i co się okazało? Oczywiście te nakłady prasy drukowanej systematycznie spadają i pewnie będą cały czas spadać, natomiast wiodące tytuły prasowe doskonale się odnalazły w środowisku cyfrowym, doskonale się odnalazły w mediach społecznościowych, które też w coraz większym stopniu stają się źródłem informacji. Wyzwaniem jest po prostu nadążanie za tymi trendami.

I pamiętanie o głównej roli mediów, czyli poszukiwaniu i pokazywaniu prawdy.

Zgadza się.

I tym akcentem chciałbym zakończyć. Bardzo dziękuję Pani Doktor za interesującą rozmowę.

